Swietłana Aleksijewicz, pisarka, scenarzystka filmowa, dziennikarka. Autorka wielu książek o tragicznych stronach sowieckiej historii: *U wojny nie żenskoje lico* (Wojna nie ma kobiecego oblicza), *Posliednije swidietieli* (Ostatni świadkowie), *Zaczarowannyje smiertiu* (Zauroczeni śmiercią). Jej książki ukazały się w ponad dwudziestu krajach świata; jest laureatką prestiżowych nagród m.in. nagrody szwedzkiego PEN-klubu „za odwagę i godność w literaturze" oraz nagrody na Międzynarodowych Targach Książki w Lipsku „za najlepszą książkę polityczną". Mówi o swoim pisarstwie: Zawsze chcę dociec, ile jest człowieka w człowieku, i jak to człowieczeństwo obronić.

Krzyk Czarnobyla jest zarazem opowieścią o losach ludzi bezpośrednio biorących udział w akcji ratowniczej po wybuchu reaktora, jak i relacją o największym kataklizmie technologicznym XX wieku oraz metaforą rozpadającego się imperium. Od samego początku problem czarnobylski nie był wolny od zakulisowych walk o jego ujawnienie, do dziś – pomimo różnych prób – naukowo nie można określić skali szkód ekologicznych, materialnych, moralnych, społecznych, zdrowotnych, jakich był przyczyną.
26 kwietnia 1986 r. Czarnobyl stał się problemem świata, wciąż aktualne pozostaje pytanie o bezpieczeństwo energetyki jądrowej.

ISBN 83-7227-574-2

Cena 19,00 zł

Nr 2600

Swietłana Aleksijewicz

KRZYK CZARNOBYLA

POLITEJA

Swietłana Aleksijewicz

KRZYK CZARNOBYLA

KRZYK CZARNOBYLA

Swietłana Aleksijewicz

KRZYK CZARNOBYLA

Z rosyjskiego przełożył
Leszek Wołosiuk

POLITEJA

Tytuł oryginału
Czernobylskaja molitwa

Projekt okładki
Elżbieta Pietras

Zdjęcie na okładce
Science Photo/East News

Redakcja techniczna
Mirosława Kostrzyńska

Korekta
Beata Stadryniak-Saracyn
Jacek Ring

Copyright © Swietłana Aleksandrowna Aleksiejewicz, 2000

© Copyright for the Polish translation
by Bertelsmann Media Sp. z o.o., Warszawa 2000

Bertelsmann Media Sp. z o.o.
Świat Książki

POLITEJA

Warszawa 2000

Skład i łamanie
Gabo s.c, Milanówek
Druk i oprawa
Łódzkie Zakłady Graficzne

ISBN 83-7227-574-2

Nr 2600

Jesteśmy powietrzem, nie ziemią
M. Mamardaszwili

Informacja historyczna

Trzeba przerwać otaczającą Białoruś zasłonę niewiedzy. Dla świata wciąż jesteśmy *terra incognita* - ziemią nieznaną. Wszyscy wiedzą o Czarnobylu, lecz wiążą go z Ukrainą i Rosją. „Biała Rosja" - tak przykładowo brzmi nazwa naszego kraju w języku angielskim.

„Narodnaja Gazieta", 27 kwietnia 1996 r.

Na terytorium Białorusi nie ma ani jednej AES[1]. Na przestrzeni byłego ZSRR w pobliżu granicy białoruskiej rozmieszczono AES z reaktorami typu RBMK. Geograficznie patrząc: na północy - ignalińską, na wschodzie - smoleńską, na południu - czarnobylską.

26 kwietnia 1986 r. o godzinie 1, minut 23 i 58 sekund seria wybuchów naruszyła reaktor w budynku czwartego energobloku czarnobylskiej AES. Czarnobylska katastrofa stała się największym technologicznym kataklizmem XX wieku.

Dla niewielkiej Białorusi (ok. 10 min mieszkańców) okazała się nieszczęściem narodowym. W latach II wojny światowej Niemcy unicestwili na białoruskiej ziemi 619 wsi wraz z ich mieszkańcami. Po Czarnobylu kraj utracił 485 wsi i osiedli. 70 z nich na zawsze zasypano ziemią. Na wojnie poległ co czwarty Białorusin, dziś co piąty żyje na skażonym terytorium. To 2,1 min ludzi, a wśród nich 700 tys. dzieci. Fakty demograficzne mówią, że radiacja jest główną przyczyną zgonów. W obwodach[2] homelskim i mohylewskim (najbar-

[1] AES (w rosyjskim: *Atomnaja Elektrostancja)* - na terytoriach byłego ZSRR często używany skrót nazwy elektrowni atomowej.

[2] Obwód (ros. *oblast')* - jednostka administracyjna Republiki Białoruś, odpowiadająca województwu, kraj ten składa się z sześciu obwodów (wśród których są mohylewski na wschodzie i homelski na południowym wschodzie, położone najbliżej elektrowni atomowej w znajdującym się tuż za granicą ukraińską Czarnobylu, ich terytoria zostały więc najmocniej dotknięte przez kataklizm).

dziej poszkodowanych przez czarnobylski kataklizm) śmiertelność przewyższa urodzenia o 20 procent.

W rezultacie katastrofy do atmosfery wydostało się 50 x 10 Ci[3] radionuklidów, a 70 procent z nich opadło na Białoruś: 23 procent jej obszaru skażono radionuklidami z natężeniem większym niż 1 Ci na kilometr kwadratowy, jeśli chodzi o cez - 137. Dla porównania: na Ukrainie jest 4,8 procent skażonego terytorium, w Rosji - 0,5 procent. Obszar uprawny z zagrożeniem cząsteczkami cezu od 1 i więcej Ci na 1 km^2 - to ponad 1,8 mln hektarów; strontem - 90 z natężeniem 0,3 i więcej Ci na 1 km^2 - to około 0,5 mln hektarów. Wymieniono 264 tys. hektarów ziemi. Białoruś to kraj lasów. 26 procent lasów i przeszło połowa łąk w dolinach rzek Prypeć, Dniepr i Soż leży w strefie zagrożenia radioaktywnego.

W wyniku oddziaływania promieniowania, nawet o niskiej aktywności, z każdym rokiem w kraju rośnie wskaźnik chorych ze zmianami nowotworowymi, umysłową otępiałością, rozstrojem nerwowym i zmianami genetycznymi.

Hasło „Czarnobyl" w: Biełaruskaja encykłopiedija, *1996, strony 7, 24, 49, 101, 149.*

Według danych z obserwatoriów: 29 kwietnia 1986 roku wysoki poziom promieniowania zarejestrowano w Polsce, Niemczech, Austrii, Rumunii, 30 kwietnia - w Szwajcarii i północnych Włoszech, 1-2 maja - we Francji, Belgii, Holandii, Wielkiej Brytanii, północnej Grecji, 3 maja - w Izraelu, Kuwejcie, Turcji.

Promieniotwórczy obłok 2 maja dotarł do Japonii, 4 maja - do Chin, 5 - do Indii, 5 i 6 maja - do USA i Kanady.

W niecały tydzień Czarnobyl stał się problemem całego świata.

Według: Następstwa czarnobylskiej awarii na Białorusi, *Mińsk, Międzynarodowe Kolegium Radioekologii im. A. Sacharowa, 1992, s. 82.*

W niniejszej książce czytelnik zetknie się z następującymi jednostkami charakteryzującymi promieniotwórczość:

a) bekerel (Bq) - jednostka aktywności nuklidów promieniotwórczych w układzie SI, 1 Bq = 1 s-' (jedno spontaniczne przejście jądrowe na sekundę);

b) kiur (Ci) - jednostka aktywności nuklidów promieniotwórczych nie należąca do układu SI, 1 Ci = 3,7 x 10^{10} Bq;

c) rentgen - nie należąca do ukadu SI jednostka dawki ekspozycyjnej promieniowania rentgenowskiego lub gamma.

Czwarty reaktor, zwany „Schronem" , kryje w swoich ołowiano-żelazobetonowych trzewiach około 20 ton paliwa jądrowego. Co się z nim dzieje dziś, nikt nie wie.

Sarkofag[5] zrobiono w pośpiechu, ma niespotykaną konstrukcję, doprawdy, inżynierowie-konstruktorzy z Pitiera[6] mają czym się szczycić. Montowano go jednakże „na odległość", płyty zestawiano za pomocą robotów i śmigłowców - i tak zostało. Dziś, wedle niektórych danych, powierzchnia otworów i szczelin przekracza 200 metrów kwadratowych, z których prawdopodobnie wydobywają się substancje radioaktywne.

Czy sarkofag może się ruszyć? Na to także nikt nie odpowie, do tej pory bowiem nie sposób dostać się do licznych zakątków i konstrukcji, aby dowiedzieć się, co jeszcze się tam kryje. Bo wszyscy rozumują: naruszenie „Schronu" mogłoby przynieść następstwa straszliwsze niż w roku 1986.

Pismo „Ogoniok", nr 17, kwiecień 1996 r.

[4] W oryginale *Ukrytie.*

[5] Sarkofag - tak nazwano zabetonowany po awarii czwarty energoblok, w którym nastąpił wybuch reaktora. Metalowe i żelazobetonowe konstrukcje szkieletu sarkofagu zakładano za pomocą robotów i śmigłowców, z których oblewano je betonem. Po czarnobylskiej tragedii określenie „sarkofag" stało się terminem międzynarodowym, oznaczającym usypaną konstrukcję ochronną nad uszkodzonym reaktorem. Do jego rozpowszechnienia mogła się przyczynić, napisana tuż po wybuchu, a nawiązująca do kataklizmu z 26 kwietnia 1986 r. i grana na wielu scenach świata, sztuka Władimira Gubariewa pod tytułem *Sarkofag.*

[6] Pitier - popularna w Rosji nazwa Sankt Petersburga.

Samotny głos człowieczy

Nie wiem, o czym opowiadać. O śmierci czy o miłości? A może to jedno i to samo? O czym?

*

Niedawno się pobraliśmy. Chodząc ulicą, trzymaliśmy się za ręce, nawet gdy wchodziliśmy do sklepu. Mówiłam mu:

- Kocham cię.

Ot, nie wiedziałam jeszcze, jak bardzo go kochałam. Nie wyobrażałam sobie. Mieszkaliśmy w osiedlu straży pożarnej, gdzie służył. Na pierwszym piętrze. Trzy młode rodziny, dla wszystkich jedna kuchnia. A niżej, na parterze, stały samochody. Piękne samochody strażackie. To była jego służba.

Ciągle myślę: gdzie on, co z nim?

W środku nocy słyszę jakiś szum. Wyjrzałam przez okno. Zobaczył mnie.

- Zamknij okno i śpij. Pożar w elektrowni. Wrócę niebawem.

Samego wybuchu nie widziałam. Tylko płomienie. Wszystko dosłownie się świeciło. Całe niebo. Wysokie płomienie. Żar. Straszliwy żar. A jego nie ma i nie ma. Żar od tego, że beton gorzał, dach elektrowni był zalany betonem. Chodzili, wspominał potem, jak po smole. Gasili płomienie. Nogami strącali palący się grafit. Wyjechali bez brezentowych uniformów, jak stali, w koszulach. Nie uprzedzili, wezwali jak do zwyczajnego pożaru.

Czwarta godzina. Piąta. Szósta. O szóstej mieliśmy jechać do jego rodziców. Sadzić kartofle. Z miasta Prypec[7] do wioski Spieriże, gdzie mieszkali jego ro-

[7] Prypeć (w ros. i białorus.: *Prypiat')* - położone nad samą granicą z Białorusią miasto na Ukrainie nad rzeką Prypeć, oddalone o 12 km od Czarnobyla i ok. 150 km od Kijowa. Przed awarią liczyło ponad 50 tys. mieszkańców, w tym wielu pracowników elektrowni atomowej (często występują w książce). Najbardziej - obok Czarnobyla - dotknięte radiacją, dziś nie zamieszkane miasto-widmo. Obecnie większość pracowników nadal działającej elektrowni atomowej w Czarnobylu mieszka w odległym o 50 km Sławutyczu.

dzice, czterdzieści kilometrów. Sianie, oranie - jego ulubione prace. Matka często przypominała, że nie chcieli z ojcem puścić go do miasta, dom nawet zbudowali. Zabrali go do armii. Służył w Moskwie, w wojskach pożarniczych, i kiedy wrócił: tylko do straży pożarnej! Nic innego nie uznawał. *(Milczy).*

Słyszę jego głos. Żywy. Nawet fotografie tak na mnie nie działają jak głos. Nigdy mnie nie wzywa. Nawet we śnie. To ja go wzywam.

Siódma godzina. O siódmej przekazano mi, że jest w szpitalu. Pobiegłam, ale wokół szpitala stała już kręgiem milicja, nikogo nie wpuszczali. Tylko samochody pogotowia zajeżdżały. Milicjanci krzyczeli: nie zbliżać się, miejsce dla aut.

Nie tylko ja, wszystkie żony przybiegły. Wszystkie, których mężowie w tę noc znaleźli się w elektrowni. Zaczęłam szukać znajomej, była w tym szpitalu lekarzem. Chwytam ją za chałat, gdy wychodzi z auta:

- Wpuść mnie!
- Nie mogę! Źle z nim. Z nimi wszystkimi źle! - krzyczy.
- Choć popatrzeć! - Trzymam ją za chałat.
- Dobrze - mówi - lećmy. Na piętnaście-dwadzieścia minut.

Zobaczyłam go. Ociekający cały, opuchły. Oczu prawie nie ma.

- Mleka trzeba. Dużo mleka! - powiedziała znajoma. - Niech piją, nawet i po trzy litry.
- On nie pija mleka.
- Teraz będzie.

Wielu lekarzy, wiele pielęgniarek, szczególnie salowych tego szpitala, wkrótce zachoruje. Umrze. Wtedy nikt o tym nie wiedział.

O dziesiątej rano zmarł operator Szyszenok. Pierwszy. W pierwszym dniu. Przypuszczamy, że pod ruinami został Walera Chodemczuk. Nie wydobyto go. Zabetonowano. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że wszyscy oni będą pierwsi.

- Wasieńka, co robić? - pytam.
- Wyjeżdżaj stąd! Wyjeżdżaj! Będziesz miała dziecko.
- Jestem w ciąży. Jak go zostawić?
- Jedź! Ocal dziecko! - mówi.
- Najpierw muszę przynieść ci mleko, a potem zdecydujemy.

Przybiega przyjaciółka, Tania Kibienok. Jej mąż leży w tej samej sali. Z nią jest jej ojciec, samochodem. Siadamy i jedziemy do najbliższej wsi po mleko. Jakieś trzy kilometry za miastem. Kupujemy trzylitrowe bańki z mlekiem. Sześć, żeby starczyło dla wszystkich. Od mleka straszliwie ich rwało. Ciągle tracili przytomność, dawali im kroplówki. Lekarz, nie wiedzieć czemu, twierdził, że zatruli się gazami, nikt nie mówił o radiacji.

A miasto zapełniło się wojskową techniką, zamknęli wszystkie drogi. Przestały jeździć elektryczki, pociągi. Myli ulice jakimś białym proszkiem. Martwiłam się, jak się jutro dostanę do wsi, żeby mu kupić kwaśnego mleka. Nikt nie mówił o radiacji. Tylko wojskowi chodzili w maskach. Mieszkańcy nieśli chleb ze sklepów, otwarte kosze z bułeczkami. Ciasta leżały na półkach.

Wieczorem nie wpuścili do szpitala. Morze ludzi wokół. Stałam naprzeciw jego okna, podszedł i coś do mnie krzyczał. Tak rozpaczliwie! Ktoś w tłumie przypuszczał: nocą wywiozą ich do Moskwy. Żony zbiły się w kupkę. Uradziłyśmy:

- Jedziemy z nimi. Puśćcie nas do naszych mężów! Nie macie prawa!

Biłyśmy się, przepychały. Żołnierze, już byli żołnierze, odsuwali nas. Wyszedł lekarz i potwierdził, że polecą samolotem do Moskwy, powinnyśmy przynieść ich odzież, ta, co mieli ją na sobie w elektrowni, spłonęła. Autobusy już nie jeździły, więc biegiem przez całe miasto. Przybiegamy z torbami, a samolot już odleciał. Specjalnie nas omamili. Żebyśmy nie krzyczały, nie płakały.

Noc. Po jednej stronie ulicy autobusy, setki autobusów (miasto przygotowywali do ewakuacji), po drugiej setki samochodów strażackich. Sprowadzonych zewsząd. Cała ulica w białej pianie. Idziemy. Kłócimy się, płacząc.

W radiu oświadczyli, że miasto ewakuują, możliwe, że na trzy-pięć dni, weźcie ze sobą ciepłe rzeczy i sportowe ubiory, będziecie żyć w lasach. W namiotach. Ludzie ucieszyli się nawet: na łonie przyrody! Tam przywitamy Pierwszy Maja. Niebywałe. W mieście przygotowywali szaszłyki. Brali gitary, magnetofony. Płakały tylko te, co utraciły mężów.

Nie pamiętam drogi. Możliwe, że ocknęłam się, kiedy zobaczyłam jego matkę:

- Mamo, Wasia w Moskwie! Wywieźli specjalnym samolotem!
- A my dosadziliśmy drzew w sadzie! - cieszyła się teściowa.

W ciągu tygodnia wioskę ewakuowano! Któż wiedział? Któż wtedy wiedział?

Przed wieczorem chwycił mnie kurcz. Od sześciu miesięcy byłam w ciąży. Tak mi źle. Nocą śnię, że on mnie woła. Póki żył, wzywał mnie we śnie:

- Lusia! Lusieńka!

A kiedy umarł, ani razu nie zawołał. Ani razu. *(Płacze).* Wstaję rankiem i myślę, pojadę do Moskwy. Sama.

- Toś ty taka? - płacze jego matka.

Zabrałam w drogę i ojca. Wziął wszystkie pieniądze, jakie mieli.

Drogi nie pamiętam. Wypadła z pamięci. W Moskwie spytałam pierwszego milicjanta, w jakim szpitalu leżą czarnobylscy strażacy.

- Szósty szpital, na Szukinskiej - powiedział.

Do tego szpitala, specjalistycznego szpitala radiologicznego, nie wpuszczają bez przepustek. Daję w łapę wartowniczce, a ta:

- Zjeżdżaj!

Znowu kogoś prosiłam, błagałam. I oto siedzę w gabinecie kierującej oddziałem radiologicznym Angeliny Wasiliewny Guśkowej[8]. Wtedy nie wiedziałam, jak się nazywa. Wiedziałam tylko, że muszę go zobaczyć. Od razu spytała:

- Masz dzieci?

Jak tu się przyznać?! Myślę, trzeba ukryć ciążę. Nie wpuści do niego! Dobrze, żem chudzina, ciąży po mnie nie widać.

- Mam - odpowiadam.

- Ile?

Myślę, trzeba powiedzieć, że dwoje. Jeśli jedno, na pewno nie wpuści.

- Chłopiec i dziewczynka - mówię.

- Dwoje. Tak. Więcej nie będzie. A teraz słuchaj: centralny układ nerwowy całkiem porażony, szpik kostny porażony w pełni.

No, pięknie, myślę, stanie się trochę nerwowy.

- Posłuchaj dalej: jak zapłaczesz, od razu wygonię. Nie wolno obejmować się i całować. Nie podchodzić za blisko. Masz pół godziny.

Ale ja wiedziałam, że stąd nie wyjdę. Jeśli wyjdę, to z nim. Tak sobie postanowiłam.

Zachodzę. Siedzą na łóżku, grają w karty i rechoczą.

- Wasia! - krzyczę do niego.

Podrywa się:

- Przepadłem, bracia! Nawet tu mnie znalazła!

Śmieszny taki, piżama na nim czterdziestego ósmego rozmiaru, a nosi pięćdziesiąty drugi. Krótkie rękawy, krótkie nogawki. Opuchlizna z twarzy już zeszła. Wlewali w nich jakiś roztwór.

- Coś tak nagle przepadł? - pytam.

A on chce mnie objąć.

- Siadaj - nie pozwala lekarz. - Nie ma czego obejmować.

[8] Angelina W. Guśkowa - ordynator Oddziału Instytutu Biofizyki w Szpitalu nr 6 w Moskwie, gdzie przywożono napromieniowanych z czarnobylskiej elektrowni, specjalistka leczenia chorób popromiennych, w przeszłości osobista lekarka Igora Kurczatowa, ojca radzieckiej fizyki jądrowej, u którego boku - i dzięki jego możliwościom - zdobywała doświadczenie medyczne, m.in. w czasie badania skutków promieniowania po zdarzających się wcześniej awariach; znana w świecie medycznym radiologów, występowała m.in. na międzynarodowych konferencjach zajmujących się awarią w Czarnobylu (np. na spotkaniu zorganizowanym przez Międzynarodową Agencję Energii Atomowej w Wiedniu w sierpniu 1986 r., gdzie uczeni z ZSRR po raz pierwszy wyjaśniali przyczyny wypadku).

W żart obrócił, że byłam chudziutka. Wtedy się zbiegli, z innych sal też. Wszyscy nasi. Z Prypeci. Tych dwudziestu ośmiu, co ich samolotem przywieźli. I co tam? Co u nas w mieście? Opowiadam, że zaczęła się ewakuacja, całe miasto wywożą na trzy albo pięć dni. Towarzystwo milczy. A były tam dwie kobiety i ta z nich, na którą przypadał dyżur w dzień awarii, zapłakała:

- Boże mój! Tam moje dzieci. Co z nimi?

Pragnęłam zostać z nim sama, choćby na minutkę. Chłopcy to wyczuli i każdy wymyślił jakiś powód, aby wyjść na korytarz. Wtedy objęłam go i pocałowałam. On się odsunął:

- Nie siadaj przy mnie. Weź stołek.

- To wszystko głupstwo. - Machnęłam ręką. - Widziałeś, gdzie nastąpił wybuch? I co tam? Byliście przecież pierwsi.

- Wcześniej od tej całej szkodliwości. Ktoś to umyślnie urządził. Wszyscy chłopcy tak sądzą.

Tak wtedy mówili. Tak myśleli. Następnego dnia, kiedy przyszłam, leżeli już osobno, każdy w oddzielnej sali. Kategorycznie zabroniono im wychodzić na korytarz. Obcować ze sobą. Przestukiwać się przez ścianę. Lekarze tłumaczyli to tym, że każdy organizm różnie reaguje na odtrucie i to, co jeden wytrzyma, u drugiego może być ponad siły. Tam gdzie leżeli, okładali szkłem nawet ściany. Z lewa, z prawa i piętro nad nimi. Wszystkich stamtąd wynieśli, ani jednego chorego. Nikogo pod nimi i nad nimi.

Trzy dni mieszkałam u moskiewskich znajomych. Mówili:

- Bierz garnek, bierz miskę, bierz wszystko, co trzeba.

Gotowałam rosół z indyka, na sześciu ludzi. Sześciu naszych chłopców. Strażaków z jednej zmiany. Wszyscy dyżurowali w tę noc: Waszczuk, Kibienok, Titienok, Prawik, Tiszczura.

W sklepie kupiłam dla wszystkich pastę do zębów, szczotki, mydło. Nic takiego w szpitalu nie było. Malutkie płócienka kupiłam. Obecnie dziwię się swoim znajomym. Na pewno bali się, nie mogli się nie bać, chodziły już różne słuchy, a jednak pozwalali mi:

- Bierz wszystko, co potrzebne. Bierz! I jak on? Co u nich wszystkich? Będą żyć?

Żyć... *(Milczy)*- Spotkałam wtedy wielu dobrych ludzi, nie wszystkich pamiętam. Świat sprowadził się do jednego punktu. Skurczył się. On. Tylko on. Pamiętam starszą sanitariuszkę, pouczała:

- Są choroby, których się nie uleczy. Możesz tylko siedzieć i gładzić po ręce.

Nazajutrz rano jadę na bazar, stamtąd do znajomych, gotuję rosół. Wszystko przetrzeć, pokruszyć. Któryś poprosił:

- Przynieś jabłuszko.

Z sześcioma półlitrowymi banieczkami. Zawsze na sześciu! Do szpitala. Siedzę do wieczora. A wieczorem znów na drugi koniec miasta. Chyba po trzech dniach powiedzieli, że można zamieszkać w hotelu dla służby szpitalnej, na terenie szpitala. Boże, cóż za szczęście!

- Ale tam nie ma kuchni. Jakże im gotować?

- Już nie trzeba gotować. Ich żołądki przestają przyjmować pokarm.

Zaczął się zmieniać. Każdego dnia widziałam innego człowieka. Oparzeliny wychodziły na wierzch. Na ustach, języku, policzkach. Najpierw pojawiły się maleńkie plamki, potem się rozrastały. Płatami odchodziła skóra. Białymi błonami. Kolor twarzy, kolor ciała - siny, czerwony, szarobury.

Takie moje, takie kochane! Nie do opowiedzenia! Nie do opisania!

Kochałam go! Ot, nie wiedziałam jeszcze, jak bardzo go kochałam. Niedawno się pobraliśmy. Idziemy ulicą. Chwyta mnie za ręce i obraca. I całuje, całuje. Obok przechodzą ludzie, uśmiechają się.

*

Klinika ostrych nagłych chorób - czternaście dni. W ciągu czternastu dni człowiek umiera.

W szpitalu już w pierwszym dniu zbadali mnie dozymetryści. Odzież, walizka, portmonetka, pantofle - wszystko „jarzyło się". I wszystko to zabrali. Nawet bieliznę. Nie wzięli tylko pieniędzy. W zamian dali szpitalny chałat pięćdziesiątego szóstego rozmiaru, a kapcie czterdziestego trzeciego. Odzież, powiedzieli, może przywieziemy, a może i nie, przede wszystkim musi się ją poddać „czystce". I tak wyglądając, pokazałam mu się. Przeraził się:

- Kobieto, co z tobą?

A jednak ukradkiem gotowałam rosół. Wstawiałam czajniczek w wiadro do mycia. Tam wrzucałam kawałki kurczaka. Maleńkie takie. Potem ktoś oddał mi swój rondelek, salowa albo portierka szpitalna. Ktoś deskę, na której kroiłam zieloną pietruszkę. W szpitalnym chałacie nie mogłam sama iść na bazar, więc ktoś mi przynosił warzywa. Wszystko na próżno, nie mógł już nawet pić. Przełknąć surowego jajka. Chciałam dostać cokolwiek smacznego! Byle mogło pomóc. Wbiegłam na pocztę.

- Dziewczyny - proszę - muszę natychmiast zadzwonić do rodziców w Iwano-Frankowsku. Mój mąż umiera.

Od razu domyśliły się, kim jestem i kim jest mąż, połączyły natychmiast. Mój ojciec, siostra i brat tego samego dnia wylecieli do Moskwy. Przywieźli mi rzeczy. Pieniądze.

Dziewiątego maja. Zawsze mi mówił:

- Nie wyobrażasz sobie, jak piękna jest Moskwa! Szczególnie w Dniu Zwycięstwa, kiedy oddają salwy. Chciałbym, żebyś to zobaczyła.

Siedzę przed nim w sali, otwiera oczy.

- Teraz dzień czy wieczór? - pyta.

- Dziewiąta wieczór.

- Otwórz okno! Zaczną się salwy!

Otwieram. Siódme piętro, miasto przed nami! Bukiet ognia wzbija się w niebo.

- Obiecałem ci, że pokażę Moskwę. Obiecałem, że z okazji święta będę ci przez całe życie dawać kwiaty.

Oglądam się - spod poduszki wystają trzy goździki. Dał pielęgniarce pieniądze i kupiła. Podbiegam do niego.

- Jedyny mój! Miłości moja!

- Co nakazują lekarze? Nie wolno i całować! - wzbrania się.

Nie pozwolili mi go objąć. Ale ja podnosiłam go i sadzałam. Słałam łóżko. Wkładałam termometr. Przynosiłam i wynosiłam kaczkę.

Dobrze, że nie w sali, tylko na korytarzu zakręciło mi się w głowie, chwyciłam się parapetu. Obok przechodził lekarz, wziął mnie za rękę.

- Jesteś brzemienna? - spytał.

- Nie, nie! - krępowałam się, nie chciałam, żeby nas ktoś usłyszał.

- Nie oszukuj - westchnął.

Nazajutrz wzywają mnie do zarządzającej szpitalem:

- Czemuś mnie oszukała? - zapytała.

- Powiedziałabym prawdę, wysłaliby do domu. Święte łgarstwo!

- Coś narobiła!!!

- Ale ja z nim...

Całe życie będę wdzięczna Angelinie Wasiliewnie Guśkowej. Całe życie! Inne żony także przyjeżdżały, ale ich już nie wpuścili. Były ich matki. Mama Wołodii Prawika prosiła Boga:

- Weźmij mnie wcześniej.

Amerykański profesor, doktor Gale[9] robił operację przeszczepu szpiku kost-

Robert Gale - lekarz amerykański, specjalista od przeszczepu szpiku kostnego, profesor UCLA (University of California Los Angeles), który siedem dni po awarii na zaproszenie władz radzieckich przybył do Moskwy „prywatnie" wraz z ekscentrycznym sędziwym multiinilionerem i filantropem, Armandem Hammerem (ówczesne władze radzieckie nie przyjęły pomocy rządu USA), aby na kierowanym przez A. Guśkową oddziale moskiewskiego Szpitala nr 6 dokonywać przeszczepów szpiku kostnego u pacjentów przywiezionych samolotami z Czarnobyla.

nego. Pocieszał: jest nadzieja, mała, ale jest, organizm odporny, silny chłop! Wezwali jego rodzeństwo. Dwie siostry przyjechały z Białorusi, brat z Leningradu, gdzie służył. Młodsza, Natasza, miała wtedy czternaście lat, płakała bardzo i bała się. Jej szpik nadawał się bardziej niż innych. *(Milknie).* Teraz mogę o tym opowiadać. Wcześniej nie. Dziesięć lat milczałam. Dziesięć lat. *(Milknie).*

Kiedy dowiedział się, że chcą pobrać szpik od młodszej siostry, wzbraniał się:

- Wkrótce umrę. Nie krzywdźcie jej, ona taka maleńka. Starsza siostra, Luda, miała dwadzieścia osiem lat, była pielęgniarką, wiedziała, o co idzie.

- Byleby tylko żył - mówiła.

Widziałam operację. Leżeli obok na stołach. Wielkie okno w sali operacyjnej. Operacja trwała dwie godziny. Kiedy kończyli, Ludzie było gorzej niż jemu, miała na piersi osiemnaście nakłuć, z trudem wychodziła z narkozy. Teraz choruje, jest na rencie inwalidzkiej. Była piękną, silną dziewczyną. Za mąż nie wyszła.

Wtedy miotałam się od jednej sali do drugiej, od niego do niej. Leżał już nie w zwyczajnej sali, ale w specjalnej kabinie, za przezroczystą folią, za którą nie wolno było wchodzić. Tak przysposobioną, żeby nie wchodząc pod nią, dawać zastrzyki, stawiać nocnik. Wszystko na tasiemkach, na zamkach, nauczyłam się nimi posługiwać. Obsługiwać go. Przedzierać się do niego. Przed jego łóżkiem stał maleńki stolik. Było z nim tak źle, że nie mogłam odejść ani na minutę. Wołał mnie nieustannie:

- Lusia, gdzie jesteś? Lusieńka!

Wołał i wołał. Inne kabiny, gdzie leżeli nasi chłopcy, obsługiwali żołnierze, dlatego że sanitariusze odmówili, potrzebowali specjalnej odzieży. Żołnierze wynosili kaczki. Przecierali podłogi, wymieniali bieliznę pościelową. Wszystko robili. Skąd tam zjawili się żołnierze? Nie pytałam. Tylko on. On. A każdego dnia słyszę: zmarł, zmarł. Zmarł Tiszczura. Zmarł Titienok. Jak młotkiem po ciemieniu.

Stolec dwadzieścia pięć-trzydzieści razy na dobę. Z krwią i śluzem. Skóra zaczęła trzaskać na rękach, nogach. Ciało pokryło się wrzodami.

Kiedy ruszał głową, na poduszce zostawały kępki włosów.

- Obciąć? - pytam.

- Trzeba. Po co mi włosy?

Szybko wszystkich podstrzygli. Sama mu obcięłam. Wszystko chciałam przy nim robić sama. Gdybym mogła wytrzymać fizycznie, nie odeszłabym przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Każdej minutki było mi żal. Chwili. *(Długo milczy).* Przyjechał brat i przestraszył się:

- Ja cię tu nie wpuszczę!

- To wejdzie oknem! - ojciec na to. - Po strażackiej drabinie!

Otrząsnęłam się. Wracam - na jego stoliku pomarańcza. Wielka, nie żółta, różowa. Uśmiecha się:

- Gościniec dla mnie. Bierz.

A pielęgniarka przez folię pokazuje, żeby nie jeść. I tak przy nim jakiś czas leżała, nie, żeby jeść, do niego przedostać się trudno.

- No, jedz - prosi. - Przecież lubisz pomarańcze.

Biorę ją do ręki. A on w tym czasie zamyka oczy i zasypia.

Cały czas dawali mu zastrzyki, żeby spał. Narkotyki. Pielęgniarka patrzy na mnie ze strachem. A ja? Jestem gotowa zrobić wszystko, żeby tylko nie myślał o śmierci. I o straszliwym bólu. I że się go boję. Urywek jakiejś rozmowy. W mojej pamięci. Ktoś oświadcza:

- Nie wolno ci zapominać, że masz przed sobą nie męża, nie ukochanego człowieka, lecz radioaktywny obiekt z wysokim wskaźnikiem skażenia. Jesteś samobójczynią? Weź się w garść.

A ja, jak w malignie:

- Kocham go! Kocham go!

Śpi, a ja szepczę:

- Kocham cię!

Wychodzę na szpitalny dziedziniec:

- Kocham cię!

Niosę kaczkę:

- Kocham cię!

Wspominałam, jak wcześniej żyliśmy. W naszym osiedlu. Zasypiał nocą tylko wtedy, kiedy wziął mnie za rękę. Taki miał nawyk: we śnie trzymał mnie za rękę. Całą noc.

W szpitalu biorę go za rękę i nie puszczam. Noc. Cisza. Tylko my. Popatrzył na mnie bardzo uważnie i nagle mówi:

- Tak chcę zobaczyć nasze dziecko. Jak ono?

- Jak je nazwiemy? - pytam.

- No, to już sama wymyśl.

- Dlaczego sama, skoro nas dwoje?

- Jeśli urodzi się chłopiec, niech będzie Wasia, a jeśli dziewczynka, Nataszka.

- Wasia? Już mam jednego Wasię. Ciebie! Drugiego mi nie trzeba.

Ot, nie wiedziałam, jak bardzo go kochałam! On. Tylko on. Jak ślepa! Nawet nie czułam ruchów pod sercem, choć był już szósty miesiąc. Myślałam, że moje maleństwo wewnątrz mnie jest chronione.

0 tym, co było nocą w kabinie, nikt z lekarzy nie wiedział. Nie dowiadywał się. Szukały mnie pielęgniarki. Wcześniej przygadywały:

- Młodaś. Czemuś taka zamyślona? To już nie człowiek, a reaktor. Spalicie się razem.

A ja, jak pies, biegałam za nimi. Czasem stawałam pod drzwiami. Prosiłam, błagałam. A one:

- Czort z tobą! Nienormalna.

Rankiem, przed godziną ósmą, kiedy zaczynał się obchód lekarski, pokazują mi przez folię:

- Uciekaj!

Na godzinę zbiegam do hotelu. A od dziewiątej rano do dziewiątej wieczorem mam przepustkę. Nogi mi do kolan posiniały, puchły, jak tylko stawałam.

Dopóki z nim byłam, nie robili tego, ale kiedy wychodziłam, fotografowali go. Odzieży nijakiej. Goły. Tylko lekkie prześcieradełko na wierzchu. Każdego dnia zmieniałam mu je, bo na wieczór było całe we krwi. Podnoszę go i na rękach zostają mi kawałki skóry, przylepiają się.

- Najmilszy! Pomóż! - proszę. - Oprzyj się na ręce, na łokciu, żebym ci pościel wygładziła, nie zerwała szwu na wierzchu, fałdy.

Jedna rana na nim. Urobiłam sobie ręce do krwi, żeby tylko gdzieś nie zaczepić. Żadna z pielęgniarek nie mogła podejść, przecisnąć się. Jak potrzeba czegokolwiek, wołają mnie. I fotografowali. Dla nauki, mówili. Wszystkich ich bym stamtąd wyrzuciła! Krzyczałabym! Biła! Jak mogą! Całe moje. Ukochane moje.

Wychodzę z sali na korytarz. Idę pod ścianą, po dywanie, żeby ich nie widzieć. Mówię do dyżurnej pielęgniarki:

- Umiera.

- Czegóż chcesz? - odpowiada. - Dostał tysiąc sześćset rentgenów, a śmiertelna dawka czterysta. Siedzisz naprzeciw reaktora.

Całe moje. Ukochane moje.

Kiedy wszyscy zmarli, w klinice zrobiono remont. Ściany odarli z tynku, zerwali parkiet i wynieśli. Stolarkę.

Dalej. Potem. Pamiętam urywkami. Wybuch.

Nocą siedzę naprzeciw niego na stoliczku. O ósmej rano mówię:

- Wasieńka, wyjdę. Odpocznę troszkę.

Otwiera i zamyka oczy - pozwolił. Tylko dojdę do hotelu, do swego pokoju, padam na podłogę, na łóżku leżeć nie mogłam, tak wszystko bolało, a zaraz stuka salowa.

- Biegnij do niego! Woła bezustannie! - krzyczy.

1 tego ranka Tania Kibienok tak mnie prosiła, błagała:

- Pojedź ze mną na cmentarz. Bez ciebie nie wytrzymam.

Grzebali Witię Kibienoka i Wołodię Prawika. Z Witią byli przyjaciółmi. Przyjaźniliśmy się rodzinami. Na dzień przed wybuchem fotografowaliśmy się u nas na osiedlu. Tacy piękni tam nasi mężowie! Weseli! Ostatni dzień naszego życia. Tacyśmy szczęśliwi!

Wróciłam z cmentarza, szybciutko do pielęgniarki:

- Co u niego?

- Piętnaście minut temu zmarł.

Jakże? Całą noc przy nim. Tylko na trzy godziny opuściłam! Stałam przy oknie i wyłam:

- Dlaczego? Za co?

Patrzyłam w niebo i wyłam. Na cały hotel. Bali się do mnie podejść.

Oprzytomniałam: na koniec muszę go zobaczyć! Zobaczyć! Zleciałam ze schodów. Leżał jeszcze w kabinie, nie wywieźli. Ostatnie jego słowa:

- Lusia! Lusieńka!

- Tylko co wyszła. Zaraz przybiegnie - uspokajała pielęgniarka.

Westchnął i ucichł.

Już się od niego nie oderwałam. Szłam z nim do trumny. Nie samą trumnę pamiętam, a wielką polietylenową torbę. W kostnicy powiedzieli:

- Chcesz, pokażemy, w co go ubierzemy.

Chcę! Odziali w paradny mundur, furażerkę na wierzch położyli, na piersi. Obuć nie obuli, nie dobrali butów, bo nogi spuchły. Paradny mundur też rozcięli, nie mogli naciągnąć, całego ciała już nie było. Wszystko - rana. W ostatnie dwa dni podniosę mu rękę, kość wychodzi, rusza się, ciało od niej odeszło. Kropelki moczu, kropelki wątroby wychodziły z potem. Zachłystywał się wnętrznościami. Obwiązuję rękę gazą i zasuwam otwór, wszystko to z niego wygrzebuję. O tym nie trzeba mówić! Nie trzeba pisać! Wszystko takie drogie. Takie ukochane.

Żadnego rozmiaru obuwia nie można było naciągnąć. Położyli do trumny bosego. Na moich oczach. W paradnym mundurze włożyli go do celofanowego worka i zawiązali. I ten worek złożyli w drewnianej trumnie. A trumnę jeszcze jednym workiem obwiązali. Celofan przezroczysty, ale tłusty jak klej. I to wszystko umieścili w cynkowej trumnie. Wcisnęli. Tylko furażerka została na wierzchu.

Wszyscy się zjechali. Jego rodzice, moi. Kupili w Moskwie czarne opaski. Przyjęła nas nadzwyczajna komisja. Wszystkim mówiono to samo: ciał waszych mężów i synów oddać nie możemy, są bardzo radioaktywne i będą pochowane na moskiewskim cmentarzu w specjalny sposób. W cynkowych trumnach, pod betonowymi płytami. I jesteście zobowiązani podpisać ten dokument.

Jeśli ktoś oburzał się, chciał wywieźć trumnę do siebie, uprzedzano go, że oni, ci martwi, to teraz bohaterowie i już nie należą do rodziny. Są teraz państwowymi ludźmi. Należą do państwa.

Położyli na katafalk. Służba i jacyś wojskowi. Był też pułkownik, z rangi sądząc. I wedle rangi rozkazuje:

- Przestrzegajcie naszych rozkazów! Przestrzegajcie!

Dwie albo trzy godziny wałęsaliśmy się po Moskwie, po obwodnicy. Wracamy do Moskwy, a ten z rangą:

- Na cmentarz jechać nie radzimy. Atakują cudzoziemscy korespondenci. Zdążycie.

Rodzice milczą. Mama w czarnej chustce. Czuję, że tracę panowanie:

- Chcecie mojego męża ukrywać? Kim jest? Zabójcą? Przestępcą? Skazańcem? Kogo grzebiemy?

- Cicho, cicho, córeczko. - Mama głaszcze mnie po głowie.

- Możecie iść na cmentarz - pozwala wreszcie pułkownik. - Z niej histeryczka. - Pokazuje na mnie.

Na cmentarzu otoczyli nas żołnierze. Szliśmy pod konwojem. Nieśli trumnę. Nikogo nie wpuścili. Tylko nas. Zasypali momentalnie.

- Szybko! Szybko! - komenderował oficer.

Trumny nawet objąć nie dali. I od razu do autobusu. Ukradkiem.

Błyskawicznie kupili i przynieśli bilety powrotne. Na następny dzień. Cały czas był z nami jakiś człowiek w cywilu, z wojskową naszywką. Nie dał nawet wyjść z hotelu, aby kupić jadło na drogę. Nie daj Bóg, żebyśmy do kogokolwiek zagadali, a szczególnie ja. Jakbym wtedy mogła rozmawiać, nawet płakać nie mogłam. Dyżurna, kiedyśmy wychodzili, zebrała całą pościel, wszystkie prześcieradła. Włożyła w polietylenowy worek. Z pewnością spalili. Za hotel zapłaciliśmy sami. Za czternaście dni.

*

Klinika chorób wewnętrznych - czternaście dni. W ciągu czternastu dni człowiek umiera.

W domu usnęłam. Weszłam i zwaliłam się na łóżko. Spałam trzy doby. Przyjechało pogotowie.

- Nie umarła - powiedział lekarz. - Jej śni się jakiś straszny sen.

Miałam dwadzieścia trzy lata.

Pamiętam sen. Przychodzi do mnie moja zmarła babcia, w ubraniu, w którym ją pochowaliśmy. I ubiera choinkę.

- Babciu, skąd tu choinka? Przecież jest lato!

- Tak trzeba. Twój Wasia do mnie przyjdzie. Wyrósł w środku lasu.

Pamiętam sen: Wasia przychodzi w bieli i woła Nataszę. Naszą dziewczynkę, której jeszcze nie urodziłam. Duża już. Podrosła. Podrzuca ją pod sufit, sinieją się. Patrzę na nich i myślę, że szczęście - takie to proste. Śnię. Brodzimy z nim w wodzie. Długo, długo idziemy. Prosił zapewne, żebym nie płakała. Dawał znak. Stamtąd. Z wysoka.

(Cichnie na długo).

Po dwóch miesiącach przyjechałam do Moskwy. Z dworca na cmentarz. Do niego! I tam, na cmentarzu, zaczęły się skurcze. Kiedy tylko zaczęłam z nim rozmawiać. Wezwali pogotowie. Rodziłam u tej samej Angeliny Wasiliewny Guśkowej. Jeszcze wtedy uprzedzała mnie:

- Rodzić przyjeżdżaj do nas.

Dwa tygodnie przed terminem rodziłam.

Nie pokazali. Dziewczynka.

- Nataszeńka - nazwałam. - Tato nazwał cię Nataszką.

Na oko zdrowe dziecko. Rączki, nóżki. Miała marskość wątroby. W wątrobie dwadzieścia osiem rentgenów. Wrodzoną wadę serca. Po czterech godzinach powiedzieli, że dziewczynka zmarła. I znowu: nie oddamy ci jej!

- Jakże, nie oddacie?! To ja jej wam nie oddam! Chcecie ją zabrać dla nauki, nienawidzę waszej nauki! Nienawidzę! Na początek zabrała mi jego, a teraz chce jeszcze... Nie oddam! Pochowam ją sama. Razem z nim.

(Milczy).

Wciąż nie te słowa mówię. Nie takie. Nie powinnam krzyczeć po insulinie. I płakać nie powinnam. Dlatego i słowa nie te. Ale powiem. Tego jeszcze nie wie nikt. Kiedy nie oddałam im mojej dziewczynki, naszej dziewczynki, przynieśli mi drewniane pudełko:

- Ona - tam.

Spojrzałam. Zamknęli. Zapłakałam:

- Połóżcie ją u jego stóp. Powiedzcie, że to nasza Nataszeńka.

Na grobie nie napisano: Natasza Ignatienko. Tam tylko jego imię. Ona wszak była bez imienia, bez niczego.

Przychodzę zawsze do nich z dwoma bukietami: jeden - dla niego, drugi kładę jej w kąciku. Pełznę przy mogile na kolanach. Zawsze na kolanach.

*

Dali mi w Kijowie mieszkanie. W wielkim domu, gdzie teraz mieszkają wszyscy z elektrowni atomowej. Duże mieszkanie, dwupokojowe, o jakim z Wasią marzyliśmy.

Ale ja w nim odchodziłam od zmysłów! W każdym kącie, gdzie tylko spoj-

rzę - wszędzie on. Zaczęłam remont, aby nie siedzieć, zapomnieć. I tak przez dwa lata. Śnię sen. Idziemy z nim, on boso.

- Czemuś wciąż nie obuty?

- Bo nic nie mam.

Poszłam do cerkwi. Batiuszka doradził:

- Trzeba kupić tenisówki wielkiego rozmiaru i włożyć komukolwiek do trumny. Napisać notkę, że dla niego.

Tak zrobiłam. Przyjechałam do Moskwy i do cerkwi. Tam bliżej do niego. Leży na cmentarzu Mitinskim. Opowiadam odprawiającemu, że tak i tak, mam oddać tenisówki.

- A wiesz, jak to zrobić? - pyta.

I objaśnił. Właśnie wnieśli zwłoki starszego dziadka. Podchodzę do trumny, podnoszę wieko i wkładam.

- Notkę napisałaś?

- Napisałam, ale nie wskazałam, na którym cmentarzu leży.

- Już go na tamtym świecie znajdą.

Nie miałam żadnej chęci do życia. Nocą stoję przy oknie, patrzę w niebo.

- Wasieńka, cóż mam robić? Nie chcę bez ciebie żyć.

Za dnia przechodzę obok przedszkola, stoję i stoję. Patrzyłabym i patrzyła na dzieci. Odchodziłam od zmysłów! Zaczęłam więc nocami prosić:

- Wasieńka, urodzę dziecko. Boję się zostać sama. Dłużej nie wytrzymam, Wasieńka!!!

A innym razem proszę:

- Wasieńka, nie chcę mężczyzny. Lepszego od ciebie nie ma. Chcę tylko dziecka.

Miałam dwadzieścia pięć lat.

Znalazłam mężczyznę. Powiedziałam mu o wszystkim. Całą prawdę. Spotykaliśmy się, ale nigdy go do siebie nie zaprosiłam. W domu nie mogłam. Tam - Wasia. Pracowałam jako cukiernik. Lepię tort, a łzy się toczą. Nie płaczę, a łzy się leją. Jedyne, o co prosiłam dziewczyny:

- Nie żałujcie mnie. Jeśli będziecie żałować, wyjdę.

Chciałam być jak wszyscy.

Przynieśli mi order Wasi. Czerwony. Długo nań nie mogłam patrzeć. Łzy napływały.

*

Urodziłam chłopca. Teraz mam kogoś, kim oddycham i żyję. Cudownie wszystko rozumie.

- Mamusiu, jeśli wyjadę do babci na dwa dni, wytrzymasz? - pyta.

Nie potrafię! Boję się rozstać z nim nawet na dzień. Szliśmy ulicą. I, czuję, padam. Tak mnie insulina rozbiła. Tam, na ulicy.

- Mamusiu, trzeba ci wody.

- Nie, stój przy mnie. Nigdzie nie odchodź.

I chwytam go za rękę. Dalej nie pamiętam. Oczy otworzyłam w szpitalu. Tak go chwyciłam, że lekarz musiał rozginać mi palce. Długo potem synek miał siną rękę. Teraz, gdy wychodzimy z domu, mówi:

- Mamusiu, tylko nie chwytaj mnie za rękę. Nigdzie od ciebie nie odejdę.

Też choruje: dwa tygodnie w szkole, dwa w domu z lekarzem. I tak żyjemy. Boimy się jedno o drugie. A w każdym kącie Wasia. Jego fotografie. Nocą Z nim mówię i mówię.

*

Wraz ze mną mieszkają tu sami pracownicy elektrowni, jak mówimy, wartownicy. Całe życie tam przepracowali. Do tej pory jeżdżą tam na wachtę.

Wielu z nich cierpi na straszliwe choroby, są inwalidami, ale elektrowni nie porzucają. Gdzie i komu mogliby być dziś potrzebni? Wielu umiera. Nagle. Siedział na ławeczce - i spadł. Wyszedł, czekał na autobus - i upadł. Umierają, ale nikt ich jak dotąd nie rozpytywał. Ani o to, cośmy przeżyli. O śmierci ludzie nie chcą słyszeć. O tym wszystkim strasznym.

Ale ja opowiedziałam o miłości. Jakże go kochałam...

Ludmiła Ignatienko,
żona poległego strażaka
Wasilija Ignatienko

Wywiad autorki z samą sobą o przypuszczalnej historii

- Minęło dziesięć lat. Czarnobyl stał się już metaforą, symbolem. Nawet historią. Napisano dziesiątki książek, nakręcono tysiące metrów taśmy. Wyobrażamy sobie, że o Czarnobylu wiemy wszystko: fakty, nazwy, liczby. Cóż można dodać? Może to naturalne, że ludzie chcą zapomnieć? Czarnobyl, wmawiamy sobie, jest za nami. O czym jest ta książka? Dlaczego ją napisałam?

- To książka nie o Czarnobylu, lecz o świecie Czarnobyla. Przede wszystkim o tym, o czym wiemy mało albo wręcz nie wiemy. Historia przypuszczalna, tak bym ją nazwała. Nie interesowało mnie samo wydarzenie: co się stało w tę noc w elektrowni i kto temu winien, jakie podjęto decyzje, ile ton piachu i betonu wykorzystano, żeby usypać sarkofag nad szatańską dziurą. Interesowały mnie odczucia ludzi wypchniętych w niewiadomą. W tajemnicę. Czarnobyl to tajemnica, którą przyjdzie nam zgłębić. Możliwe że to zadanie na XXI wiek. Jego jeszcze nie rozwiązany wzór. Tego, co człowiek nauczył się, odgadł, odkrył w samym sobie. W swoim stosunku do świata. Rekonstrukcja odczuć, a nie wydarzeń.

Jeśli wcześniej, kiedy pisałam książki, wgłębiałam się w cierpienia innych, to teraz sama jestem świadkiem, jak wszyscy. Moje życie to część tutejszych wydarzeń, wszak tu żyję. Na czarnobylskiej ziemi. W małej Białorusi, o której wcześniej świat prawie nie słyszał. W kraju, o którym teraz mówią, że to nie ziemia, lecz czarnobylskie laboratorium, a Białorusini - czarnobylski naród. Czarnobyl stał się naszym domem, narodową powinnością. Nie mogłam nie napisać tej książki.

- Cóż to takiego - Czarnobyl? Gigantyczna katastrofa technologiczna, nieporównywalna z niczym, co zdarzyło się wcześniej?

- To więcej niż katastrofa. Najwyższy czas, aby umieścić Czarnobyl w rzędzie najnowszych kataklizmów. Ale przeszkadzają nam go przemyśleć. Cały czas idziemy w fałszywym kierunku. Dotychczasowe doświadczenie jest niedostateczne. Po Czarnobylu żyjemy w innym świecie, poprzedniego już nie ma.

Ale człowiek nie chce o tym myśleć, nawet zastanowić się nie chce. Zastygł w popłochu.

Nieraz słyszałam od rozmówców podobne wyznania: „brak słów, żeby wyrazić, co zobaczyłam i przeżyłam", „w żadnej książce o tym nie czytałem ani nic takiego w kinie nie widziałem", „wcześniej nikt mi o niczym podobnym nie opowiadał". Choć zwierzenia te powtarzały się, świadomie nie wyrzucałam ich z książki. I spotka się w niej wiele powtórek. Zostawiam je, nie wykreślam ich. Nie tylko z powodu wiarygodności, „nie upiększonej prawdy", wydaje mi się, że dodatkowo odzwierciedlają nadzwyczajność tego, co się dzieje. Wszystko należy wpierw oznaczyć, wymówić na głos. Zdarzyło się coś, do czego nie mieliśmy jeszcze ani wyobraźni, ani analogii, ani doświadczenia, do czego nie były przystosowane ni nasze oko, ni ucho, nawet nasz słownik się nie nadaje. Wszystkie instrumenty wewnętrzne są nastrojone, żeby zobaczyć, usłyszeć albo dotknąć. Nic z tego nie było możliwe. Żeby to pojąć, człowiek musi wyjść poza samego siebie. Zaczęła się nowa historia odczuć.

- Ale człowiek i wydarzenie nie zawsze stanowią jedno.

- Szukałam człowieka poszukującego. Pozostawionego z tym sam na sam. Zastanawiającego się. Trzy lata jeździłam i pytałam: pracowników elektrowni, uczonych, byłych działaczy partyjnych, medyków, żołnierzy, przesiedleńców, tutejszych[10]. Ludzi różnych profesji, służb, pokoleń i temperamentów. Wierzących i ateistów. Wieśniaków i intelektualistów. Czarnobyl jest zasadniczą treścią ich świata. Wszystko, co wewnątrz i wokół, odeszło od nich. Nie tylko ziemia i woda, cały ich czas.

Wydarzenie opowiedziane przez jednego człowieka to jego los, przez wielu ludzi - to już historia. Bardzo trudno jest pomieścić dwie prawdy: osobistą i ogólną. A dzisiejszy człowiek jest na przełomie epok. Zeszły się dwa kataklizmy: społeczny - na naszych oczach tonie ogromny socjalistyczny kontynent, i kosmiczny - Czarnobyl. Dwa globalne wybuchy. Pierwszy - bliższy, zrozumiały. Ludzie są zajęci codziennością, bytem: za co coś kupić? Dokąd pojechać? W co wierzyć? Z jakim hasłem politycznym wyruszyć? To przeżywają wszyscy i każdy. A o Czarnobylu chcieliby zapomnieć. Najpierw mieli nadzieję go przezwyciężyć, ale pojąwszy daremność prób, zamilkli. Trudno bronić się przed tym, czego się nie zna. Czarnobyl przemieścił nas z jednego czasu w drugi. Przed nami rzeczywistość nowa dla wszystkich.

[10] Tutejsi (w oryginale: *samosioły* - samoosiedleńcy, tutejsi, miejscowi) - chodzi tu o tych, którzy - wbrew niebezpieczeństwu napromieniowania - zostali w strefie skażonej albo wrócili tam po ewakuacji; formułowanie specjalnych terminów polskich - w rodzaju: ostańcy, zostańcy, trwacze, powróceńcy itp. - byłoby sztuczne.

Ale o czymkolwiek człowiek mówi, siłą rzeczy obnaża i siebie. Jacy więc z nas ludzie? Nasza historia - to dzieje cierpień. Cierpienie - to nasza ucieczka. Nasz kult. Jesteśmy nim zahipnotyzowani. A chciałoby się powiedzieć i o czymś innym - o sensie człowieczego życia, naszego istnienia na ziemi.

Jeździłam, rozmawiałam, zapisywałam. Ci ludzie pierwsi... zobaczyli to, co my tylko podejrzewamy. Co dla wszystkich jeszcze tajne. O tym niech sami opowiedzą.

Nieraz wydawało mi się, że zapisuję przyszłość.

ROZDZIAŁ I

Ziemia martwych

Monolog o tym, o czym ludzie sobie przypominają

Nie chcę, żeby ktoś, poza mną, wiedział, czego doświadczyłem. Pragnę się odkryć, ale obnażony czuję się jeszcze gorzej. U Tołstoja Pierre Biezuchow tak był doświadczony przez wojnę, iż sądził, że zmienił się na zawsze. A mija jakiś czas, a on mówi: „Nadal będę rugać stangreta, nadal będę klął".

O czym teraz ludzie sobie przypominają? Żeby dochodzić prawdy? Sprawiedliwości? Uwolnić się i zapomnieć? Pojmują, że stali się uczestnikami wydarzeń? Nie! Szukają obrony w przeszłości. A wspomnienia - rzecz krucha, efemeryczna. To nie wiedza, to domysł człowieka o sobie, zaledwie przeczucie. Ryłem w pamięci i przypomniałem sobie: wszystko, co najstraszniejsze, działo się w dzieciństwie. Wojna. I to.co po niej.

Pamiętam, jak bawiliśmy się w „tatę i mamę". Rozbieraliśmy smarkaczy i kładli jedno na drugie. To były pierwsze dzieci urodzone po wojnie. W czasie wojny wiele dzieci zginęło. O urodzonych po niej cała wieś wiedziała więc wszystko - jakie słowa już umieją, kiedy które zaczęło chodzić. Tak czekaliśmy na życie! Zabawa w „tatę i mamę". Chcieliśmy zobaczyć, jak zaczyna się życie. Mieliśmy po osiem-dziesięć lat.

Widziałem, jak kobieta się zabija. W krzakach nad rzeką cegłą waliła się w głowę. Była w ciąży z policajem, cała wieś go nienawidziła. Jako dziecko widziałem, jak rodzą się kocięta. Pomagałem matce wyciągać cielaka z krowy, wodziłem do knura świnię. Pamiętam, jak przywieźli zabitego ojca, w zrobionym przez mamę swetrze. Zginął od kulomiotu albo automatu, bo krwawe kawałki wyłaziły. Leżał na łóżku. Pogrzebano go przed domem, w grządkach buraczanych. Bój, na drodze zabite konie i ludzie.

To zakazane wspomnienia. Nie mówiłem o nich. Wspominałem śmierć jak poród. Miałem jednakie uczucia, kiedy z krowy wyłaniał się cielak, na świat wychodziły kocięta i kiedy kobieta zabijała się w krzakach. Poród i śmierć wy-

dawały mi się jednym i tym samym. Ledwie przypomnę to sobie, zapadam się w koszmar.

Pamiętam jeszcze, jak nas, malców, kobiety brały ze sobą do łaźni. Wszystkim, mojej matce też, wypadały macice (już to rozumieliśmy), podwiązywały je szmatami. Macice opuszczały się od ciężkiej pracy. Mężczyźni na froncie, w partyzantce. Koni nie było. Kobiety ciągnęły pługi. Orały pola kołchozowe. Kiedy wyrosłem i zdarzyło mi się zbliżyć do kobiety, pamiętałem, com widział w łaźni.

Chciałem zapomnieć. Zapominałem. Myślałem, że najstraszniejsze mam za sobą. I oto pojechałem do czarnobylskiej zony[1]. Wiele razy już tam byłem. I tam pojąłem, że się nie obroniłem. Rozsypuję się. Przeszłość już mnie nie obroni.

Piotr S., psycholog

Monolog o tym, o czym można pogadać z żywymi i z martwymi

Nocą wilk wszedł na podwórze. Wyjrzałam przez okno, a ten stoi i świeci oczami niby reflektorami. Do wszystkiego przywykłam. Siedem lat żyję sama. Siedem lat, jak ludzie wyjechali. Nocą, bywa, siedzę, póki się nie rozjaśni. I myślę. Dziś całą noc na łóżku siedziałam, a potem wyszłam popatrzeć na słoneczko.

Najsprawiedliwszą rzeczą na świecie jest śmierć. Nikt jej nie umknie. Ziemia wszystkich przyjmie: dobrych i złych, i grzeszników. Sprawiedliwości na świecie nie ma. Trudziłam się przez całe życie, żyłam wedle sumienia, a jakoś jej nie zaznałam. Bóg gdzieś tam podzielił, jak przyszła kolej na mnie, nic nie zostało. Młody może umrzeć, a stary musi. Czekałam na ludzi. Wrócą, myślałam. Nikt nie wyjeżdżał na zawsze, ale na jakiś czas. Śmierci czekam. Umierać nietrudno, a przykro. Cerkwi nie ma. Batiuszki nie ma. Grzechów nie ma komu wyznać.

[1] Zona - strefa, skażony radiacją zamknięty obszar wokół Czarnobyla, początkowo sięgający od 10 do 30 km od reaktora na tereny Białorusi, Rosji i Ukrainy (ukraiński Czarnobyl leży tuż nad granicą z Białorusią i Rosją), skąd ewakuowano ludność. Po dokonaniu pomiarów radiacyjnych rozszerzony o tereny skażone opadającymi nań radionuklidami cezu 137 i strontu 90, miejscami i do 300 km od reaktora. Termin „zona" funkcjonuje w trzech dotkniętych katastrofą krajach. Nie jest pochodzenia słowiańskiego, ale bardziej jednoznacznie oddaje istotę rzeczy niż polskie pojemne pojęcie „strefa".

Jak pierwszy raz powiedzieli, że u nas radiacja, myśleliśmy: to jakaś choroba, zachorujesz - umrzesz. Nie, mówią potem, to coś takiego, co leży na ziemi i w ziemię włazi, a zobaczyć nie można. Zwierzę może widzieć i słyszeć, a człowiek nie. A to nieprawda! Widziałam. Ten cez u mnie w ogrodzie walał się, póki deszcz go nie zmoczył. Kolor miał taki ciemnawy. Leży i przesuwa się kawałkami. Przybiegam z kołchozu i wchodzę do ogródka. Taki kawałek niebieski. A dwieście metrów dalej jeszcze jeden. Wielki jak chustka na głowie. Krzyknęłam do sąsiadki, ogrody obiegłyśmy, pola. Ze cztery kawałki znalazłyśmy. Jeden był czerwonego koloru. Nazajutrz popadał deszcz. Z samego rana**.** I koło obiadu już nic nie było. Jak przyjechała milicja, nie było co pokazać. Tylko opowiedziałyśmy. Kawałki, o, takie. *(Pokazuje rękami).* Jak moja chustka. Niebieskie i czerwone.

Tak bardzo nie baliśmy się tej radiacji. Jakbyśmy jej nie widzieli, nie poznali, może i balibyśmy się, a kiedy zobaczyliśmy - już nie taka straszna. Milicja z żołnierzami postawiła znaki. U jednych przy domu, gdzie indziej na ulicy. Napisali: siedemdziesiąt kiurów, sześćdziesiąt kiurów. Od zawsze żyliśmy z kartofli, buraczków, a teraz powiedzieli - nie wolno! Ten w płacz, tamten w śmiech. Robić w ogrodzie radzili w opaskach z gazy na ustach i w gumowych rękawicach. A do tego jakiś ważny uczony przyjechał i wystąpił w klubie, że trzeba myć drzewa. Dziwactwo! Słyszał kto! Nakazali zmieniać poszwy, prześcieradła; firanki. Toż one w domu! W szafach i kufrach! Jakaż w domu radiacja? Za szkłem? Za drzwiami? Dziwactwo! Znajdziesz ją w lesie, w polu. Studnie pozamykali na kłódki, folią celofanową owinęli. Woda „groźna". Jakże groźna, jak czysta! Nagadali bzdur: umrzecie, trzeba wyjeżdżać, ewakuować

Zasępili się ludzie, przestraszyli. **I** dawaj w nocy zakopywać dobra. Wzięłam odzież, czerwone dyplomy[2] za ciężki trud i grosze, zagrzebałam. I smutek serce przeszył! Żebym tak padła, jak łżę! A do tego słyszę, w jednej wsi żołnierze ludzi ewakuowali, a dziad z babą zostali. Przed dniem, kiedy ludzi chwytali, do autobusów wiedli, oni krówkę wzięli i w lesie zapadli. Tam przeczekali. Skąd bierze się bieda? *(Płacze).* Niełatwe nasze życie. Nie chcesz płakać, a łzy płyną.

[2] Czerwone dyplomy (w oryginale: *krasnyje gramoty)* - dyplomy pochwalne, często z czerwonego brystolu, przyznawane w „socjalistycznym współzawodnictwie pracy" i za inne zusługi w byłym ZSRR.

Popatrzę przez okno: sroka przyleciała. Nie gnam ich. Choć bywa, że sroki jajka mi z kurnika kradną. Ale nie przeganiam. Wczoraj zając przebiegł.

Ech, gdyby tak codziennie ktoś przyszedł do domu! Niedaleko stąd, w drugiej wsi, też jedna baba żyje. Mówiłam, żeby przeniosła się do mnie. Pomoże, a i odezwać się byłoby do kogo. Nocą wszystko boli. Nogi sztywnieją, jakby mrówki po nich biegały, to nerw po mnie idzie. Wtedy biorę coś w ręce, garść ziarna i trę, trę. I uspokaja się nerw. Com się już narobiła w życiu, namartwiła. Dość, nic już nie chcę. Jak umrę, odetchnę. Dusza tam, a ciału wreszcie spokój. I córki mam, i synów. W mieście. Nigdzie stąd nie chcę. Dał Bóg lat, a nie dał szczęścia. Wiem, że starszy człowiek dokucza, dzieci obraża. Radość z dzieci, póki małe. Kobiety, co wyjechały do miasta, płaczą. To synowa się obrazi, to córka. Wrócić chcą. Mój tu w mogiłce leży, na cmentarzu. A ja z nim. *(Wtem wesoło).* I po co jechać? Dobrze mi tu! Wszystko rośnie, kwitnie, żyje. I muszka, i zwierz.

Wszystko pamiętam. Lecą samoloty i lecą. Każdego dnia. Niziuteńko nad głowami. Lecą na reaktor. Na elektrownię. Jeden za drugim. A u nas - ewakuacja. Przesiedlanie. Szturm na domy robią. Ludzie pozamykali się, pochowali. Bydło ryczy, dzieci płaczą. Wojna! A słoneczko świeci. Zastukali żołnierze:

- I co, gospodyni, zebrałaś się?
- Siłą będziecie mi ręce i nogi wiązać? - pytam.

Pomilczeli, pomilczeli i poszli. Młodziutcy tacy. Dzieci! Baby na kolanach przed domami pełzały. Błagały. A żołnierze pod rękę jedną, drugą i na ciężarówę. Zagroziłam, że który mnie dotknie, kijem dostanie. Wyzywałam! Gromko wymyślałam! Nie płakałam. Wtedy nie płakałam.

A potem wszystko ucichło. Pierwszego dnia nie wyszłam z domu. Opowiadali: szedł tłum ludzi, tabun bydła. Wojna! Mój mawiał, że człowiek strzela, a Bóg kule nosi. Jaki komu los! Młodsi, co powyjeżdżali, poumierali w nowym miejscu. A ja, choć o kiju, drepczę. Tęskno się zrobi - zapłaczę. Wieś pusta. I ptaszki tu wszelkie latają. I łoś chodzi, jakby nigdy nic. *(Płacze).* Wszystko pamiętam. Ludzie powyjeżdżali, a koty i psy zostawili. Przez pierwsze dni chodziłam i mleka im nalewałam, a psom po kęsie chleba. Biegały po podwórkach i czekały na gospodarzy. Głodne koty ogórki żarły, pomidory. Do jesieni kosiłam trawę sąsiadki przed furtką. Płot padł, podniosłam. Ludzi czekałam. Był u sąsiadki pies, Żuczek. - Żuczek - proszę - jak pierwszych ludzi spotkasz, zaszczekaj. Nocą śnię, że wywożą. Oficer krzyczy: „Gospodyni, wszystko zburzymy i zakopiemy. Wychodź!". I wiozą mnie w jakieś nieznane miejsce. Ni to miasto, ni wieś. Ni ziemia nawet.

Zdarzyła się historia. Miałam dobrego kota. Waśkę. Zimą głodne szczury napadały, nie ma zmiłuj się. Pod pościel właziły. Ziarno w beczce - dziurkę

przegryzły. Waśka, wybawca mój. Bez Waśki bym zginęła. Pogadamy sobie z nim, pojemy. A potem przepadł Waśka. Może głodne psy go dopadły? Biegały głodne, dopóki nie pozdychały. Koty były tak głodne, że zimą kocięta zjadały. Boże, przebacz! A jedną babę szczury zagryzły. Rude szczury. Prawda to czy nie, tak plotą. Ściągają tu szabrownicy. Przez pierwsze lata starczyło im dobra. Koszul, bluzek, futer. Bierz i wieź na bazar. Ot, i napiją się, piosenki śpiewają. Czort z nimi! Jeden zwalił się z roweru i usnął na drodze. Rankiem kości znaleźli i rower. Prawda to czy nie? Nie powiem. Tak plotą.

Tu żyje wszystko. Dosłownie wszystko! Jaszczurka żyje, żaba. I robak. I myszy są! Wszystko jest. A wiosną najpiękniej. Bez zakwitnie. Czeremcha pachnie. Póki nogi nosiły, sama po chleb chodziłam, w jedną stronę piętnaście kilometrów. Za młodych lat podskoczyłabym biegiem. Przyzwyczajonam. Po wojnie chodziliśmy po nasiona na Ukrainę. Tak do trzydziestu, pięćdziesięciu kilometrów. Po pudzie nosili, a ja po trzy. A teraz po domu, bywa, nie przejdę. Starej babie i latem na piecu chłodno. Milicjanci przejeżdżają przez wieś, to chleba przywiozą. Tylko co oni tu sprawdzają? Tu tylko ja i kotek. To mój drugi kot. Milicja zatrąbi, a my cieszym się, biegniem. Jemu przywiozą kostek. A mnie zapytają:

- A jeśli napadną bandyci?
- A czymże oni tu się nażrą? Cóż wezmą? Duszę? Tylko duszę mam.

Dobrzy chłopcy. Śmieją się. Bateryjki do odbiornika przywieźli, to radia posłucham. Ludmiłę Zykinę lubię, ale rzadko teraz śpiewa. Widać zestarzała się jak ja. Mój mawiał: bal skończony i skrzypki do torby!

Opowiem, jak kotka znalazłam, kiedy zabrakło mojego Waśki. Czekam dzień, dwa, miesiąc. Wszystko mówi, że zostałam sama. Ni do kogo ust otworzyć. Poszłam po wsi, po sadach, wołam: - Waśka! Waśka! - Początkowo wiele ich biegało, a potem zapadły się. Śmierć nie wybiera. Wszystkich ziemia przyjmuje. I chodzę ja, chodzę. Dwa dni wołam. Na trzeci dzień - kot siedzi przed sklepem. Przyglądamy się sobie. On rad i ja rada. - No, idziemy do domu - proszę. „Miau". I dawaj go przekonywać: - Chcesz być sam? Wilki rozszarpią. Idziemy. Mam jajka, słoninę. - Jak mu wyjaśnić? Ludzkiego języka nie rozumie. Ale pojął. Idę przodem, biegnie z tyłu. „Miau". - Odetnę ci słoniny. „Miau". - Będziemy razem. „Miau". - Nazwę cię Waśką. „Miau". Już dwie zimy przeżyliśmy.

Nocą przyśni się, że ktoś zawołał. Głos sąsiadki: - Zina! Pomilczy i znowu: Zina! - Tęskno mi się zrobi - popłaczę. Zajdę na mogiłki. Mama tam leży. Córeczka mała. W czasie wojny zmarła na tyfus. Jak tylko zanieśliśmy ją na mogiłki, słoneczko wyszło zza chmur. I tak świeci, świeci, choć ty wróć i płacz. I mój tam. Fiedia. Posiedzę przy wszystkich. Powzdycham. A rozmawiać

można i z żywymi, i z martwymi. Żadnej różnicy. Słyszę i tych, i tamtych. Kiedym sama. I kiedy smutek.

Na wprost od tych mogiłek nauczyciel Iwan Prochorowicz Gawrilenko mieszkał, do syna na Krym wyjechał. Za nim Piotr Iwanowicz Miusskij. Traktorzysta. Stachanowiec[3], kiedyś wszyscy na tych stachanowców się wybijali. A tam dalej Misza Moichalie, kotły wytapiał. Zmarł. Wyjechał i od razu umarł. Za nim dom zootechnika Stiepana Bychowa stał. Spalił się! Nocą źli ludzie podpalili. Przyszli skądś. Stiepan długo nie pożył. Gdzieś tam pod Mohylewem pochowany. Druga wojna. Iluż ludzi straciliśmy! Kowaliow Wasilij Makarowicz, Maksim Nikiforienko. Bywa, że zamknę oczy i chodzę po wsi. No jakaż tu, mówię im, radiacja, skoro i motyl lata, i trzmiel brzęczy. I mój Waśka myszy łowi. *(Płacze).* O, moi wy, rozumiecie mój smutek? Przekażecie ludziom, a mnie, może być, już i nie będzie na świecie. Znajdą w ziemiance. Pod korzeniami.

Zinaida Jewdokimowna Kowalienka, samosioł

Monolog o życiu zapisanym na drzwiach

Chcę zaświadczyć, że zdarzyło się to wtedy, dziesięć lat temu, i każdy dzień przeżywam do dziś. Mieszkaliśmy w mieście Prypeć. W tym właśnie mieście. Nie jestem pisarzem. Nie opiszę. Umysłu nie starcza, żeby pojąć.

Ot, żyjesz, zwyczajny człowiek, mały, taki jak wszyscy wokół. Idziesz do pracy, wracasz, pobierasz średnią pensję, raz w roku jeździsz na urlop. I w jeden dzień raptownie przeobrażasz się w człowieka czarnobylskiego. W dekownika! W coś takiego, co interesuje wszystkich i nie obchodzi nikogo. Chcesz być jak wszyscy, a już nie wolno, nie możesz. Patrzą na ciebie innymi oczami. Zadają pytania: strasznie tam było? Jak paliła się elektrownia? Coś widział? A tak w ogóle, możesz mieć dzieci? Żona nie odeszła? W pierwszym okresie przeobraziliśmy się w dekowników. Samo słowo „czarnobylec"[4] do tej pory

[3] Stachanowiec - termin utworzony od nazwiska Aleksieja Stachanowa, górnika z Donbasu, inicjatora „socjalistycznego współzawodnictwa pracy", który w 1935 roku ustanowił w ZSRR rekord wydobycia węgla, co w okresie stalinowskim zapoczątkowało tzw. ruch stachanowski, polegający na widowiskowych próbach bicia rekordów w poszczególnych dziedzinach pracy produkcyjnej.

[4] Czarnobylec - tak nazywa się na terenach dawnego ZSRR dotkniętych przez kataklizm z 26 kwietnia 1986 r. i jego skutki.

jest jak sygnał dźwiękowy. Wszyscy odwracają głowy w twoją stronę. Od wtedy!

Takie były odczucia w pierwszych dniach. Straciliśmy nie miasto. Życie. Z domu wyjechaliśmy w trzecim dniu. Reaktor płonął. Pamiętam, że ktoś ze znajomych powiedział: „Pachnie reaktorem". Nieopisany zapach. O tym już było w gazetach. Przekształcili Czarnobyl w fabrykę strachów, a w rzeczy samej - w kreskówkę. Mówię tylko swoją prawdę.

Oświadczyli przez radio: kotów nie brać! To kota w walizkę! Kot nie chce, wyrywa się. Podrapał wszystkich.

Mówią: rzeczy nie brać! Wszystkiego nie wezmę, ale zabiorę jedną rzecz. Tylko jedną! Zdejmę drzwi od mieszkania i wywiozę. Drzwi zostawić nie mogę. Naszych drzwi. To nasz talizman, relikwia rodzinna. Na tych drzwiach leżał mój ojciec. Nie wiem, wedle jakiego zwyczaju, ale u nas, powiadała mama, nieboszczyka należy położyć na drzwiach od jego domu. I leży tak, dopóki nie przywiozą trumny. Siedziałem koło ojca całą noc, gdy leżał na tych drzwiach. A na tych drzwiach do samej góry nacięcia, jak rosłem. Oznaczono: pierwsza klasa, druga, siódma, przed poborem do armii. A obok, jak rósł mój syn. Moja córka. Na tych drzwiach zapisane całe nasze życie. Jakże je zostawić?

Poprosiłem sąsiada, miał samochód:

- Pomóż!

- Z tobą coś nie tego - popukał się w głowę.

Ale wywiozłem je. Nocą. Na motorze. Lasem. Po dwóch latach, kiedy nasze mieszkanie już rozgrabiono, goniła mnie milicja:

- Będziemy strzelać! Będziemy strzelać!

Pewnie wzięli za szabrownika. Drzwi z własnego domu, a jakbym ukradł.

Córkę z żoną skierowali do szpitala. Na ich ciałach rozpełzły się czarne plamy. To pojawiają się, to znikają. Wielkości pięty. A nic nie boli. Oglądali je.

- Powiedzcie, jaki wynik? - spytałem.

- Nie wam - odpowiedzieli.

- No to komu?

Wtedy wszyscy mówili: umrzemy, do roku dwutysięcznego Białorusini sczezną. Córka miała sześć lat. Układam ją do snu, a ona mi szepcze do ucha:

- Tato, ja chcę żyć, jestem jeszcze mała.

A ja myślałem, że nic nie rozumie. Wyobrażacie sobie siedem łysych dziewczynek? Siedem ich było na sali. Dość! Żona nie wytrzymała:

- Niechby umarła, zamiast się tak męczyć. Albo niech ja umrę, żeby więcej nie widzieć.

Położyliśmy ją na drzwiach. Na drzwiach, na których kiedyś leżał mój ojciec. Dopóki nie przywieźli trumienki. Maleńkiej jak pudełko dla dużej lalki.

Zaświadczam - córka umarła od Czarnobyla. I chce, żebyśmy nie zapomnieli.

Nikołaj Fomicz Kaługin, ojciec

Monolog wsi o tym, jak wołają dusze z nieba, żeby z nimi popłakać i odpocząć

Wieś Biełyj Bierieg w rejonie narowlańskim obwodu homelskiego. Mówią: Anna Pawlowna Artiuszenko, Ewa Adamowna Artiuszenko, Wasilij Nikołajewicz Artiuszenko, Sofja Nikołajewna Moroz, Nadieżda Borisowna Nikolajenko, Aleksandr Fiodorowicz Nikolajenko, Michaił Martinowicz Lis.

- Goście do nas! Dobrzy ludzie! Nie zanosiło się na spotkanie. Żadnego znaku. Bywa, dłoń swędzi, znaczy: przywitasz się z kimś. A dziś nic nie zapowiadało. Tylko słowik całą noc śpiewał - na słoneczny dzień. Oj, za chwilę baby nasze się zbiegną. Ot, i Nadia leci.

- I wszystko przeżylim, przecierpielim.

- Oj, nie chcę wspominać. Strasznie. Wyganiali, żołnierze wyganiali. Technika wojskowa zjechała. Samochody. Jeden stary dziadek leżał. Umierał. Dokąd jechać? „Wstanę - płakał - i pójdę na mogiłki. Na własnych nogach". A ile nam za chaty zapłacili? Ile? Patrzcie, jak tu pięknie! Któż nam za to zapłaci? Za uzdrowiskową zonę!

- Samoloty, śmigłowce, huk był. Kamazy z przyczepami. Żołnierze. No, myślę, zaczęła się wojna. Z Chińczykami albo Amerykanami.

- Mój przyszedł z zebrania kołchozowego i mówi: „Jutro nas ewakuują". A ja: „A co z kartoflami? Wykopać nie zdążylim". Puka do drzwi sąsiad, siedlim, wypilim i dawaj rugać przewodniczącego: „Nie pojedziem i kropka. Wojnę przeżylim, co nam radiacja. Choć ty wejdź pod ziemię, nie pojedziem!".

- Z początku myślelim, że wszyscy umrzemy w dwa-trzy miesiące. Tak nam mówili. Agitowali. Przestrzegali. Chwała Bogu, żyjem!

- Chwała Bogu! Chwała Bogu!

- Nikt nie wie, co na tym świecie. Tu najlepiej. Znajomi. Mama powiadała: piękniejesz, radujesz się i samowolniejesz.

- Pójdziem do cerkwi, pomodlim się.

- Kiedy wyjeżdżalim, wzięłam ziemi z maminej mogiłki w woreczek: „Wybacz, że cię zostawiamy". Nocą poszłam i nie bałam się. Ludzie pisali swoje nazwiska na chatach, na drzewach, na płotach, na asfalcie.

- Żołnierze zabijali psy. Trach-trach! Odtąd nie mogę słuchać głosów zwierzyny.

- Byłem tu brygadzistą. Czterdzieści pięć lat. Żałowałem ludzi. Na wystawę do Moskwy wozilim swój len, kołchoz wysyłał. Znaczek stamtąd przywiozłem z czerwonym dyplomem. Wtedy z szacunkiem do mnie: „Wasilij Nikołajewicz. Nikołajewicz...". A kim ja tam, na nowym miejscu? Dziad w kapeluszu. Tu chcę umierać, kobiety wody przyniosą, w chacie napalą. Żałowałem ludzi. Wieczorem schodzą baby z pola i śpiewają, a ja wiem, że nic nie zarobią. Jedynie kreskę na roboczodniówce. A śpiewają.

- Na wsi ludzie żyją razem. To jeden świat.

- Już w mieście u syna byłam, sen mam, że śmierci wyczekuję. I nakazuję synowym: „Zawieźcie mnie na nasze mogiłki, choć pięć minut postójcie ze mną wedle chaty rodzinnej". I z wysoka widzę, jak synowie mnie tu wiozą.

- Niechby zarażona, z radiacją, ale to moja ojczyzna. Nigdzie więcej nie żylim. Toć i ptaszkowi jego gniazdo miłe.

- Dopowiem. Mieszkałam u syna na szóstym piętrze, podejdę do okna, popatrzę w dół i żegnam się. Wydaje się, że słyszę konia, koguta. I taki żal. A to znowu śnię swoje podwórko: krowę przywiązuję i doję, doję. Przyśniło się. Nie chcę wstawać. Ja jeszcze tam. To tu, to tam.

- Za dnia żylim w nowym miejscu, a nocą na ojcowiźnie. We śnie.

- U nas zimą noce długie, siedzim, bywa, i zgadujem: kto już zmarł?

- Mój dwa miesiące leżał. Milczał, nie odpowiadał. Chodzę po podwórzu, wracam: „Mężu, jak ci?" Tylko oczy na mój głos otworzy, a już mi lżej. Niechby leżał, milczał, aby był w chacie. Jak człowiek umiera, nie wolno płakać. Przerywasz mu śmierć, długo męczyć się będzie. Wyjęłam z szafy świeczkę i włożyłam mu do ręki. Wziął i dyszy. Oczy, widzę, mętne. Nie płakałam. O jedno tylko prosiłam: „Przekaż pozdrowienie naszej córeczce i mamie kochanej". Modliłam się, żeby razem Bóg nas wziął. Niektórzy wyproszą, ale mnie śmierci nie dał. Żyję.

- Nie boję się umierać. Nikt dwa razy nie żyje. I liść opada, i drzewo pada.

- Babki, nie płaczcie! Przodownice za wszystkie te lata, stachanówki wy! Stalina przeżyły, wojnę. Jakby się nie śmiały i nie cieszyły, dawno by wisiały. Rozmawiają dwie czarnobylskie kobiety. „Słyszałam, że u wszystkich teraz białaczka?". „Ale tam! Wczoraj uciełam się w palec, czerwona krew pociekła".

- W rodzinnym kraju, jak w raju, a na obczyźnie i słońce inaczej świeci.

- Kiedyś nauczyła mnie mama, żeby wziąć ikonę i odwrócić ją, niech tak trzy dni powisi. Gdziekolwiek będziesz, z pewnością wrócisz do domu. Dwie krowy miałam i dwa cielaki, pięć świń, gęsi, kury. Psa. Rękami głowę obejmę i chodzę po sadzie. A jabłek ile! Wszystko przepadło!

- Chatę umyłam, piec pobieliłam. Trzeba zostawić chleb na stole i sól, miskę i trzy łyżki. Łyżek tyle, ile dusz w chacie. Żeby powrócić.

- A grzebyki u kur czarne były, a nie czerwone. Radiacja.

- Ta radiacja była u mnie na ogrodzie. Cały ogród pobielał, bielutki taki, jakby czymś posypany. Takimi kępkami. Myślałam, może coś z lasu przyniosło.

- Nie chcielim wyjeżdżać. Oj, nie chcielim! Chłopy pijane. Pod koła się rzucalim. Kierownictwo chodziło po domach, nakazywało: „Majątku nie brać!".

- Zwierzyna trzy dni nie pojona. Nie karmiona. Na ubój! Przyjechał korespondent z gazety. Pijane dojarki o mało go nie zabiły.

- Przewodniczący z żołnierzami krąży wokół chaty: „Wychodź albo podpalim! O, tu kanistry z benzyną". To ręcznik chwytam, to poduszkę.

- A w wojnę całą noc działa strzelają, sieką. Ziemiankę w lesie wykopalim. Bombardują i bombardują. Wszystko spalili, nie tylko chaty, ogrody i wiśnie też. Żeby tylko nie było wojny! Boję się jej!

- W Radiu „Erewań" pytają: „Można jeść czarnobylskie jabłka?". Odpowiedź: „Można, ale ogryzki potem głęboko zakopać".

- Dali dom nowy. Murowany. W ciągu siedmiu lat nie wbilim ani gwoździa. Obczyzna. Wszystko obce. Mój płakał i płakał. Tydzień robi na traktorze w kołchozie, niedzieli czeka, a przychodzi niedziela - kładzie się pod ścianą i jęczy.

- Więcej nikt nas nie oszuka, nigdzie ze swego miejsca nie dźwigniem się. Sklepu nie ma, szpitala nie ma. Świata nie ma. Siedzim przy lampie naftowej i przy łuczywie. I dobrze nam! Bo w domu.

- W mieście synowa chodziła za mną po mieszkaniu z trepkami i wycierała klamkę, stół. A wszystko za moje pieniądze kupione, wszystkie meble i żiguli. Za te, co mi dali za dom, za krówkę. Pieniądze się skończyły - mama niepotrzebna.

- Pieniądze dzieci zabrały. A co zostało - inflacja zjadła. Teraz możesz za nie dostać kilo landrynek, może i nie starczy. To, co dali za gospodarstwo, za domy.

- Dwa tygodnie piechotą szłam. I swą krówkę wiodłam. Ludzie nie wpuszczali do domu. W lesie nocowałam.

- Boją się nas. Zarażeni, mówią. Za co Bóg ukarał? Rozsierdził się na nas? Nie po ludzku żyjem, nie wedle bożych przykazań. Tracim jeden drugiego. Dlatego.

- Wnuczki latem przyjeżdżały. Przez pierwsze lata bały się. A teraz nawiedzają, żywność biorą, wszystko, co dasz, pakują. „Babciu - pytali - czytałaś książkę o Robinsonie?". Żył jak i my. Na bezludziu. Przywiozłam ze sobą pół

woreczka zapałek. Siekierę i łopatę. A teraz mam słoninę, jajka, mleko, wszystko swoje. Cukru tylko nie posiejesz. Ziemi tu, ile zechcesz. Choć sto hektarów bierz. I władzy żadnej. Nikt tu człowiekowi nie miesza. Ani kierownictwo, nikt.

- Nawet koty z nami wróciły. I psy. Wszystko wraca. Żołnierze nie puszczali. Omonowcy. Więc nocą, leśnymi dróżkami, partyzanckimi.

- Nic nam nie trzeba od państwa. Nie chcemy nic. Tylko nas nie tykajcie! Ani sklepu nie trzeba, ani autobusu. Za chlebem pieszo chodzim. Dwadzieścia kilometrów. Nie tykajcie nas! My sami sobie.

- Taborem wrócilim. W trzy rodziny. A tu wszystko rozgrabione: piec rozbili, okna, drzwi zdjęli. Podłogi, lampki, zamki, rozetki, wszystko wyrzucili. O, tymi rękami wszystko od nowa, tymi rękami. A jakże!

- Dzikie gęsi krzyczą - wiosna nastała. Pora siać. A my w pustych chatach. Dachy całe tylko.

- Milicja krzyczała. Jadą samochodami, a my w las. Jak przed Niemcami. Pewnego razu napadli nas z prokuratorem. Groził, będą sądzić według dziesiątego paragrafu. „Nawet jak dadzą rok więzienia - mówię - odsiedzę i wrócę tu". Ich sprawa krzyczeć, a nasza milczeć. Order mam, jako kombajnista-przodownik, a ten mi grozi: „Pójdziesz za dziesiąty paragraf.

- Każdego dnia śniła mi się moja chata. Wracałam: to ogród kopię, to pościel oblekam. I zawsze coś znajduję: to pantofle, to kurczę, ku dobremu wszystko, ku radości. Na powrót.

- Nocą Boga prosim, a za dnia milicjantów. Zapytacie mnie: „Czemuż płaczesz?". Nie wiem, czemu. Szczęśliwam, że u siebie żyję.

- I wszystko przeżylim, przecierpielim.

- Do doktora poszłam. „Mileńki, nogi nie chcą nosić. Stawy bolą". „Krowę trzeba zdać, babciu. Mleko zatrute". „Oj, nie - wzburzyłam się. - Nogi bolą, kolana bolą, a krówki nie oddam. Żywicielki mojej".

- Mam siedmioro dzieci. Wszystkie w miastach. A tu sama. Jak zatęsknię, przed ich zdjęciami usiądę i pogadam trochę do siebie. Wszystko sama jedna. Dom sama pomalowałam, sześć baniek farby położyłam. Tak i żyję. Czterech synów i trzy córki wychowałam. A mąż zmarł wcześnie. Sama.

- I z wilkiem się spotkałem: on stoi i ja stoję. Popatrzyliśmy jeden na drugiego. On w swoją stronę odskoczył i uciekł. A u mnie czapka ze strachu się podniosła.

- Wszelki zwierz boi się człowieka. Ty go nie zaczepiaj, a on cię obejdzie. Kiedyś po lesie chodziłeś, ryk zwierza usłyszałeś, do ludzi biegłeś. A teraz człowiek od człowieka stroni. Nie daj Bóg napotkać w lesie człowieka!

- Wszystko, jak w Biblii napisane, wszystko się spełnia. Tam i o naszym kołchozie napisane, i o Gorbaczowie, że zwierzchnik wielki nastanie ze zna-

mieniem takim i wielkie państwo się rozsypie. A potem sąd Boży nastąpi. Kto w miastach żyje - zginie, a na wsi tylko pojedynczy człowiek się ostanie. Człowiek ze śladu człowieka cieszył się będzie! Nie człowiekiem samym, a śladem po nim.

- A światło u nas - lampa. Naftowa. E, tam! Baby wam nagadały. Zabijem wieprza, niesiem jak na pogrzebie albo wprost w ziemię zakopiem. Mięsto trzy dni w ziemi leży. Wódka u nas swojska, ze swego żyta.

- Mam dwa woreczki soli. Nie sprzedajem państwu! Drzew pełno - wokół las. Chata ciepła. Lampa świeci. Dobrze jest! Kozę trzymam, koziołka, trzy świnie, czternaście kur. Ziemi pod dostatkiem, trawy, ile chcesz. Woda w studni. Swoboda. Dobrze nam tu! Nie w kołchozie my tu, a w komunie. Konia jeszcze kupim. I nic nam tu więcej nie potrzeba.

- Nie do domu wrócilim, jak pewien korespondent, co tu był, dziwił się, ale sto lat do tyłu. Sierpem żniem, kosą kosim, cepami zboże na asfalcie młócim.

- We wojnę nas wygnali, w ziemiankach żylim. Brata mi zabili i siostrzeńców dwóch. Z rodziny zginęło siedemnastu ludzi. Mama płacze i płacze. A chodziła po wsi staruszka. „Żałujesz? - pyta mamy. - Nie żałuj. Kto życie oddał za innych, ten człowiek święty". Za ojczyznę mogę wszystko. Tylko zabijać nie mogę. Jestem nauczycielką, uczyłam - człowieka kochajcie. Tylko tak uczyłam: „Dobro zawsze zwycięża". Dzieci małe, dusze czyste.

- Czarnobyl - wojna nad wojnami. Dla człowieka nie ma nigdzie zbawienia. Ni w ziemi, ni w wodzie, ni na niebie.

- Telewizora i radia nie mamy. Żadnych nowin nie znamy, ale za to spokojniej żyjem. Nie rozsypujem się. Ludzie przyjeżdżają, przekazują: wszędzie wojna. Socjalizm niby się skończył, w kapitalizmie żyjem. Car powróci. Prawda to?

- To dzik z lasu do ogrodu wpadnie, to łoś. Ludzie rzadko. Milicjanci.

- I do mojej chaty wstąpcie.

- I do mojej. Tak dawno u mnie gość nie siedział.

- I żegnam się, i modlę. Boże ty mój! Dwa razy milicja piec mi rąbała. Wywozili na traktorze. A ja - z powrotem! Jakby puścili ludzi, na kolanach by tu wszyscy do domu przyszli. A tak? Po świecie nasze nieszczęście roznieśli. Tylko martwi wracają. Zmarłym pozwalają wracać. A żywi - nocą, lasem.

- Na Radunicę[5] wszyscy się tu rwą. Każdy chce swych wspomnieć. Milicja według list wpuszcza, dzieciom do osiemnastu lat nie wolno.

[5] Radunica - prawosławne święto wspominania zmarłych i odwiedzania ich grobów - gdzie spożywa się posiłki, wypija za pamięć - obchodzone w dziewiątym dniu po Wielkanocy; przyjęło się, iż wysiedleni mieszkańcy danej miejscowości w zonie w dniu tym gromadnie ściągają zewsząd na rodzinne cmentarze.

- Przyjadą, postoją przy swojej chacie. W swym sadzie, przy swej jabłoni. Z początku na mogiłkach płaczą, potem rozchodzą się po swoich podwórkach. I tam płaczą, modlą się. Świeczki stawiają. Na swoich płotach wiszą jak na przygrobnych ogrodzeniach. Bywa, że i wianek przed domem kładą. Biały ręcznik na furtce powieszą. Batiuszka modlitwę głosi: „Bracia i siostry! Cierpliwi bądźcie!".

- Na cmentarz biorą i jajka, i bułki, co kto ma. Każdy siada przy swoich zmarłych. Wołają: „Siostro, odwiedzić przyszłam. Chodźże do nas, częstuj się". Albo: „Mamusiu ty nasza. Tatusiu ty nasz. Tateńku". Dusze z nieba przywołują. U kogo w tym roku ktoś zmarł, płaczą, u kogo wcześniej, nie. Porozmawiają, powspominają. Wszyscy modlą się. Kto nie umie, też się modli.

- Nocą tylko nie płaczę. Nocą za zmarłym płakać nie trzeba. Słońce zajdzie, już nie płaczę. Wspomnij, Boże, duszyczki ich. I królestwo im daj niebieskie!

- Kto nie skacze, płacze. Ot, żartownisia sprzedaje na bazarze czerwone jabłka, zachwala: „Kupujcie jabłuszka! Czarnobylskie jabłuszka!". Ktoś radzi jej: „Nie mów, ciotka, że czarnobylskie. Nikt nie kupi". „Opowiadasz! Biorą! Ten dla teściów, inny dla kierownika!".

- A jeden wrócił tu z więzienia. Po amnestii. W sąsiedniej wiosce żył. Matka umarła, dom zasypali. Przyszedł do nas: „Ciotka, dajcie kęs chleba i słoniny. Podwórko wam naprawię". Żeni się.

- Bałagan w kraju, więc i tu będą ludzie. Przed ludźmi uciekają. Przed prawem. I żyją samotnie. Obcy ludzie. Wrodzy, bez życzliwości w oczach. Napije się - podpali. Śpim nocą, a pod łóżkiem widły, siekiery. W kuchni na drzwiach młotek.

- Wiosną wściekły lis biegał, a jak wściekły, skowyczy. I na wodę patrzeć nie może. Postaw w podwórzu wiadro z wodą i nie bój się. Ucieknie.

- My zasłużeni ludzie. Ja - partyzant, rok w partyzantce. A kiedy nasi Niemców wygnali, trafiłem na front. Na Reichstagu nazwisko swoje napisałem: Artiuszenko. Zdjąłem szynel, budowałem komunizm. A gdzie ten komunizm?

- U nas ten komunizm. Żyjemy, bracia i siostry.

- Kiedy zaczęła się wojna, nie było tego roku ani grzybów, ani jagód. Uwierzycie? Ziemia biedę przeczuwała. Czterdziesty pierwszy rok. Oj, pamiętam! Wojny nie zapomniałam. Chodziły słuchy, że przygnali naszych krewnych, kto swego rozpozna, może go zabrać. Podniosły się i pobiegły nasze baby! Wieczorem ten swego, inny cudzego przywiódł. Ale znalazł się gad. Żył jak wszyscy, żonaty, dwoje dzieci. Doniósł do komendantury, że Ukraińców wzięliśmy. Waśkę, Saszkę. Nazajutrz Niemcy na motorach przyjeżdżają. Prosim, padamy na kolana. Ale oni wyprowadzili ich za wieś i położyli z automatów.

Dziesięciu ludzi. Młodziutkich takich, dobrych. Waśkę, Saszkę. Żeby tylko wojny nie było! Jakże się jej boję!

- Kierownictwo przyjedzie, pokrzyczy, pokrzyczy, a my głusi i niemi. I przeżylim wszystko, przecierpielim.

- A ja dalej swoje. Myślę i myślę o tym, co na mogiłkach. Kto głośno odczyta, kto cicho. Inni, bywa, przekażą: „Otwórz się na oścież, żółty piasku. Otwórz się, nocy ciemna". Z lasu doczekasz się, a z piasku nigdy. I zwracam się czule: „Iwan, jakże mi żyć?". A on nic nie odpowiada, ni dobrego, ni złego.

- Nie mam swoich, żeby płakać po nich. To po wszystkich płaczę. Po obcych. Na mogiłki pójdę, pogadam z nimi. Nie boję się nikogo, ni nieboszczyków, ni zwierza, nikogo. Przyjedzie syn z miasta i pyta: „Czemu sama siedzisz? A jak ktoś zadusi?". A cóż on mi zabierze? Poduszkę? W biednej chacie wszystkie nakrycia to poduszki. Jak zacznie taki bandyta leźć, najpierw głowę w okno wsunie, a ja w nią siekierką. Może i nie ma Boga, może i ktoś inny, kto gdzieś tam jest wysoko. A ja żyję.

- Zimą dziad powiesił na podwórzu zabitego cielaka, a cudzoziemców jak raz przywieźli. „Dziadku, co ty robisz?" - pytają. - „Radiację wyganiam".

- Zdarzyło się, powiadali ludzie, pogrzebał mąż żonę, a został mu chłopczyk. Mężczyzna, pijany ze zmartwienia, zdejmuje z dzieciątka wszystko mokre i pod poduszkę. A żona - sama czy jej dusza - zjawia się nocą, wypierze, wysuszy i złoży w jednym miejscu. Pewnego razu zobaczył ją, zawołał, a ona natychmiast znikła. Rozpłynęła się. Wtenczas sąsiedzi mu poradzili: kiedy cień się zjawi - drzwi na klucz, wtedy nie zdąży uciec. Ale ona już nie przyszła. Cóż tam się stało takiego? Któż tam taki przychodził? Nie wierzycie? To powiedzcie mi, skąd się wzięły bajki? Może to prawda była? Przecież wykształceniście.

- Z czego wziął się ten Czarnobyl? Jedni bają - uczeni winni. Targają Boga za brodę, a Bóg się śmieje. A nam tutaj cierpieć! Nigdy nie żylim spokojnie. Zawsze balim się. Przed samą wojną chwytali ludzi. Trzech mężczyzn od nas. Przyjechali w czarnych samochodach i z pola zabrali, dotąd nie wrócili. Zawsze balim się.

- Jedno, co mam, to krowę. Poszłabym i oddała, żeby tylko nie było wojny. Jak ja się jej boję!

- A tu wojna nad wojnami - Czarnobyl.

- I kukułka kuka, i sroki skrzeczą. Sarenki biegają. A czy będą tu dalej, nie wie nikt. Rankiem spojrzałam na ogród - dziki zryły. Ludzi można przesiedlić, a łosia i dzika nie. Nie ma domu bez człowieka. I zwierzowi człowiek potrzebny. Wszyscy szukają człowieka. Bocian przyleciał, żuczek wypełzł. Z wszystkiego się cieszę.

- Boli, kobitki, oj, jak boli! Trzeba cicho. Trumnę niosą cicho. Ostrożnie. Nie stuknąć o drzwi albo łóżko, ani do czego dotknąć, ani w co uderzyć. Bo bieda będzie - czekaj na drugiego nieboszczyka. Wspomnij, Boże, duszyczki ich. I królestwo daj im niebieskie. A gdzie pogrzebią, tam i opłaczą. Tu wszędzie mogiłki. Wokół mogiłki. Spychacze trąbią. Buldożery. Chaty padają. Grabarze pracują i pracują. Szkołę zakopali, radę wiejską, łaźnię. Świat ten sam, ale ludzie już nie ci. Jednego nie wiem, jest dusza u człowieka? Powiada batiuszka, obiecuje, żeśmy nieśmiertelni. Jakaż ona, ta dusza? I gdzie one wszystkie na tym świecie się mieszczą? Dwa dni dziadek umierał, za piecem przyczajam się i waruję: jak też będzie ona z niego wylatywać? Poszłam doić krowę. Wskoczyłam do chaty, wołam. Leży z otwartymi oczyma. Dusza uleciała. Czyżby niczego nie było? Jakże się kiedyś zobaczym?

Monolog o tym, że jak znajdziesz dżdżownicę, to i kura się cieszy

Pierwszy strach spadł z nieba. Wodą pluł. A ludzie spokojni, jak kamienie. Na krzyż przysięgam! Mężczyźni, co starsi, jak wypiją: „Do Berlina doszlim i zwyciężylim". Pierwszy strach był rankiem w ogrodzie i w sadzie, gdzie zaduszone krety znaleźlim. Kto je podusił? Zazwyczaj nie wychodzą na światło spod ziemi. Co je stamtąd wygnało? Na krzyż przysięgam! Dzwoni syn z Homla.

- A chrabąszcze latają? - pyta.
- Chrabąszczy nie ma, nawet biedronek jakoś nie widać. Zapodziały się.
- A dżdżownice są?
- Znajdziesz dżdżownicę, kura się cieszy. Też ich nie ma.
- Pierwsza cecha: gdzie nie ma chrabąszczy i dżdżownic, tam silna radiacja. -Cóż to takiego radiacja?
- To taka śmierć, mamo. Powiedz tacie, żeby wyjechać. Przeczekacie u nas. -Jeszcze w ogrodzie nie posadzilim.

Jakby wszyscy byli mądrzy, kto by był durniem? Pali się to pali. Pożar -normalna rzecz, nikt się go wtedy nie bał. Atomu nie znalim. Na krzyż przysięgam! A mieszkalim pod bokiem elektrowni atomowej, na wprost - trzydzieści kilometrów, a drogą - czterdzieści. Zadowoleni bylim. Kupiłeś bilet i jechałeś Zaopatrzenie moskiewskie. Kiełbasa tania, mięso zawsze w sklepach. Do wyboru. Dobre były czasy!

A teraz jeden strach. Powiadają, że żaby i myszy ostaną się, a ludzie nie. Życie ostanie się bez ludzi. Powiadają, bajki nad bajkami. Dureń, kto je lubi!

Ale nie ma bajki bez prawdy. Stara to piosenka.

Radio włączam. Straszą i straszą radiacją. A nam przy tej radiacji przyszło lepiej żyć. Na krzyż przysięgam! Popatrzcie: przywieźli pomarańcze, trzy rodzaje kiełbasy, proszę. Na wieś!

Wnuki moje pół świata objechały. Młodsza dziewczynka wróciła z Francji, to stamtąd, skąd Napoleon tu nastał. „Babciu, widziałam ananasy!". Drugiego wnuka, jej braciszka, do Berlina na leczenie wzięli. To tam, skąd na nas Hitler napadł. Na czołgach.

Teraz inny świat. Wszystko inaczej. Radiacja winna czy co? A jakaż ona? Może gdzieś w kinie pokazywali? Widzieliście? Biała ona czy jaka? Jedni mówią, że bez koloru i zapachu, a inni, że czarna. Jak ziemia! A jeśli bez koloru, to jak Bóg. Bóg jest wszędzie, a nikt Go nie widzi. Straszą! A jabłka w sadzie wiszą i liście na drzewach, ziemniaki w polu.

Myślę, że żadnego Czarnobyla nie ma, wymyślili. Omamili ludzi. Siostra z mężem wyjechali. Niedaleko stąd, ze dwadzieścia kilometrów. Dwa miesiące tam mieszkają, przybiega do nich sąsiadka: „Z waszej krowy radiacja przeszła na moją. Krowa pada". - „A jak ona przechodzi?". - „Z oddechem leci, jak pył. Leciutko". Bajki! Bajki nad bajkami.

Ale jak pomyślę - w każdej chacie ktoś umarł.

I cóż dodam? Trzeba żyć. Więcej nic.

Może jeszcze, że wcześniej sami robilim masło, śmietanę, twaróg, ser. Gotowalim mleczną zacierkę. Jedzą to w mieście? Zalewasz mąkę wodą i mieszasz, porobią się rwane kawałki ciasta, wtedy je w rondelek z wrzącą wodą. Zagotujesz i zalewasz mlekiem. Mama pokazywała i uczyła: „I wy, dzieci, nauczcie się, tak jak ja nauczyłam się od swojej mamy".

Pili sok brzozowy[6] i klonowy[7]. Fasolę w strączkach parzyli w czugunkach[8] w piecu. Kisiel z żurawiny gotowali.

A w wojnę pokrzywę zbieralim, lebiodę. Z głodu puchlim, ale nie poumieralim. Jagody w lesie, grzyby.

A teraz takie życie, że to wszystko się poruszyło. Zdawało się nam, że to nieruszalne, że nie zmieni się. Tak ono jest.

[6] Brzozowik - słodki sok z brzozy, uzyskiwany wczesną wiosną, kiedy drzewa puszczają soki, poprzez nacięcie pnia i specjalną rynienką pobierany do słoja; sok ten także kisi się i potem pije jako kwas roślinny.

[7] Klonowik - w identyczny sposób uzyskiwany wczesną wiosną sok z klonu, słodszy od brzozowego.

[8] Czugunka - okrągły garnek żelazny (żeleźniak), używany do parzenia i pieczenia potraw w piecu.

Mleka nie wolno, strączkowych nie wolno, grzybów, jagód zabraniają. Mięso nakazują wymoczyć trzy godziny. Z kartofli dwa razy wodę zlewać, kiedy gotujesz.

Cóż, z Bogiem bić się nie będziesz. Trzeba żyć.

Straszą, że i wody naszej nie wolno pić. Ale jakże tu bez wody? W każdym człowieku jest woda. Nikt nie jest bez niej. I w kamieniu wodę znajdziesz. Toć przecie woda. Może ona i wieczna? Całe życie z niej. Kogo zapytać? Nikt nie odpowie. Do Boga modlą się, ale Jego nie zapytasz. To i trzeba żyć.

Anna Pietrowna Badajewa, samosioł

Monolog o pieśni bez słów

Do nóg się pokłonię, pokornie poproszę, znajdźcie nam Annę Suszko. Mieszkała w naszej wsi. We wsi Kożuszki. Nazwisko - Anna Suszko. Wymienię wszystkie cechy, a wy zaznaczcie. Miała garb, niema od dziecka. Mieszkała sama. Sześćdziesiąt lat. W czasie przesiedlenia zabrali ją samochodem pogotowia i wywieźli w nieznanym kierunku. Pisać się nie nauczyła, dlatego żadnego listu od niej nie ma. Samotnych i chorych wywozili do sierocińców. Ukrywali. Ale nikt nie zna adresu. Zaznaczcie.

Współczulim jej całą wsią. Troszczylim się jak o dziecko. Ten drew narąbał, ów przyniósł mleka, inny znowu posiedział wieczorem w chacie, ktoś w piecu rozpalił. Dwa lata, jak my, po tułaczce po obcych kątach, wrócilim do rodzinnych chat. I przekażcie, że chata jej cała. Dach jest, okna. A co rozbili i rozgrabili, razem odbudujem. Dajcie nam tylko adres, gdzie ona mieszka i cierpi, pojedziem i zabierzem. Przywieziem z powrotem. Żeby nie zmarła z tęsknoty. Do nóg się pokłonię. Niewinna dusza męczy się w obcym świecie.

I jeszcze jedna cecha, zapomniałam. Kiedy ją coś zaboli, ciągnie pieśń. Bez słów. Tylko głos. Rozmawiać nie może. Kiedy boli, ciągnie głosem: a-a-a... Żali się.

Maria Wołczok, sąsiadka

Trzy monologi o dawnym strachu

Rodzina K-ów. Matka i córka. I milczący mężczyzna (mąż córki).

Córka:

Kiedyś płakałam dzień i noc. Płakać się chciało i mówić. Z Tadżykistanu jesteśmy, z Duszanbe. A tam wojna.

Nie powinnam, dziecka czekam, jestem w ciąży. Ale opowiem. Wpadają w dzień do autobusu z kontrolą paszportów. Zwyczajni, z automatami tylko. Oglądają dokumenty i mężczyzn wyciągają z autobusu. I tam, przed wsią, rozstrzeliwują. Nawet nie wywiodą na stronę. Nigdy bym nie uwierzyła, ale widziałam. Widziałam, jak dwóch wywiedli. Jeden, młody i ładny, krzyczał. Po tadżycku, po rosyjsku, że żona niedawno urodziła, w domu troje małych dzieci. A tamci, sami młodzi, bardzo młodzi, śmiali się. Zwyczajni ludzie, z automatami tylko. Padł, stopy całował. Wszyscy milczeli, cały autobus. Jak tylko odjechaliśmy: ta-ta-ta... Bałam się obejrzeć. *(Płacze).*

Nie powinnam, dziecka czekam. Ale opowiem. Tylko proszę: bez nazwiska. Na imię mi Świetlana. Tam zostali rodacy. Zabiją ich. Wcześniej myślałam, że u nas nigdy już wojny nie będzie. Wielki kraj, umiłowany! Sama siła! Mówili nam w radzieckim kraju, że biednie żyjemy i skromnie, bo przeszła wielka wojna, naród wiele utracił, ale teraz mamy silną armię, nikt nas nie tknie. Nie zwycięży! A zaczęliśmy strzelać jeden do drugiego. Teraz nie taka wojna jak wcześniej, gdy dziadek wspominał, jak do Niemiec doszedł. Teraz sąsiad do sąsiada. Zabijają się chłopcy, co w szkole razem się uczyli. Nasyłają człowieka, z którym w szkole w jednej ławce siedzieli. Wszyscy stracili rozum.

Mężowie milczą. Mężczyźni teraz milczą. Napluto im do uszu, że są jak kobiety. Tchórze! Ojczyznę sprzedają. A gdzie ich wina? W tym, że nie mogą strzelać? Mam męża Tadżyka. Wypadało mu iść na wojnę i zabijać. A on:

- Wyjedźmy. Nie chcę wojny. Nie chcę automatu.

Tam jego ziemia, a wyjechał, bo nie chce zabijać innego Tadżyka, takiego jak on. A tutaj mu samotnie. Tam bracia rodzeni wojują, jednego już zabili. Tam mieszka jego matka, siostry.

*

Jechaliśmy tu w duszanbeckim pociągu. Bez szyb, ziąb, nie grzeją. Nie strzelali, ale w okna rzucali kamieniami, szyby wybijali.

- Ruskie, wynoście się! Okupanci! Starczy okradania nas!

A on przecież Tadżyk. I wszystko to słyszał. I nasze dzieci słyszały. Córka uczyła się tam w pierwszej klasie, była zakochana w chłopcu, Tadżyku. Przychodzi ze szkoły.

- Mamo, kim jestem - Tadżyjką czy Rosjanką?

I wyjaśniaj jej.

Nie powinnam, ale opowiem. Tadżycy pamirscy wojują tam z Tadżykami kudżabskimi. Wszyscy są Tadżykami, ten sam Koran, jedna wiara, ale Kudżabowie zabijają Pamirów, a Pamirzy Kudżabów. Początkowo zbierali się na placu, wołali, modlili się. Chciałam zrozumieć, więc także poszłam. Pytałam staruszków:

- Przeciw komu występujecie?

- Przeciw parlamentowi - odpowiedzieli. - Powiedziano nam, że to zły człowiek ten parlament.

Opuściłam plac, a oni zaczęli strzelać. Tak, szybko stał się tam inny, nieznany kraj. Wschód! Dotąd zdawało się nam, że żyjemy na swojej ziemi. Wedle radzieckich praw. Ile tam rosyjskich mogił zostało! Nie ma komu na nich płakać. Zwierzęta pasą na rosyjskich cmentarzach. Kozy. Rosyjscy starcy po śmietnikach brodzą, podbierają.

*

Pracowałam jako pielęgniarka na porodówce. Nocny dyżur, kobieta rodzi, ciężki poród, krzyczy. Wbiega sanitariuszka w niesterylnych rękawiczkach, w niesterylnym chałacie. Co się stało? W czymś takim na salę porodów?!

- Dziewczyny, bandyci!

A oni w ciemnych maskach, z bronią. I od razu:

- Dawaj narkotyki! Dawaj spirytus!

- Nie mamy! - mówi lekarz.

Lekarza pod ścianę.

- Dawaj!

Wtedy kobieta, co rodziła, krzyknęła spod nakrycia. Radośnie tak. I dziecko zapłakało tylko co urodzone. Pochyliłam się nad nim, nawet nie dojrzałam: chłopiec czy dziewczynka? Jeszcze ani imienia, ani nic. A bandyci do nas: kto ona? Kudżabka czy Pamirka? Nie: chłopiec czy dziewczynka, a Kudżabka czy Pamirka? Milczymy. A ci znowu:

- Kto ona?

I wtedy któryś chwyta to dziecko, co ledwie przyszło na świat, co pięć - dziesięć minut wszystkiego pobyło na tym świecie, i wyrzuca przez okno.

Jako pielęgniarka nieraz widziałam, jak umierają dzieci. A po tym! Nie wolno mi tego pamiętać. *(Płacze).* Jak żyć? Jak po tym wszystkim rodzić?

(Płacze). Po tym wydarzeniu na porodówce wystąpiła mi na rękach egzema. Węzły się powiększyły. I przyszło otępienie. Nie chciało się wstawać z pościeli. *(Płacze).* Podejdę pod szpital i wracam z powrotem. A już byłam w ciąży. Nie mogłam tam rodzić. Przyjechałam tu. Na Białoruś. Do Narowli. Ciche miasteczko, niewielkie. I więcej proszę nie pytać. Wszystko powiedziałam. *(Płacze).* Proszę poczekać. Chcę, żeby wiedziano. Nie boję się Boga, człowieka się boję. Najpierw pytaliśmy wszystkich:

- Gdzie tu radiacja?
- Gdzie stoicie, tam radiacja.

Cała tutejsza ziemia?! *(Płacze).* Pełno pustych domów. Ludzie wyjechali. Strasznie im było.

A mnie tu nie jest tak źle jak tam. Zostaliśmy bez ojczyzny, jesteśmy - niczyi. Niemcy wyjechali do Niemiec, Tatarzy, kiedy im zezwolili, na Krym, a Rosjanie stali się niepotrzebni. W czym pokładać nadzieję? Czego czekać? Rosja nigdy nie ratowała swoich ludzi, bo wielka, bezkresna. Często mówię, że nie czuję, iż Rosja jest moją ojczyzną, wychowywaliśmy się w czymś innym: naszą ojczyzną był Związek Sowiecki. To i nie wiesz teraz, jak radować duszę? Nikt nie szczęka za płotem - to już dobrze. Dom nam tu dali, mężowi pracę. Napisałam list do znajomych, wczoraj przyjechali. Na zawsze. Wieczorem przybyli i bali się wyjść z budynku dworca, dzieci nie puszczali, siedzieli na walizkach do rana. A potem widzą: ludzie po ulicy chodzą, śmieją się. Pokazali im naszą ulicę, przyprowadzili przed dom. Nie mogli przyjść do siebie, tam odwykli od normalnego życia, od zwyczajności. A rankiem zaszli do spożywczego, zobaczyli masło, śmietanę, i tam, w sklepie, kupili pięć butelek kefiru i wypili na miejscu. Patrzyli na nich jak na wariatów. Ani śmietany, ani masła dwa lata nie widzieli. Chleba tam nie kupisz. Tego nie da się wyjaśnić człowiekowi, co wojny nie widział.

Duszę tam martwą miałam. Z martwą duszą kogóż bym tam urodziła? Tu ludzi mało. Domy puste. Mieszkamy pod lasem. Boję się, gdy dużo ludzi. Jak na dworcu. Jak na wojnie. *(Wybuchła płaczem i zamilkła).*

* * *

Matka:

O wojnie opowiem. Tylko o niej mogę mówić. Dlaczegośmy tu przyjechali? Na ziemię czarnobylską? Dlatego, że stąd nas nie wygonią. Z tej ziemi. Niczyja ona już. Bóg ją zabrał. Ludzie zostawili.

W Duszanbe pracowałam jako zastępca naczelnika stacji, był tam jeszcze jeden zastępca, Tadżyk. Dzieci nasze razem rosły, uczyły się, siadywaliśmy przy

jednym świątecznym stole: Nowy Rok, Pierwszy Maja. Razem piliśmy wino, plow[9] jedli.

- Siostro, siostrzyczko - mówił do mnie. - Moja ty rosyjska siostro.

I oto przychodzi, a siedzieliśmy w jednym gabinecie, staje przed moim biurkiem i krzyczy:

- Kiedy w końcu do tej swojej Rosji zwiejesz? To nasza ziemia!

W tamtej chwili rozum nie zdzierżył. Podskoczyłam do niego.

- Stąd ta kurtka na tobie? - spytałam.
- Leningradzka - odpowiedział bez zastanowienia.
- Zdejmuj rosyjską kurtkę, gadzie! - Zdzieram z niego kurtkę. - A skąd czapka? Chwaliłeś się, że z Syberii przysłana! Zdejmuj czapkę, gadzie! Koszulę dawaj! Spodnie! W moskiewskiej fabryce szyte! Też rosyjskie!

Do majtek bym rozebrała. Zdrowy mężczyzna, a ja mu po plecach. Skąd siłę wzięłam? Wszystko bym zdarła. A wokół już ludzie się zlecieli. On wobec tego:

- Odczep się ode mnie, wścieklico!
- Nie, oddaj wszystko moje, rosyjskie! Wszystko swoje zabiorę! - Widać rozsądek straciłam. - Skarpety zdejmuj! Pantofle!

*

Pracowaliśmy dniem i nocą. Składy jadą przepełnione, ludzie biegają. Wielu Rosjan ruszyło się z miejsca. Tysiące! Dziesiątki tysięcy! Setki! Jest jeszcze Rosja! Odprawiam o drugiej w nocy pociąg moskiewski, w gmachu zostały dzieci z miasta Kurhana-Tube, nie zdążyli na moskiewski. Zamknęłam je, chcę zatrzasnąć, podchodzi do mnie dwóch z automatami.

- Czego tu, chłopcy, szukacie? - pytam, a serce we mnie wali.
- Drzwi na oścież trzymacie?
- Pociąg odprawiałam. Nie zdążyłam zamknąć.
- A co to za dzieci?
- Nasze, duszanbeckie.
- *A* może to te z Kurhana? Kudżabskie?
- Nie, nie. Nasze.

Poszli. A gdybym otwarła salę? Oni by je wszystkie i mnie z nimi - kula w łeb! Tam jedna władza - człowiek z karabinem. Rankiem posłałam dzieci do Astrachania, przykazałam, żeby je wieźć jak arbuzy, drzwi nie otwierać. *(Po-*

[9] Plow - w Azji Środkowej tradycyjna potrawa z ryżu, suszonej winorośli, mięsa i wielu Ostrych ziół.

cząłkowo milczy. Potem długo płacze). Czyż jest coś straszniejszego od człowieka? *(Znowu milknie).*

*

Już tu, kiedy szłam ulicą, przez minutę oglądałam się, bo zdawało się, że ktoś czyha za plecami. Czeka. Tam nie było dnia, żebym nie myślała o śmierci. Zawsze z domu wychodziłam we wszystkim czystym, w wyprasowanej bluzce, spódnicy, w czystej bieliźnie. Bo jak zabiją? A teraz sama jedna chodzę po lesie i nikogo się nie boję. Ludzi w lesie nie ma, żadnego człowieka. Idę, wspominam: działo się to wszystko ze mną czy nie? Innym razem myśliwych spotkasz: z bronią, psem i dozymetrem. To też ludzie z bronią, ale nie tacy, nie człowieka ścigają. Strzał usłyszę, wiem, że do wron strzelają, do zajęcy. *(Milczy).* Dlatego niestrasznie mi tu. Nie mogę bać się ziemi, wody. Człowieka się boję. Tam za sto dolarów kupuje się na bazarze broń.

Pamiętam chłopaka, Tadżyka. Ścigał drugiego chłopaka. Człowieka! Tak biegł, tak dyszał, iż od razu pojęłam, że chce zabić. Ale tamtem zniknął. Uciekł. A ten wraca się i idąc obok mnie, mówi:

- Gdzie tu u was można wody się napić, matko?

Tak zwyczajnie pyta, jakby nigdy nic. Na dworcu stała beczka z wodą, pokazałam i patrząc mu w oczy, cedzę:

- Czemu tak jeden za drugim gonicie? Czemu się zabijacie?

Wtedy nawet wstyd mu się zrobiło.

- Cicho bądź, matko.

Kiedy są razem, stają się inni. Gdyby było ich trzech albo chociaż dwóch, postawiliby mnie pod ścianą. Z jednym człowiekiem jeszcze można mówić.

*

Z Duszanbe przyjechaliśmy do Taszkientu, a potem trzeba było do Mińska. Nie ma biletów i już! Chytrze wymyślili, póki nie dasz łapówki, nie wsiądziesz do samolotu. Nieskończone przeszkody, to waga, to objętość, tego nie wolno, to zabierz. Dwa razy na wagę ganiali, żebym zrozumiała, pieniądze wsunęła.

- Wy tu od dawna, a sprzeczacie się.

I jakie wszystko proste! Nasz kontener - dwie tony, kazali rozpakować.

- Jedziecie z gorącej strefy, może broń wieziecie? Narkotyki?

Dwie doby męczyli. Poszłam do naczelnika i w sekretariacie poznałam dobrą kobietę, zrozumiała mnie.

- Niczego się tu nie dobijesz, a będziesz dochodzić sprawiedliwości, kontener wyrzucą w pole i rozgrabią, coście przywieźli - powiedziała.

Cóż było robić? Nocy nie przespaliśmy, rozpakowaliśmy: ciuchy, materace, Starą lodówkę, dwa worki książek.

- Pewnie cenne książki wieziecie?

Popatrzyli: *Co robić?* Czernyszewskiego, *Zorany ugór* Szołochowa. Roześmiali się.

- A ile macie lodówek?
- Jedna, ale tę nam uszkodzili.
- Czemuście nie wzięli deklaracji?
- A skąd mieliśmy wiedzieć? Pierwszy raz z wojny jedziemy.

*

Chodzę po lesie, myślę. Wszyscy nasi siedzą przed telewizorem: jak tam? Co tam? A ja nie.

Było życie. Inne życie. Tam uważałam się za kogoś, mam wojskową rangę podpułkownika wojsk kolejowych. Tu siedziałam jako bezrobotna, póki nie zostałam sprzątaczką w radzie miasta. Podłogi myję. Życie minęło. Na drugie nie mam już sił. Jedni nam współczują, inni niezadowoleni.

- Uciekinierzy kartofle kradną. Po nocach wykopują - sarkają.

W tamtą wojnę, wspominała mama, ludzie bardziej jeden drugiemu współczuli. Niedawno pod lasem znaleźliśmy zaginionego konia. Martwego. W innym miejscu - zająca. Nie zabite były, a martwe. Wszyscy się tym zaniepokoili. A jak znaleźli martwego biedaka, jakoś niezauważenie przeszło. Czemuż to do martwego człowieka ludzie wszędzie przywykli?

* * *

Lena M. - z Kirgizji. Na progu domu, jak dla fotografii, wraz z nią siedziało jej pięcioro dzieci i kot Mietielica, którego ze sobą przywieźli.

Jechaliśmy jak z wojny. Chwyciliśmy rzeczy, kot w ślad za nami na dworzec, więc wzięliśmy go. Pociągiem jechaliśmy dwanaście dni. W dwa ostatnie została tylko kapusta kiszona w bańkach i wrzątek. Ten z łomem, ten z siekierą, ten z młotkiem, dyżurowaliśmy pod drzwiami. Jednej nocy bandyci na nas napadli. O mało nie zabili. Za telewizor, za lodówkę teraz zabijają. Jechaliśmy jak z wojny, choć w Kirgizji, gdzie żyliśmy, jak dotąd nie strzelają. Była rzeźnia. Dzika, jeszcze za Gorbaczowa, w mieście Osz. Kirgizów z Uzbekami. Potem

ucichło. Czasem jeszcze w oddali usłyszysz. Na ulicach. Strasznie. Ale my Rosjanie; zrozumiałe, że Kirgizi się nas boją. U nich kolejki za chlebem, więc krzyczą:

- Ruskie, zabierajcie się do domu! Kirgizja dla Kirgizów!

I wyrzucają z kolejki. I jeszcze coś tam po kirgisku, że im samym chleba nie starcza, a trzeba nas karmić. Źle ich język rozumiem, nauczyłam się kilku słów, żeby na bazarze potargować się, kupić coś.

Mieliśmy ojczyznę, a teraz nie. Kim jestem? Mama - Ukrainka, tato - Rosjanin. Urodziłam się i wyrosłam w Kirgizji, za mąż wyszłam za Tatara. Kim są moje dzieci? Jaka ich narodowość? Wszyscy przemieszaliśmy się, krew wymieszana. W paszportach moim i dzieci zapisano - Ruskie, a my nie Ruskie. My - Sowieci! A kraju, gdzie się urodziłam, nie ma. Nie ma i tego miejsca, które nazywaliśmy ojczyzną. Teraz my jak nietoperze. Mam pięcioro dzieci: najstarszy syn - w ósmej klasie, najmłodsza dziewczynka - w przedszkolu. Tu ich przywiozłam. Kraju naszego nie ma, a my jesteśmy.

Tam się rodziłam, wyrastałam. Budowałam zakład, pracowałam w nim.

- Jedź tam, gdzie twoja ziemia, tutaj wszystko nasze.

Nic nie dawali wziąć, oprócz dzieci. „Tutaj wszystko nasze". A gdzie moje? Uciekają ludzie. Jadą. Wszyscy Ruscy. Sowieccy. Nigdzie niepotrzebni. Nikt na nich nie czeka.

A kiedyś tam szczęśliwa byłam. Wszystkie moje dzieci z miłości. Po kolei rodziłam: chłopiec, chłopiec, chłopiec, potem: dziewczynka, dziewczynka. Więcej mówić nie będę. Płakać zacznę. *(Ale doda jeszcze kilka słów).* Będziemy żyć w Czarnobylu. Tu teraz nasz dom. Czarnobyl - nasz dom, nasza ojczyzna. *(Nagle się uśmiecha).* Ptaki tu takie jak wszędzie. I pomnik Lenina stoi. *(A przy furtce, żegnając się już).* Wcześnie rano w sąsiednim domu stukają młotkami, deski z okien zdejmują. Spotykam kobietę.

- Skąd wy? - pytam.

- Z Czeczenii.

Nic nie mówi, tylko płacze.

Pytają mnie ludzie. Dziwią się. Jeden uparł się zapytać:

- Czy przywiozłabyś dzieci tu, gdzie dżuma i cholera?

Cóż mi dżuma i cholera? A tego strachu, o którym tu mówią, nie znam. Nie ma go w mojej pamięci.

Monolog o tym, że tylko w złu człowiek jest spełniony i jak dostąpił miłości w nieprzebiegłych słowach

Uciekałem. Od świata uciekałem. Pałętałem się po dworcach, podobały mi się dworce, bo ludzi wielu. Potem tu. Tu wolno. Życia własnego zapomniałem. Nie rozpytujcie. Co wyczytałem w książkach - pamiętam, a swojego życia zapomniałem. Młody byłem. Grzech na mnie ciąży. Nie ma takiego grzechu, którego by Pan nie odpuścił za szczerość wyrażonego żalu.

Człowiek sam szczęśliwy być nie może. Nie powinien. Zobaczył Pan samego Adama i dał mu Ewę. Dla szczęścia, a nie dla grzechu. Człowiek nie dostępuje łaski bycia szczęśliwym. Nie lubię mroku, ciemności. Takiego jak teraz, przechodzenia dnia w noc. Do tej pory nie mogę zrozumieć, gdzie byłem. Tak to jest. Bez różnicy mi: mogę żyć i mogę nie żyć. Życie człowieka jest jak trawa, rozkwita, wysycha i zamienia się w ogień. Lubiłem rozmyślać. Tu można zginąć od zwierza i od chłodu. Na przestrzeni dziesiątków kilometrów ani jednego człowieka. Diabła wyganiają postem i modlitwą. Post - dla ciała, modlitwa - dla duszy. Ale nigdy nie byłem samotny, wierzący człowiek nie jest samotny. Jeżdżę po wioskach. Wcześniej znajdowałem makarony, mąkę, masło roślinne, konserwy. Teraz na mogiłkach podbieram. Zmarłym zostawiają jedzenie, picie. A to im niepotrzebne. Nie oburzają się na mnie. Na polu dzikie żyto. W lesie grzyby, jagody. Wolno.

W książkach czytałem. U ojca Siergieja Bułhakowa[10]. „Bóg stworzył świat według mnie, świat zatem nie może we wszystkim się nie udać" i trzeba „mężnie i do końca przecierpieć historię". Tak to jest. A z innego, imienia nie pamiętam, myśl: „Zło właściwie nie jest substancją, ale brakiem dobra, podobnie jak mrok nie jest odrębnym bytem, a nieobecnością światła"[11]. Łatwo znaleźć tu książki, bardzo łatwo. Pustego glinianego dzbanka już nie wypatrzysz, łyżki ani widelca, a książki leżą. Niedawno znalazłem tomik Puszkina. „I myśl o śmierci miła duszy mej" - to zapamiętałem. Tak to jest. „I myśl o śmierci...". Jestem tu sam. O śmierci myślę. Polubiłem myśleć. Cisza sprzyja przygotowaniu. Człowiek pośród śmierci żyje, ale nie pojmuje, cóż to takiego śmierć. A ja tu sam. Wczoraj wilczycę z wilczętami ze szkoły wygnałem, tam żyły.

Pytanie: istnieje świat zaklęty w słowie? Słowo, ono stoi między człowiekiem a duszą. Tak to jest.

[10] Siergiej Bułhakow (1871 -1944) - prawosławny myśliciel i teolog rosyjski.

[11] Chodzi prawdopodobnie o znane założenie filozoficzne św. Augustyna, rozwijane przez św. Tomasza z Akwinu.

I to jeszcze powiem: pąki, drzewa, trawy są mi teraz bliższe niż przedtem. O nich także rozmyślam. Człowiek jest straszny. I nieprzewidywalny. A tu nie chce się nikogo zabijać. Rybę zjem, jest wędka. Tak to jest. Ale do zwierza nie strzelam. Ani sideł nie zastawiam. Tutaj niczego nie chce się zabijać.

Książę Myszkin mawiał: „Czyż można widzieć drzewo i nie być szczęśliwym"[12]. Tak to jest. Lubię rozmyślać. A człowiek przede wszystkim współczuje sobie, ale nie myśli.

Po co rozpatrywać zło? Ono, naturalnie, nurtuje. Grzech - to także nie fizyka. To, trzeba przyznać, nieistnienie. Powiedziano w Biblii: „Dla poświęconego - inaczej, dla pozostałych przypowieść"[13]. Weźmy ptaka albo inne zwierzę. Nie możemy ich zrozumieć, albowiem żyją dla siebie, a nie dla innych. Tak to jest. Wokół wszyscy na bieżąco, żeby w dwóch słowach powiedzieć.

Wszystko żywe - na czterech nogach, patrzy w ziemię, ciągnie do ziemi. Jeden człowiek na ziemi stoi, a rękami i głową do nieba się podnosi. Do modlitwy. Do Boga. Staruszka w cerkwi modli się: „Wszystkim nam wedle grzechów naszych". Ale ni uczony, ni inżynier, ni wojskowy nie przyzna się do nich.

Nie mam za co się kajać - myślą. - Dlaczego mam pokutować?

Tak to jest. Modlę się i tyle. Dla siebie czytam. Panie, wezwij mnie. Wysłuchaj. Tylko w złu człowiek jest wyćwiczony. Ale nie, kiedy prosi w nieprzebiegłych słowach miłości. Słowo nawet filozofów przybliża do tej myśli, którą przeczuwali. Słowo absolutnie wyraża to, co w duszy, ale tylko w modlitwie, w modlitewnym rozważaniu. Odczuwam to fizycznie. Panie, wezwij mnie. Wysłuchaj!

I człowiek także...

Boję się człowieka. Ale zawsze chcę go spotkać. Człowieka dobrego. Tak to jest. Tu albo bandyci żyją, ukrywają się, albo taki człowiek jak ja. Męczennik.

Jakie nazwisko? Nie mam dokumentu. Milicja zabrała. Biła:

- Czemu się szlajasz?

- Nie szlajam się, kajam się.

Jeszcze mocniej bili. Po głowie bili. Tak więc napiszcie: sługa boży Nikołaj. Teraz już wolny człowiek.

[12] Książę Myszkin - bohater powieści Fiodora Dostojewskiego *Idiota*.

[13] Por. Mk 4,11: „Wam dana jest tajemnica królestwa Bożego, dla tych zaś, którzy są poza wami, wszystko dzieje się w przypowieściach".

Chór żołnierski

Artiom Bachtjarow, kierowca, Oleg Leontijewicz Worobiej, likwidator, Wasilij Josifowicz Gusinowicz, kierówca-zwiadowca, Giennadij Wiktorowicz Demieniew, milicjant, Witalij Borisowicz Karbalewicz, likwidator, Walentin Komkow, kierowca, szeregowiec, Eduard Borisowicz Korotkow, pilot śmigłowca, Igor Litwicz, likwidator, Iwan Aleksandrowicz Łukaszuk, szeregowiec, Aleksander Iwanowicz Michalewicz, dozymetrysta, Oleg Leonidowicz Pawłów, major, lotnik, Anatolij Borisowicz Rybak, komendant oddziału obrony, Wiktor Sańko, szeregowy, Grigorij Nikołajewicz Chworost, likwidator, Aleksander Wasiliewicz Szynkiewicz, milicjant, Władimir Pietrowicz Szwed, kapitan, Aleksander Michajlowicz Jasinskij, milicjant.

- W pułku poderwał nas alarm. Dopiero w Moskwie, na Dworcu Białoruskim wyjaśnili, dokąd nas wiozą. Jeden chłopak, z Leningradu zdaje się, zaprotestował. Sądem zagrozili. Komendant powiedział przed szeregiem:

- Za kraty albo na rozstrzał pójdziesz.

A ja miałem inne uczucia. Chciałem czegoś bohaterskiego. Taki dziecięcy odruch. Podobnych do mnie było więcej. Służyły chłopaki z całego Związku Radzieckiego. Rosjanie, Ukraińcy, Kozacy, Ormianie. Był niepokój, ale wesoły taki.

Przywieziono więc nas do samej elektrowni. Biały chałat dali i czapkę białą. Gazową opaskę. Oczyszczaliśmy teren. Jednego dnia wygrzebywaliśmy i zdrapywaliśmy na dole, drugiego na wierzchu, na dachu reaktora. Wszędzie z łopatą. Tych, którzy pięli się do góry, nazywano „bocianami". Trudno było podołać, wysiadała technika. A my pracowaliśmy. Szczyciliśmy się nawet.

*

Wjechaliśmy. Stał znak: „zakazana zona". Nie byłem na wojnie, ale wyczuwało się coś znanego. Gdzieś z pamięci? Coś związanego ze śmiercią.

Na drogach mijaliśmy zdziczałe psy, koty. Nieraz samotnie biegły przed siebie, nie uznawały ludzi, uciekały od nas. Nie rozumiałem, co z nimi, póki nie kazali do nich strzelać. Domy opieczętowane, porzucone urządzenia kołchozowe. Ciekawie popatrzeć. Nie ma nikogo, tylko my i milicja patrolujemy. Zachodzisz do domu - portrety wiszą, a ludzi nie ma. Walają się dokumenty: legitymacje komsomolskie, zaświadczenia, dyplomy pochwalne. Z jednego domu wzięliśmy na jakiś czas telewizor, wypożyczyliśmy, ale żeby ktoś dla siebie coś brał, nie zauważyłem. Po pierwsze, było odczucie, że ludzie wkrótce wrócą. Po wtóre, że wszystko to ma związek ze śmiercią.

Jeździliśmy do tego bloku, do samego reaktora. Fotografować się. Chcieliśmy pochwalić się w domu. Strach, tak, był, ale i nieprzeparta chęć zobaczyć: cóż to takiego? Ja, na przykład, odmawiałem, miałem młodą żonę, nie ryzykowałem, ale chłopaki wypijały po dwieście gramów i jechały.

*

Porzucony dom. Zamknięty. W oknie kocię. Myślałem, że gliniane. Podchodzę - żywe. Objadło wszystkie kwiaty w doniczkach. Geranium. Jak tam zostało? Może o nim zapomnieli?

Na drzwiach napis: „Dobry człowieku, nie szukaj drogich rzeczy. U nas ich nie było. Korzystaj ze wszystkiego, ale nie marnuj. Wrócimy". Na innych domach napisy różną farbą: „Oszczędź nas, nasz dom!". Żegnali się z domem jak z człowiekiem. Pisali: „Odjeżdżamy rankiem" albo „Wyjeżdżamy wieczorem", datę stawiali, nawet godziny i minuty. Napisy na kartkach z uczniowskich zeszytów. „Nie bij kotka. Szczury wszystkie wyje". Dziecinnym pismem: „Nie zabijaj naszej Żulki. Ona dobra".

*

Wezwali. Rozkaz: nie przepuszczać do wysiedlonych wsi miejscowych ludzi. Staliśmy czujkami w pobliżu dróg, ziemianki budowaliśmy, wieżyczki obserwacyjne. Nazwano nas „partyzantami". Na świecie pokój, a my na służbie, po wojennemu. Wieśniacy nie rozumieli, dlaczego na przykład nie wolno zabrać ze swego podwórka wiadra, dzbana, piły albo siekiery. Przekopać grządki. Jak im wytłumaczyć? No bo tak: po jednej stronie drogi są żołnierze, nie puszczają, a po drugiej pasą się krowy, huczą kombajny i wożą zboże. Zbierają się baby i płaczą:

- Puśćcie, chłopcy. Toż to nasza ziemia. Nasze chaty.

Jajka, słoninę przynoszą, samogon.

*

Jestem wojskowym: każą - muszę. No i ten zryw bohaterski. Wmawiano go. Politycy występowali. Radio, telewizja. Różni reagowali różnie: jedni chcieli udzielać wywiadów, żeby było o nich w gazecie, drudzy patrzyli na wszystko jak na pracę, trzeci znowu, spotykałem takich, żyli w przekonaniu, iż mają szansę dokonać czegoś bohaterskiego. Dużo nam płacili, choć pytać o pieniądze jakby nie przystoi. Moja pensja - czterysta rubli, a tam zarabiałem tysiąc (mowa o tych radzieckich jeszcze). Potem nam wymawiali:

- Parę dni pogrzebali łopatą, a wrócili - dawaj im samochody, segmenty meblowe bez kolejki.

Zapewne, naturalnie. Wszak był to zryw heroiczny.

Przed wyjazdem był strach. Krótko. Tam strach znikał. Gdybym tak mógł zobaczyć ten strach. Był rozkaz, robota, zadanie. Miałem chęć popatrzeć na reaktor z góry, ze śmigłowca: co się tam stało? Jak to wygląda? Ale to było zabronione. W karcie zapisali mi dwadzieścia jeden rentgenów, ale nie wierzę, że było tyle. Zadanie było proste: przylatujesz do miasta Czarnobyl (to, nawiasem mówiąc, niewielkie miasteczko, a nie coś wielkiego, jak sobie wyobrażałem), tam siedzi dozymetrysta, jakieś dziesięć-piętnaście kilometrów od elektrowni, wyznacza promieniowanie tła. Te dane potem mnożyło się przez liczbę godzin, które wylataliśmy w ciągu dnia. Stamtąd startowałem w śmigłowcu i przelatywałem nad reaktorem: tam i z powrotem, przelot w dwóch kierunkach, dziś - osiemdziesiąt rentgenów, nazajutrz - sto dwadzieścia. Nocą krążę nad nim przez dwie godziny. Wykonujemy zdjęcia w podczerwieni, kawałki rozsypanego grafitu na folii „świecą się". Za dnia nie można ich było zobaczyć.

Rozmawiałem z uczonymi. Jeden: „Mogę ten twój śmigłowiec wylizać jeżykiem i nic mi się nie stanie". A drugi: „Chłopcy, czemu bez ochrony latacie? Życie chcecie sobie skrócić? Ubierajcie się szczelnie".

Siedzenia wyłożyli ołowianymi arkuszami, wycięli osłony z blachy ołowianej na pierś, ale okazuje się, jedne bronią przed promieniami, a drugie nie. Lataliśmy od rana do nocy. Nic fantastycznego. Ciężka praca. Noc przy telewizorze, akurat odbywały się mistrzostwa świata w piłce nożnej.

Zaczęliśmy rozmyślać. Jak by się tu pozbierać? Przez rok, trzy. Jeden zachorował, drugi. Któryś umarł. Zwariował. Skończył ze sobą. Wtedy zaczęliśmy rozmyślać. A zrozumiemy cokolwiek, myślę, za dwadzieścia-trzydzieści lat. Za mną Afgan[14] (byłem tam dwa lata) i Czarnobyl (trzy miesiące) - najważniejsze momenty w życiu.

[14] Afgan - potoczna na terenach byłego ZSRR nazwa Afganistanu, na którego terenach w latach 1979-89 Armia Czerwona toczyła wojnę z różnymi tamtejszymi formacjami politycznymi i partyzanckimi. Przez wiele lat tamtejsze media mówiły jedynie o udziale „ograni-

Rodzicom nie zdradziłem, że wysłali do Czarnobyla. Brat zwyczajnie kupił gazetę „Izwiestia" i znalazł tam moje zdjęcie, przynosi matce.

- Masz, patrz - bohater!

Matka się rozpłakała.

*

Jechaliśmy i wiecie, co zobaczyłem? Na poboczach drogi, w promieniach słonecznych, tęczowy blask. Coś krystalicznego błyszczało, lotne cząsteczki. Jechaliśmy w stronę Kalinkowicz, przez Mozyr. Coś się przelewało. We wsiach, gdzieśmy byli, od razu spostrzegliśmy na liściach prześwitujące dziureczki, szczególnie na wiśniach. Rwaliśmy ogórki, pomidory - a na liściach czarne dziureczki. Klęliśmy, ale jedliśmy.

Pojechałem jako ochotnik. W pierwszych dniach nie spotkałem tam nikogo obojętnego. Dopiero potem, kiedy się rozwydrzyli, ta pustka w oczach. Orderek zerwać? Ulgę zaliczyć? Bzdura! O nic takiego mi nie chodziło. Mieszkanie, samochód mam. Daczę też już miałem. To męski zawód. Hazard. Ot, jadą prawdziwi wykonawcy do prawdziwego zadania. A pozostali? Wciąż siedzą pod babskimi spódnicami. U jednego żona rodzi, u drugiego małe dziecko, u trzeciego zgaga. Klęliśmy, ale jechaliśmy.

Rozjechaliśmy się do domu. Wszystko z siebie zdjąłem, całą odzież, w której tam byłem, i wyrzuciłem do zsypu. A pilotkę podarowałem synkowi. Tak bardzo prosił. Nosił, nie zdejmując jej. Po dwóch latach postawili mu diagnozę: puchlina mózgu. Dalej dopiszcie sobie sami. Nie mogę mówić.

*

Dopiero co wróciłem z Afganu. Żyć się chciało. Żenić od razu. A tu - wezwanie z czerwonym paskiem. „Specwezwanie" - w ciągu godziny stawić się pod wskazanym adresem. Matka w płacz. Sądziła, że znowu biorą mnie na wojnę.

Dokąd wiozą? Dlaczego? Pełna niewiedza. W Słucku[15] przebrali, umundurowali i okazało się, że jedziemy w rejon Chojnik[16]. Przybyliśmy do Chojnik, a tam ludzie jeszcze nic nie wiedzą. Powieźli dalej, do wsi, a tam grają na weselu: młodzi całują się, muzyka, piją samogon. Wesele jak wesele. A my mamy rozkaz: zdjąć grunt na sztych.

czonego kontyngentu naszych wojsk w niesieniu pomocy bratniemu narodowi Afganistanu". Afgan, to słowo-symbol w Rosji i w państwach wchodzących przed 1991 r. w skład ZSRR. Wojna ta przyniosła wiele ofiar. Afganami lub Afgańcami nazywa się także żołnierzy biorących udział w tej wojnie.

[15] Słuck - ponad 50-tysięczne miasto na południe od Mińska, m.in. węzeł kolejowy.

[16] Chojniki - miasto rejonowe w obwodzie homelskim.

Dziewiątego maja - w Dzień Zwycięstwa - przyjechał generał. W szeregi nas, pozdrowił uroczyście. Ktoś z szeregów ośmielił się spytać:

- Dlaczego ukrywają, jak promieniotwórcze jest tło? Jakie dawki pochłaniamy?

Jeden taki się znalazł. Zatem kiedy generał zniknął, wezwał go komendant jednostki i nabluzgał:

- Prowokację urządzasz! Panikarz!

W ciągu paru dni jakieś maski przeciwgazowe wydali, ale nikt z nich nie korzystał. Dwa razy pokazali dozymetry, ale do rąk nikomu nie dali. Raz na trzy miesiące wypuszczali do domu na parę dni. I jedno zalecenie: kupić wódki. wiedźwigałem dwa plecaki z butelkami. Na rękach mnie huśtali.

Przed odprawą do domu wszystkich wezwał „kagiebowiec" i przekonująco radził: nigdzie i nikomu nie opowiadać, coście widzieli. Z Afganu powróciłem, wiedziałem - będę żyć! Po Czarnobylu wszystko na odwrót: zabije dosłownie wtedy, kiedy powrócę.

*

Co zapamiętałem? Co utkwiło w pamięci? Cały dzień szwendam się po wsiach samochodem. Z dozymetrystami. I ani jedna z kobiet nawet jabłka nie zaproponuje.

*

Dziesięć lat minęło. Gdybym nie zachorował, zapomniałbym. Ojczyźnie się służy! Służba ojczyźnie - święta rzecz. Otrzymałem: bieliznę osobistą, kalesony, buty, pagony, pilotkę, spodnie, koszulę żołnierską, pasek, chlebak. I w drogę! Spychacz dali. Beton woziłem. Jakkolwiek by było - wytrzymacie. Młode chłopaki. Nieżonate. Respiratorów nie braliśmy ze sobą. Nie, jednego pamiętam. Stary kierowca. Zawsze w masce. A my nie. Ci z drogówki bez masek. My w kabinie, a oni w pyle radioaktywnym stali po osiem godzin. Dobrze płacili: trzy pensje plus delegacje. Używaliśmy. Wiedzieliśmy, że wódka pomaga. Stres rozładowuje. Nic nadzwyczajnego: wojna, znakomite narkotyczne sto gramów. Zwyczajny obrazek: pijany milicjant karze pijanego kierowcę.

Nie piszcie o cudach radzieckiego heroizmu. Były. Ale najpierw bałagan, bezhołowie, a potem cuda. Z ambrazury[17] z gołą piersią na kulomiot. A że nie

[17] Ambrazura - żelbetonowa konstrukcja obronna z niewielkimi otworami na wysunięcie rakiet lub karabinów maszynowych, we wnętrzu mieści kilku żołnierzy; ambrazury były częścią fortyfikacji wojennych, wznoszono je w trakcie walk pozycyjnych w czasie I i - rzadziej -II wojny światowej.

powinno być takiego rozkazu, o tym nikt nie pisze. Ciskali nas tu jak piasek na reaktor. Każdego dnia wywieszali „listę bojową": „pracują z męstwem i samozaparciem", „wytrzymamy i zwyciężymy". Za bohaterski czyn dali dyplom i tysiąc rubli.

*

Z początku nieporozumienie, wyobrażenie, że to zabawa. A to była prawdziwa wojna. Wojna atomowa. Nieznana: co straszne, a co nie, czego obawiać się, a czego nie? Nikt nie wiedział. Prawdziwa ewakuacja. Na dworcach. Co działo się na dworcach! Pomagaliśmy podawać dzieci przez okna wagonów. Ustalaliśmy porządek w kolejkach. Kolejki po bilety w kasach, po jod w aptekach. W kolejkach obrzucali się błotem i bili się. Wyłamywali drzwi w budkach z winem i sklepach. Rozbijali i wyłamywali w oknach żelazne kraty. Przesiedleńcy mieszkali w klubach, szkołach, przedszkolach. Chodzili wygłodniali. Pieniądze u wszystkich szybko się kończyły. W sklepach wszystko wykupione.

Nie zapomnę kobiet, co prały naszą bieliznę. Maszyn pralniczych nie było, nie pomyśleli o nich, nie zwieźli. Wszystkie te kobiety - sędziwe. Ich ręce - w pęcherzach, strupach. Bielizna nie tylko groźna, tam dziesiątki rentgenów. „Przekąście, chłopcy", „Odpocznijcie, chłopcy", „Młodziście, chłopcy, oszczędzajcie się". Współczuły nam i płakały. Czy żyją gdzieś jeszcze?

Zbieramy się dwudziestego szóstego kwietnia każdego roku. Ci, co tam byli. Wspominamy ten czas. Byłeś żołnierzem na wojnie. Co złe, zapomniało się, a reszta została. Zostało to, w czym bez ciebie nie mogli się obejść. Nasz system, wojenny we wszystkim, doskonale sprawdza się w nadzwyczajnych okolicznościach. I w takich chwilach Rosjanin pokazuje, jak jest wielki! Wyjątkowy! Holendrami albo Niemcami nigdy nie będziemy. I nie będzie u nas trwałego asfaltu i wypielęgnowanych trawników. Ale bohaterowie zawsze się znajdą.

Powiedzieli - poszedłem. Trzeba! Byłem członkiem partii. Komuniści, naprzód! Taka sytuacja. Służyłem w milicji jako starszy sierżant. Obiecali mi nową „gwiazdkę". Był czerwiec osiemdziesiątego siódmego roku. Trzeba obowiązkowo przejść komisję lekarską, ale mnie odesłali bez kontroli. Ktoś tam, jak się mówi, wykręcił się, przyniósł zaświadczenie, że ma wrzód żołądka, więc wzięli mnie zamiast niego. Szybko.

Jechaliśmy jako wojskowi. Spośród nas zorganizowali brygadę murarzy. Budowaliśmy aptekę. Poczułem słabość, jakąś senność. Idę do lekarza: „Wszystko w normie. Upał". Do stołówki przywozili z kołchozu mięso, mleko,

śmietanę, jedliśmy. Lekarz do niczego się nie wtrącał. Ugotują jadło, on w dzienniku odnotowuje, że wszystko w normie, ale sam tego nie jadł. Taka sytuacja. Zaczęły się truskawki. Ule pełne miodu.

Zaczynali już łazić szabrownicy. Zabijaliśmy okna, drzwi. Sklepy rozgrabione, kraty w oknach wyłamane, mąka, cukier pod nogami, cukierki. Porozrzucane słoiki. Z jednej wsi wysiedlają ludzi, a w odległości pięciu - dziesięciu kilometrów ludzie mieszkają. Rzeczy z opuszczonej wsi przerzucaliśmy do nich. laka sytuacja. Pilnujemy, przyjeżdża były przewodniczący kołchozu z miejscowymi ludźmi, już gdzieś osiedli, domy dostali, ale wracają żyto zbierać, siać. Siano wywozili w tobołach. Znajdowaliśmy w nich wieloczynnościowe maszyny do szycia, motory. Barter: oni ci butelkę samogonu, ty im pozwolenie na przewóz telewizora. Sprzedawali, wymieniali traktory, siewniki. Za jedną butelkę, za dziesięć. Pieniądze nie obchodziły nikogo. *(Śmieją się).* Jak w komunizmie. Na wszystko obowiązywała taksa: kanister benzyny - pół litra samogonu, futro karakułowe - dwa litry, motocykl - jak stargujemy. Tak pół roku odbyłem, zgodnie z rozkładem służby, termin był półroczny. Potem przysyłali zmianę. Co nieco nas zatrzymali, bo z Pribałtyki odmawiali wyjazdów. Taka sytuacja. Ale wiem też, że rozkradli, wywieźli wszystko, co tylko można było wziąć i wywieźć. Zonę przewieźli tu. Znajdziesz na rynku, w komisach, na daczach. Za drutem kolczastym została tylko ziemia. I mogiłki.

*

Przybyliśmy na miejsce. Zmieniliśmy mundury.

- Awaria zdarzyła się dawno - uspokajał kapitan. Trzy miesiące temu. Teraz, już nic strasznego.

- Wszystko w porządku, myjcie tylko ręce przed jedzeniem - sierżant na to.

Służyłem jako dozymetrysta. Jak się ściemnia, do naszego wartowniczego wagoniku podjeżdżają samochodami chłopcy. Pieniądze, papierosy, wódka. Byle tylko poryć w skonfiskowanym barachle. Do teczek pakowali. Dokąd wieźli? Z pewnością do Kijowa, do Mińska. Na tandetę. Pilnowaliśmy tego, co zostało. Płaszcze, buty, krzesła, harmoszki, maszyny do szycia. Zakopywaliśmy w jamach, które nazwano „bratnimi mogiłami"[18].

Przyjechałem do domu, idę na tańce, spodobała się dziewczyna.

Poznamy się?

A po co? Czarnobylski jesteś. Rodzić od ciebie strasznie!

[18] Bratnie mogiły (w oryginale: *bratskije mogiły)* - potoczna nazwa cmentarzy wojskowych lub tych kwater na cmentarzach cywilnych, w których spoczywają polegli żołnierze.

Dobrze pamiętam. Moje oficjalne stanowisko - komendant oddziału odcinka dowództwa obrony. Ktoś w rodzaju dyrektora zony apokaliptycznej. *(Śmieje się).* Tak napiszcie.

Zatrzymujemy auto z Prypeci. Miasto ewakuowane, ludzi nie ma. „Pokażcie dokumenty". Nie ma dokumentów. Bagażnik nakryty brezentem. Podnosimy brezent: dwadzieścia serwisów do herbaty, jak dziś pamiętam, segment meblowy, miękki narożnik, telewizor, dywany, rowery.

Spisuję protokół.

Przywożą mięso do zasypania w dołach. W tuszach wołowych brakuje ścięgien. Wycięli.

Spisuję protokół.

W opustoszałych wsiach biegały zdziczałe świnie. W kantorach[19] kołchozowych i w wiejskich klubach wisiały plakaty: „Dajmy Ojczyźnie chleb!", „Chwała sowieckiemu robotnikowi wiejskiemu!", „Nieśmiertelny czyn narodu".

Zasypane „bratnie mogiły". Rozstrzaskany, pęknięty kamień z nazwiskami: kapitan Borodin, starszy lejtnant. Zepchnięte groby rodzinne. Rzep, pokrzywa, łopuchy.

Dostrzegalny ogród. Za pługiem stąpa gospodarz, zobaczył nas.

- Nie krzyczcie, chłopcy. Już daliśmy podpis: wyjedziemy wiosną.
- A dlaczego teraz orzecie ogród?
- To tylko jesienne porządki.

Rozumiem, ale powinienem spisać protokół.

*

Żona zabrała dziecko i uciekła. Suka! Nie powieszę się przecież, jak Wańka Kotów. Nie rzucę się z szóstego piętra! Suka! Kiedy stamtąd przy dźwigałem walizkę pieniędzy, samochód kupiliśmy. Wtedy, suka, żyła ze mną. Nie bała się. *(Nieoczekiwanie śpiewa).* „Nawet tysiące rentgentów nie położą ruskich genów[20].

Świetna czastuszka. Stamtąd. Chcecie kawał? *(Tu zaczyna opowiadać).* Wraca mąż do domu. Spod reaktora. Żona pyta lekarza:

- Co robić z mężem?
- Umyć, objąć, dezaktywować.

[19] Kantor - biuro kierownictwa kołchozu.

[20] W oryginale: *daie tysiąca rentgen nie położyt' ruskij czlien.*

Suka! Boi się mnie. Dziecko zabrała. *(Nieoczekiwanie poważnie).* Pracowali żołnierze, naprzeciw reaktora. Woziłem ich na zmianę i ze zmiany. Miałem, jak wszyscy, na szyi licznik-rejestrator. Po zmianie zbierałem je i zdawałem w pierwszym oddziale. Sekretarce. Tam odczytywali pomiary, zapisywali niby **coś** w naszych kartach, ale ile każdemu przypadło rentgenów - tajemnica wojskowa. Suki! Mija jakiś czas, mówią: „Stop! Dalej nie wolno!". Cała ta infor**macja** medyczna! Nawet przy wyjeździe nie powiedzieli ile? Suki! A teraz sięgają po władzę. Po portfele. Mają teraz wybory.

Jak nas leczyć? Nie przywieźliśmy żadnych dokumentów. Do tej pory je ukrywają albo w związku z tym zostały utajnione. Jak pomóc naszym lekarzom? Chciałbym teraz zaświadczenie: ile i czego tam nabrałem? Pokazałbym **to** swej suce. Jeszcze jej udowodnię, że przeżyjemy w jakichkolwiek warunkach i będziemy żenić się, i płodzić. A pocałujcie mnie wszyscy w d...!

Wzięli od nas podpis, że nie będziemy rozgłaszać. Milczałem. Od razu po wojsku zostałem inwalidą drugiej grupy. W dwudziestym drugim roku życia. Dostałem za swoje. Grafit nosiliśmy wiadrami. Dziesięć tysięcy rentgenów. Wkładaliśmy zwyczajnymi łopatami, szuflami, biorąc za zmianę do trzydziestu dziesięciorublówek. Usypaliśmy sarkofag. Gigantyczną mogiłę, w której jest pogrzebany jeden człowiek, starszy operator Walera Chodemczuk, co został pod rozwalinami w pierwszych minutach wybuchu[21]. Piramida dwudziestego wieku.

Pozostały nam jeszcze trzy miesiące służby. Wróciliśmy do jednostki, nawet nas nie przebrali. Chodziliśmy w tych samych żołnierskich koszulach, w butach, W jakich byliśmy na reaktorze. Do samego demobilu.

A jeśli nawet pozwoliliby mówić, komu mógłbym opowiedzieć? Pracowałem w zakładzie. Wysłali na wcześniejszą emeryturę.

Przestań chorować - mówi naczelnik oddziału - bo skrócimy.

Skłócili. Poszedłem do dyrektora.

-Nie macie prawa. Jestem czarnobylcem. Ratowałem was. Broniłem!

-Nie myśmy cię tam posłali.

Po nocach budzę się od maminego głosu:

-Syneczku, czemu milczysz? Nie śpisz, leżysz z otwartymi oczami. I twarz ci płonie.

[21] Patrz: *Samotny głos człowieczy.* „Przypuszczamy, że pod ruinami został Walera Chodemczuk. Nie wydobyto go. Zabetonowano" (str. 10).

Milczę. Nikt do mnie nie może przemówić tak, żebym odpowiedział. W moim języku. Nikt nie rozumie, skąd wróciłem. Nie potrafię tego wypowiedzieć.

*

Już nie boję się śmierci. Samej śmierci. Ale nie mam pojęcia, jak będę umierać. Przyjaciel umierał. Spuchł, nadął się. Jak beczka. A sąsiad, także tam był, dźwigowy, stał się czarny jak węgiel, wysechł do rozmiarów dziecka. Nie mam pojęcia, jak będę umierać. Jedno tylko wiadomo: z moją diagnozą długo nie pociągnę. Wyczuć by tylko moment. Kulę w łeb. Byłem w Afganie. Tam; z tym lżej. Z kulą.

Strzegę wycinka z gazety o operatorze Leonidzie Toptunowie[22], to on tej nocy dyżurował w elektrowni i nacisnął czerwony guzik obrony awaryjnej na kilka minut przed wybuchem. Nie zadziałało. Leczyli go w Moskwie.

- Żeby ratować, trzeba ciała - mówili lekarze.

Została jedna jedyna cała, nienaruszona plamka na plecach. Pogrzebali jak innych, na Mitinskim cmentarzu. Trumnę wyłożyli wewnątrz folią. Nad nim półtora metra płyty betonowej, z ołowianą przekładką. Przyjedzie ojciec, stoi. płacze. Obok przechodzą ludzie.

- Twój sukinsyn spowodował wybuch! - mówią.

Wszyscyśmy jednakowi. Obcy. Nawet grzebią osobno, nie tak jak wszystkich. Jak przybyszów skądś z kosmosu. Już lepiej było mi zginąć w Afganie! Uczciwie powiem, takie myśli przychodzą często. Tam śmierć była rzeczą zwyczajną. Zrozumiałą.

*

Z góry, ze śmigłowca, kiedy leciał nisko koło reaktora, oglądałem sarenki, dziki. Chude, senne. Ruszają się jak na zwolnionym ujęciu. Karmiły się trawą, co tam rosła. Nie rozumiały przecież, że trzeba uchodzić. Wraz z ludźmi uciekać.

Jechać - nie jechać? Lecieć - nie lecieć? Byłem komunistą, jak mogłem nie lecieć? Dwóch szturmowców odmówiło, że niby młode żony, dzieci jeszcze nie mają, ale zawstydzili ich, nakazali. Kariera skończona! Ponadto był męski sąd! Sąd honorowy! To, wiecie, ryzyko - on nie potrafi, a ja pójdę. Teraz myślę inaczej. Po dziewięciu operacjach i dwóch zawałach. Nie osądzam ich, rozumiem. Młodzi chłopcy. Sam jednak bym poleciał. Tak trzeba. On nie potrafił, a ja pójdę. Po męsku!

Z wysokości porażała ilość techniki: ciężkie śmigłowce, średnie śmigłowce, MI-24 - śmigłowiec bojowy. Cóż można było zrobić z bojowego śmigłowca w Czarnobylu? Albo z wojennego pilota MI-24? Lotnicy, młodzi chłopcy, wszyscy po Afganie. A nastawienie takie, że jednego starczyło na cały Afgan, nawojowali się. Stoją w lesie koło reaktora, chwytają rentgeny. Na rozkaz! Tam nie trzeba było wysyłać takiej liczby ludzi, napromieniowywać. Dlaczego? Tam byli potrzebni specjaliści, a nie materiał ludzki. Naruszony budynek, grudy walącego się gmachu i... gigantyczna liczba maleńkich ludzkich figurek. Stał jakiś niemiecki dźwig[23], ale martwy, doszedł tu i zamarł. Roboty zamierały. Przekazano tu roboty akademika Łukaczewa do poszukiwań na Marsie. Roboty japońskie. Widocznie od wysokiej radiacji spłonęło w nich całe wyposażenie. A żołnierze? Biegali w gumowych kostiumach, w gumowych rękawicach.

Przed odjazdem ostrzegli nas: w interesie państwa - nie rozpowiadać o tym, coście widzieli.

I oprócz nas nikt nie wie, co tam nastąpiło.

Nie wszystko rozumieliśmy, ale wszystko widzieliśmy.

[22] Leonid Toptunow - starszy inżynier sterowania wchodzący w skład porannej zmiany przeprowadzającej eksperyment na czwartym reaktorze 26 kwietnia 1996 r., wkrótce zmarł z napromieniowania.

[23] W oryginale: *feergesowskij kran,* dosłownie: erefenowski dźwig, od skrótu: FRG *(Fiedieratiwnaja Respublika Giermanii).*

ROZDZIAŁ II

Miara wszechrzeczy

Monolog o starych proroctwach

Moja dziewczynka nie taka jak wszyscy. Kiedy podrośnie, spyta:

- Dlaczego nie taka?

Gdy się urodziła, nie była dzieckiem, a żywym woreczkiem, ze wszystkich stron zaszytym, ani jednej szczelinki, tylko oczęta otwarte. W karcie medycznej zapisano - dziewczynka, urodzona z wieloraką patologią kompleksową: aplazja[1] odbytu, aplazja przyrodzenia, aplazja lewej nerki. Tak to brzmi w języku naukowym, a w zwyczajnym: ni pipci, ni pupci, jedna nerka. Zaniosłam ją na operację w drugim dniu jej życia. Otworzyła oczęta, uśmiechnęła się, myślałam, że chce zapłakać. O, Panie, uśmiechnęła się! Takie jak ona nie żyją, takie umierają od razu. Nie umarła, bo ją kocham. W ciągu czterech lat - cztery operacje. To jedyne dziecko na Białorusi, które przeżyło z takim kompleksem patologii. Bardzo ją kocham. *(Zastanawia się).* Nie mogę więcej rodzić. Nie ośmielę się. Wracam ze szpitala: mąż w nocy pocałuje, a ja cała drżę - nie wolno nam. Grzech. Strach. Słyszałam, jak lekarze mówili między sobą:

- Nie w czepku urodzona, a w pancerzu. Gdyby ją pokazać w telewizji, żadna matka nie chciałaby rodzić.

Tak mówili o mojej dziewczynce. Jak po tym wszystkim kochać?!

Poszłam do cerkwi, opowiedziałam batiuszce. Powiedział, trzeba przebłagać za grzechy. Ale w naszym rodzie nikt nikogo nie zabił. W czym jestem winna? Nasze osiedle chcieli ewakuować, a potem wykreślili z listy: państwu nie starczyło pieniędzy. A ja w tym czasie pokochałam. Za mąż wyszłam. Nie wiedziałam, że teraz kochać nie wolno. Wiele lat temu babcia czytała w Biblii, że nastanie na ziemi czas, kiedy wszystkiego będzie w obfitości, wszędzie kwiaty będą i płodność, rzeki staną się pełne ryb, a lasy zwierza, ale człowiek

[1] Aplazja - zahamowanie rozwoju; niepełny lub nieprawidłowy rozwój tkanki lub narządu, a nawet ich brak.

z tego nie skorzysta. Nie będzie mógł urodzić podobnego sobie, przedłużać nieśmiertelności. Słuchałam starych proroctw jak strasznej bajki. Nie wierzyłam.

Opowiedzcie wszystkim o mojej dziewczynce. Napiszcie. Ma cztery lata, śpiewa, tańczy, z pamięci recytuje wiersze. Normalny rozwój umysłowy, niczym nie odróżnia się od innych dzieci. Tylko zabawy ma inne. Nie bawi się w „sklep", „w szkołę", z lalkami bawi się „w szpital": robi im zastrzyki, wkłada termometr, zakłada kroplówkę, lalka umiera - nakrywa ją białym prześcieradłem. Cztery lata mieszkamy z nią w szpitalu, nie można zostawić jej tam samej, bo nie wie, że żyje się w domu. Kiedy zabieram ją do domu na miesiąc-dwa, pyta: „A szybko wrócimy do szpitala?". Tam ma przyjaciół, tam mieszkają, rosną.

Zrobili jej pupkę. Formują przyrodzenie. Po ostatniej operacji zaczęła oddawać mocz, ale nie udało się założyć cewnika - trzeba jeszcze kilka operacji. Radzą operować za granicą. A skąd wziąć dziesiątki tysięcy dolarów, jeśli mąż zarabia sto dwadzieścia dolarów miesięcznie? Pewien profesor dyskretnie poradził:

- Z taką patologią wasze dziecko przedstawia wielkie wyzwanie dla nauki. Pisz do zagranicznych klinik. Powinno ich zainteresować.

I piszę. *(Stara się nie płakać).* Piszę, że co pół godziny rękami wybieram jej mocz, mocz schodzi przez odpowiednie odprowadzenia w okolicy przyrodzenia. Gdyby tego nie robić, zakazi jedyną nerkę. Gdzie jeszcze jest w świecie dziecko, któremu co pół godziny trzeba wybierać mocz rękami? I jak długo można to wytrzymać? Nikt nie zna wpływu małych dawek promieniowania na człowieka, na dziecięcy organizm. Weźcie moją dziewczynkę, choćby dla badań. Nie chcę, żeby umarła. Zgadzam się, żeby moja dziewczynka została królikiem doświadczalnym, aby tylko przeżyła. *(Płacze).* Napisałam dziesiątki listuw.

Jak dotąd nie rozumie, ale kiedyś zapyta nas: dlaczego nie jestem taka jak wszyscy? Dlaczego nie będzie jej mógł pokochać mężczyzna? Dlaczego nie może urodzić dziecka? Dlaczego nigdy nie nastąpi u niej to, co następuje u kobiety, u ptaka, u wszystkich? Chciałam, powinnam udowodnić, że... Chciałam dostać dokumenty, żeby kiedy dorośnie, stwierdziła: to nie my z mężem jesteśmy winni, nie nasza miłość. (7 *znowu stara się nie płakać).* Cztery lata walczyłam z lekarzami, urzędnikami. Pukałam do wysokich gabinetów. Po czterech łatach dali mi zaświadczenie medyczne potwierdzające związek promieniowania jonizującego (niewielkich dawek) z jej straszną patologią. Cztery lata odmawiali, twierdzili:

- Wasza dziewczynka jest inwalidką dziedziczną.

Jakąż dziedziczną? Jest inwalidką czarnobylską. Zbadałam swoje drzewo genealogiczne: nie zdarzyło się w naszym rodzie nic takiego, wszyscy żyli do osiemdziesięciu - dziewięćdziesięciu lat, mój dziadek - do dziewięćdziesięciu czterech. Lekarze usprawiedliwiali się:

- Mamy instrukcję. Podobne przypadki winniśmy oceniać jak każdą chorobę. Ale za dwadzieścia-trzydzieści lat, kiedy uzbiera się bank czarnobylskich danych, zaczniemy wiązać choroby z promieniowaniem jonizującym.

Nie mogę przecież czekać dwadzieścia - trzydzieści lat. Chciałam ich podać do sądu. Oskarżyć państwo. Nazwali mnie wariatką, śmiali się, podobno takie dzieci rodziły się i w starożytnej Grecji. Pewien urzędnik krzyczał:

- Czarnobylskich ulg się zachciewa! Czarnobylskich pieniędzy!

Jednego nie mogli pojąć, nie chcieli: musiałam wiedzieć, że nie jesteśmy z mężem winni. Nie nasza miłość. *(Nie wytrzymuje. Płacze).*

Ta dziewczynka rośnie. Mimo wszystko, dziewczynka. Nie chcę wymieniać nazwiska. Nawet sąsiedzi z klatki schodowej nie wiedzą wszystkiego. Odzieję ją w ubranko, warkoczyk zaplotę:

- Twoja Katierika taka śliczna - mówią.

Ale sama tak dziwnie patrzę na brzemienne kobiety. Jak z oddali. Zza węgła. Nie patrzę, podglądam. Jest we mnie splot różnych uczuć: zadziwienia i strachu, zawiści i radości, mściwości jakiejś nawet. Łapię się na myśli, że z tym samym odczuciem patrzę na brzemienną sukę u sąsiadów. Na bocianicę w gnieździe.

Moja dziewczynka...

Łarisa Z., matka

Monolog o księżycowym pejzażu

Nagle zacząłem wątpić, co lepsze: pamiętać czy zapomnieć? Rozpytywałem znajomych. Jedni zapomnieli, drudzy nie chcą wspominać, bo nic nie możemy zmienić, nawet stąd wyjechać.

Co zapamiętałem? W pierwszych dniach po awarii w bibliotekach znikły książki o radiacji, o Hiroszimie i Nagasaki, nawet o Róntgenie. Chodziły słuchy, że to nakaz kierownictwa, żeby uniknąć paniki. Był nawet żart, że jeśliby Czarnobyl wybuchł u Papuasów, cały świat by się przestraszył oprócz samych Papuasów. Żadnych medycznych rozpoznań, żadnych informacji. Kto mógł, zdobywał tabletki jodowe (w aptekach naszego miasta nie było ich w sprzedaży,

dostawali po wielkich znajomościach). Bywało, że zjadali garść tych tabletek i zapijali kieliszkiem spirytusu. Pogotowie ratunkowe przyjeżdżało.

Potem pojawiły się oznaki, które śledzili wszyscy: dopóki w mieście lub we wsi są wróble i gołębie, tam może żyć i człowiek. Jechałem taksówką, kierowca nie pojmował, czemu ptaki, jak ślepe, padają na szyby, rozbijają się. Jak nienormalne, wyglądało to na jakieś samobójstwo.

Zapamiętałem, jak wracałem z delegacji. Prawdziwy pejzaż księżycowy. Po obu stronach drogi po sam horyzont ciągnęły się zasypane białym dolomitem pola. Wierzchnia, skażona warstwa ziemi zdjęta i zasypana, a w to miejsce nasypano piasku dolomitowego. Jak nieziemia. Długo męczyłem się tym widokiem i próbowałem napisać opowiadanie. Wyobrażałem sobie, co tu nastąpi za sto lat: człowiek, czy jeszcze będzie skakać na czworakach, wyrzucając długie zadnie nogi kolanami do tyłu, nocą będzie widział wszystko potrójnym okiem, a jedyne ucho na makówce usłyszy nawet bieg mrówki. Przetrwały tylko mrówki, wszystko pozostałe na ziemi i niebie zginęło.

Wysłałem opowiadanie do gazety. Przysłali odpowiedź, że to nie wyobraźnia literacka, lecz strach. Oczywiście, nie starczyło mi talentu. Ale jest, podejrzewam, jeszcze inny powód. Dlaczego o Czarnobylu milczą, niewiele piszą nasi literaci? Wolą pisać o wojnie, o łagrach, a o tym milczą. Przypadek? Gdybyśmy zwyciężyli Czarnobyl, mówiono by i pisano więcej. Albo gdybyśmy go pojęli. Nie wiemy, jak wydobyć ze strachu sens. Nie jesteśmy przygotowani. Nie sposób go porównać ani do naszego doświadczenia, ani do naszego czasu.

Cóż. więc lepsze: pamiętać czy zapomnieć?

Jewgienij Aleksandrowicz Browkin,
wykładowca Homelskiego Uniwersytetu Państwowego

Monolog świadka, co go bolał ząb, kiedy zobaczył,
jak upadł Chrystus i zaczął krzyczeć

Wtedy myślałem o czymś innym, co wyda się dziwne. W tym czasie rozwodziłem się z żoną.

Niespodziewanie przychodzą, wręczają wezwanie i mówią, że na dole już czeka samochód. Taki specjalny „woronok [2], jak w trzydziestym siódmym ro-

[2] *Woronok* - skrót od *czornyj woron* (czarna wrona), jak nazywano w ZSRR samochody z czarnymi, okratowanymi budami, którymi do aresztów i więzień w latach 30. i 40. wozili podejrzanych oprawcy z NKWD.

ku . Po nocach zabierali, z ciepłej pościeli. Potem ten schemat przestał działać: żony nie otwierały drzwi albo łgały, że mężowie na delegacji, w sanatorium, na wsi u rodziców. Chcieli im wręczać wezwania, ale one nie brały. Zaczęli więc chwytać ludzi w pracy, na ulicy, w czasie przerwy obiadowej w zakładowych stołówkach. Jak w trzydziestym siódmym. Byłem wtedy bliski szaleństwa. Żona mnie zdradziła, a cała reszta wydawała się niczym. Wsiadłem do tego „woronoka". Prowadziło mnie dwóch w cywilu, ale z wojskową odznaką, szli po obu stronach, widocznie obawiali się, żebym nie uciekł. Kiedy wsiadłem do samochodu, nie wiedzieć czemu przypomniałem sobie amerykańskich kosmonautów, którzy lecieli na Księżyc, jeden z nich potem został duchownym, a drugi podobno postradał zmysły. Czytałem, że się okazało, iż tam podobno są miasta, jakieś ślady ludzkie. Mignęły w pamięci wycinki z gazet: nasze elektrownie atomowe są absolutnie bezpieczne, można je budować na placu Czerwonym. Bezpieczne niczym samowary. Ale żona odeszła ode mnie. Mogłem myśleć tylko o tym. Niejeden raz chciałem skończyć ze sobą. Do jednego przedszkola chodziliśmy, w jednej szkole się uczyliśmy, w jednej uczelni... *(Milczy. Zapala papierosa).*

Uprzedzałem, nic heroicznego dla literackiego pióra. Nachodziły myśli, że niby nie jest czas wojny, dlaczego więc muszę ryzykować, kiedy ktoś będzie spać z moją żoną. Dlaczego znów ja, a nie on? Prawdę mówiąc, nie widziałem tam bohaterów. Widziałem wariatów, którym napluć na własne życie i marność starczało sił, ale imperatywu w nich nie było. Mam także dyplomy i podziękowania. Dlatego że nie miałem strachu przed śmiercią. Pluć na to! To nawet było wyjście. Pochowaliby z honorami. I na koszt państwa.

Tam się od razu wpadało w nierealność, koniec świata łączył się z epoką kamienną. Wszystko we mnie było wyostrzone, obnażone. Mieszkaliśmy w lesie, w namiotach, dwadzieścia kilometrów od reaktora. Miano nas za „partyzantów". „Partyzanci" to ci, których biorą na szkoleniowe ćwiczenia wojskowe. Wiek, od dwudziestu pięciu do czterdziestu lat, wielu z wyższym wykształceniem specjalistycznym. Ja, powiedzmy, nauczyciel historii. Zamiast automatów dali nam łopaty. Przekopywaliśmy zwały śmieci, ogrody. Kobiety we wsiach patrzyły i żegnały się. My w rękawicach, maskach. Słońce pali. Zjawiamy się w ich ogrodach, jak czarty. Nie pojmowały, czemu przekopujemy grządki, wyrywamy czosnek, kapustę, gdy czosnek jak czosnek, kapusta jak kapusta. Babcie żegnają się i pytają: „Żołnierzyki, cóż to - koniec świata?".

[3] Chodzi o terror wewnętrzny i czystki w aparacie partyjnym, państwowym i wojskowym oraz w środowiskach inteligencji, jakich w 1937 r. dokonywały służby wewnętrzne na polecenie Stalina; objęły one ok. 7 min osób, z czego w więzieniach i łagrach zmarło ok. 2 mln, a 1 -1,7 min zostało zamordowanych przez NKWD. Dane są przybliżone.

W chacie w piecu się pali, słonina skwierczy. Przystawisz dozymetr: nie piec, a mały reaktor.

- Siadajcie, chłopcy, do stołu - proszą.

Odmawiamy.

- Sto gramów znajdziemy. Siadajcie. Opowiedzcie.

A cóż opowiadać? Na samym reaktorze strażacy deptali miękkie paliwo, świeciło się, a oni nie wiedzieli, cóż to takiego. Skądże więc my mamy wiedzieć?

Idziemy oddziałem. Na wszystkich - jeden dozymetr. A w różnych miejscach - różny poziom: jedni z nas pracują, gdzie dwa rentgeny, a drudzy tam, gdzie dziesięć. Z jednej strony bezprawie jak u zeków[4], z drugiej - strach. Ale ja się nie bałem. Patrzyłem na wszystko od strony...

Śmigłowcem przyleciała grupa uczonych. W gumowej odzieży specjalnej, wysokich butach, okularach ochronnych. Jak na Księżyc. Podchodzi do jednego z nich babcia.

- Kim jesteś? - pyta.

- Ja - uczony.

- Uczony, patrzcie go, jak się ubrał, zamaskował. A my?

I z pałką na niego. Nieraz mi świtało, że kiedyś będą uczonych pławić, jak w średniowieczu łapali lekarzy i topili.

Widziałem człowieka, który patrzył, jak zasypywano jego dom. *(Zastanawia się).* Zasypywali chaty, studnie, wsie. Zasypywali ziemię. Rżnęli i spychali ją wielkimi kawałami. Uprzedzałem, nic bohaterskiego.

Wracamy późnym wieczorem, bo pracowaliśmy po dwanaście godzin na dobę. Bez przerwy. Na odpoczynek tylko noc. Znaczy, jedziemy amfibią. Przez pustą wieś idzie człowiek. Dokładniej: młody chłopak z kufrem na plecach. Nieopodal żiguli. Hamujemy. Bagażnik napełniony telewizorami i odciętymi telefonami. Amfibia rozpędza się i taranem: z żiguli harmonijka, jak puszka do konserw. Nikt słowa nie pisnął.

Zasypywaliśmy las. Drzewa ścinaliśmy na półtora metra, pakowaliśmy w celofan i spychaliśmy do jamy. Nie mogłem zasnąć nocą. Zamknę oczy: coś czarnego porusza się, przewraca. Jak żywe. Żywe kawałki ziemi. Z żukami, pniakami, robakami. Żadnego z nich nie znałem, nie wiedziałem, jak się nazywają. Po prostu żuki, pająki, mrówki. A one małe i wielkie, żółte i czarne. Takie różnobarwne. U któregoś z poetów czytałem, że zwierzęta to odrębny na-

[4] Zek - więzień kryminalny, skazany na długą karę ciężkiego więzienia, nazwa pochodzi od rosyjskiego słowa *zakliuczonnyj* - „więzień".

ród. Zabijałem je dziesiątkami, setkami, tysiącami, nie wiedząc nawet, jak je nazywają. Naruszyłem ich siedliska. Ich tajnie. Zasypywałem. Zasypywałem.

U Leonida Andriejewa[5], którego bardzo lubię, jest przypowieść o Łazarzu, który zajrzał za granicę zabronionego. Już jest obcy, już nigdy nie będzie swoim dla innych ludzi, chociaż go Chrystus wskrzesił.

Może starczy? Jesteście, jak rozumiem, ciekawi; ci, co tam nie przebywali, zawsze ciekawi. A to był taki sam świat człowieczy. Nie można przez cały czas żyć w strachu, człowiek nie potrafi, minie trochę czasu i zaczyna się zwyczajne ludzkie życie. *(Ożywia się i ciągnie dalej).* Mężczyźni pili wódkę. W karty grali. Uganiali się za kobietami. Płodzili dzieci. Wiele mówili o pieniądzach. Ale nie za pieniądze tam robili. Mało kto tylko za nie.

Robili, bo trzeba było. Powiedzieli - robić. I nie zadawali pytań. Marzyli o podwyżce po służbie. Kombinowali, kradli. Mieli nadzieję na obiecane ulgi: dostać mieszkanie poza kolejnością i wyjechać z baraku, wystroić dziecko do przedszkola, kupić auto. Jeden u nas truchlał, bał się wychodzić z namiotu, spał w gumowym kostiumie. Tchórz! Wykluczyli go z partii. Krzyczał:

- Ja chcę żyć! Wszyscyście pomyleni.

Spotykałem tam kobiety, które przyjechały dobrowolnie. Rwały się. Odradzali im, wyjaśniali, że trzeba szoferów, ślusarzy, strażaków, a one przyjechały. Pomieszanie. Tysiące ochotników i specjalny „woronok" po nocach pilnował rezerwowych. Oddziały studenckie, pieniężne przekazy na fundacje poszkodowanych. Setki ludzi, bezinteresownie oferujących krew i szpik kostny. I w tym momencie wszystko tam można było kupić za butelkę wódki. Dyplom, wyróżnienie, przepustkę do domu. Jeden przewodniczący kołchozu przewozi do oddziału dozymetrystów skrzynkę wódki, żeby jego wsi nie wpisali do spisu na ewakuację, inny daje takąż skrzynkę, żeby jego kołchoz wysiedlić. Jemu już trzypokojowe mieszkanie w Mińsku obiecali. Pomiarom radiacyjnym nikt nie dowierzał. Zwyczajny ruski chaos. Tak żyjemy. Coś tam spisywali, przekazywali. Z jednej strony uczciwie, z drugiej - idźcie wszyscy do czorta!

Przysyłano studentów. Wyrywali na polach lebiodę. Grabili siano. Były młode pary. Mąż i żona. Jeszcze chodzili, trzymając się za ręce. Nie sposób było na to patrzeć.

[5] Leonid N. Andriejew (1871-1919) - rosyjski prozaik i dramaturg, prekursor ekspresjonizmu, łącząc elementy symbolizmu i realizmu, podejmował problemy filozoficzne, jak bezsilność człowieka wobec praw natury, dominację instynktu nad rozumem; autor wydanych i w Polsce nowel *Myśl* i *Otchłań,* zbioru opowiadań pacyfistycznych *Czerwony śmiech* oraz misteryjnych dramatów *Życie człowieka, Anatema, Ten, którego biją po twarzy,* a także szkiców i felietonów o teatrze.

Każdego dnia przywożono gazety. Czytałem tylko tytuły: „Czarnobyl - miejsce bohaterskiego czynu", „Reaktor pokonany", „A życie trwa nadal". Byli leż politrucy, odbywały się rozmowy polityczne. Mówiono nam, że powinniśmy zwyciężyć. Kogo? Atom? Fizykę? Kosmos? Zwycięstwo to u nas nie wydarzenie, a proces. Życie - wojną. Przezwyciężaniem. Stąd ta miłość do powodzi, pożarów, żywiołów. Występuje zamiast działania, żeby „przejawić męstwo i heroizm". I zatknąć sztandar. Politruk czytał notatki w gazetach o „wysokiej świadomości i rzetelnym zorganizowaniu", o tym, że niewiele dni po katastrofie nad czwartym reaktorem już łopotała czerwona flaga. Za miesiąc zżarła ją wysoka radiacja. Podnieśli znowu. Za miesiąc znowu. Chciałem pokazać, jak ci żołnierze podciągali się na dach. Straceńcy. Powiecie: słownictwo sowieckie, całopalenie. Ale chodzi o to, iż gdyby dali mi teraz do ręki sztandar, także bym tam polazł. Dlaczego? Nie wiem. Wtedy niestraszno było umierać. Żona nawet listu nie przysłała. W ciągu pół roku ani jednego listu. *(Zastanawia się).*

Chcecie anegdoty? Uciekał więzień z więzienia. Znalazł się w trzydziestokilometrowej zonie. Złapali. Zawieźli do dozymetrystów. Tak „się świeci", że go ani do więzienia, ani do szpitala, ani do ludzi. Czemu się nie śmiejecie? *(Śmieje się).*

Przybyłem tam, kiedy ptaki siedziały w gniazdach, wyjeżdżałem - jabłka leżały na śniegu. Nie wszystko zdążyliśmy zasypać. Zakopywaliśmy ziemię w ziemię. Z owadami, pająkami, kokonami. Z całym tym życiem. Światem. Ich dotyczy moje najbardziej dojmujące wrażenie stamtąd.

Niczego nie opowiedziałem. Urywki. U tegoż Leonida Andriejewa jest opowieść: pewien mieszkaniec Jerozolimy, koło którego domu wiedli Chrystusa, wszystko widział i wszystko słyszał, ale w tym czasie bolał go ząb. Na jego oczach Chrystus upadł, kiedy niósł krzyż, padł i zaczął krzyczeć, on to wszystko widział, ale bolał go ząb i nie wybiegł na ulicę. Po trzech dniach, kiedy ząb przestał go boleć i powiedzieli mu, że Chrystus zmartwychwstał, pomyślał: Cóż, mogłem być tego świadkiem, ale bolał mnie ząb.

Czyżby tak było od zawsze? Ojciec mój bronił Moskwy w czterdziestym drugim. To, że uczestniczył w wielkim wydarzeniu, zrozumiał po dziesiątkach lat. Z książek, z filmów. A sam wspominał:

- Siedziałem w okopie. Strzelałem. Zasypało po wybuchu. Półżywego wywlekli sanitariusze.

I tyle.

A mnie wtedy rzuciła żona.

Arkadij Filin, likwidator

Trzy monologi o „prochu chodzącym "
i „ziemi mówiącej"

Przedstawiciel Chojnickiego Ochotniczego Stowarzyszenia Myśliwych i Wędkarzy, Wiktor Josifowicz. Wierżykowskij, i dwóch myśliwych - Andriej i Władimir, nie chcących podać nazwisk.

- Pierwszy raz zabiłem lisa w dzieciństwie. Drugi raz klempc. Przyrzekłem sobie łosi nie zabijać. Mają takie wyraziste oczy.

- My, ludzie, coś rozumiemy, a zwierzę zwyczajnie żyje. I ptaki.

- Jesienią sarna jest bardzo czujna. Jeśli jeszcze wiatr od człowieka wieje, nie podejdziesz. A lis przebiegły.

- Tu włóczył się taki jeden, jak wypił, wykłady wszystkim recytował. Studiował na wydziale filozoficznym, potem siedział w więzieniu. W zonie spotkasz człowieka, co prawdy o sobie nie powie. A jeśli, to rzadko. To był rozumny chłop.

- Czarnobyl - mówił - stał się dlatego, żeby dać filozofów.

Zwierzynę nazywał „prochem chodzącym", a człowieka - „ziemią mówiącą". „Ziemią mówiącą" dlatego, że jemy ziemię, znaczy z ziemi powstajemy i z tego, co da, żyjemy.

- Zona ciągnie. Przyciąga, mówię wam. Każdego, kto tam pobył, będzie ciągnąć.

- Ale po kolei, chłopcy.

- No, to mów, przewodniczący, a my popalimy.

- Znaczy, było tak. Wzywają mnie do rajpołkoma[6]: - Słuchaj, główny myśliwy, w zonie zostało wiele domowych zwierząt - koty, psy, w obawie przed epidemią trzeba je odstrzelić. Do dzieła!

Na następny dzień wezwałem wszystkich myśliwych. Wyjaśniam, o co chodzi. Nikt nie chce jechać, bo nie wydali żadnych środków ochronnych. Zwracam się do obrony cywilnej - u nich nie ma nic. Żadnych masek. Przychodzi mi jechać do zakładu cementowego i stamtąd brać maski. Takie cienkie folie od pyłu cementowego. Pochłaniaczy nie dali.

- Spotkaliśmy tam żołnierzy w maskach, w rękawiczkach, na transporterach do broni ciężkiej, a my w koszulach, z podwiązką na nosie. Potem w tych koszulach i butach wracaliśmy do domu. Do rodzin.

[6] Rajpołkom - (nazwa od: ***Rajonnyj połuczatielnyj komitet*** - Rejonowy Komitet Wykonawczy), odpowiednik władz powiatowych.

Skleciłem dwie brygady, po dwudziestu ludzi. Do każdej przydzieliłem weterynarza i człowieka ze stacji sanitarno-epidemiologicznej. Był jeszcze traktor z czerpakiem i spychacz. Przykre, ale środków ochronnych nie dali, o ludziach nie pomyśleli.

Za to premie dawali po trzydzieści rubli. Butelka wódki w tym czasie kosztowała trzy ruble. Odkażaliśmy się. Odtąd pojawiły się recepty: porcję gęsiego ścierwa na butelkę wódki. Po tym dwa dni można było pić. Żeby to wszystko, no, po męsku przetrawić. Były przyśpiewki, pamiętacie? Choćby: ..Nie samochód - zaporożec, Ukrainiec - nie chędożec, jakbyś ojcem zechciał stać się, najpierw w ołów jaja wsadź se"[7]. Cha, cha.

- Jeździliśmy po zonie dwa miesiące, w naszym rejonie połowę wsi ewakuowali. Dziesiątki: Babczyn, Tulgowicze. Pierwszy raz przyjechaliśmy, psy biegają wokół domów, stróżują, na ludzi czekają. Ucieszyły się, biegną na głos człowieka. Strzelaliśmy w domu, w saraju, w ogrodzie. Wyciągaliśmy na drogę i wrzucaliśmy pod spychacze. Było to nieprzyjemne. Nie mogły pojąć, czemu je zabijamy. Najłatwiej było zabijać zwierzęta domowe. Nie czuły strachu. Biegły na głos człowieka.

Pełza żółw, Boże, naprzeciw pustego domu. Akwaria z rybkami stały po mieszkaniach.

- Żółwi nie zabijaliśmy. Przednim kołem łazika najeżdżasz, po pijanemu, oczywiście, pancerz wytrzymuje, nie kruszy się. W podwórkach klatki na oścież. Króliki kicają. Nutrie były zamknięte, wypuszczaliśmy je i jeśli w pobliżu była jakaś woda: jezioro, rzeka, odpływały. Wszystko porzucono w pośpiechu. Chwilowo.

- Był rozkaz: „Na trzy dni". Małe dzieci oszukiwali: „Jedziemy do cyrku". Płakały. Powiem wprost, sytuacja wojenna. Koty patrzyły w oczy, psy wyły, rwały się do autobusów. Stróże podwórzowi, owczarki, żołnierze je odganiali, Długo biegły za samochodami.

- Znaczy, było tak. Kiedyś u Japończyków była Hiroszima, a teraz oni przed wszystkimi. Na pierwszym miejscu w świecie, znaczy.

Jest możliwość strzelać do jeszcze żywych. Instynkt. Hazard. Piliśmy i jeździliśmy. W pracy zaliczali roboczy dzień. Naliczali premię. Mogli, oczywiście, za taką pracę nadliczyć. Premia - trzydzieści rubli. Na te pieniądze, no, na te, co za komunistów.

- Znaczy, było tak. Początkowo domy były zaplombowane. Plomb nie zrywaliśmy. Za oknem siedzi sobie kot, jakże go dostać? Nie wydostawaliśmy. Aż

[7] W oryginale: ***Zaporożec - nie maszina, Ukrainiec - nie mużczina. Jeśli choczesz bytocom, objeri jajco swincom.***

przyleźli szabrownicy - drzwi powybijali, rozbili okna, furtki. Wszystko roz-| grabili. Przede wszystkim znikły magnetofony, telewizory, wyroby futrzane. A potem oczyścili ze wszystkiego. Walały się na podłodze tylko łyżki aluminiowe. I zbiegłe psy przeniosły się do domów. Wchodzisz, pies rzuca się na cie bie. Przestały wierzyć ludziom. Zachodzisz, suka na środku pokoju leży i wokół szczenięta. Żałośnie? Tak, nieprzyjemnie. Porównywałem. Rzeczywiście, jak w czasie wojny, działaliśmy jak ludzie z ekspedycji karnej. Według takiego schematu. Przyjeżdżamy, okrążamy wieś. Psy, jak usłyszą pierwszy wystrzał, uciekają do lasu. Koty są cwańsze, im łatwiej się ukryć. Wlezie do glinianego garnka, wytrząsaj go stamtąd. Spod pieca wyciągaliśmy. Nieprzyjemne uczucie. Wchodzisz do domu, a kot między butami jak kłębek, biegasz za nim z bronią. Szczupłe to, groźne. Chwytasz, zostaje kłak sierści. W pierwszym okresie było wiele jaj, kury pozostawiały. Psy i koty jadły jajka, skończyły się jajka, zjadły kury. I lisy kury jadły, lisy żyły już we wsi razem z psami. Znaczy, kur zabrakło, psy zjadły kwoki. Zdarzały się wypadki, że znajdowaliśmy świnie w chlewikach. Wypuszczaliśmy. W piwnicach - ogórki, pomidory. Otwieramy i wrzucamy im w koryto. Świń nie zabijaliśmy.

- Staruszka we wsi zamknęła się w chacie: ma pięć kotów i trzy psy. Nie pozwala, klnie. Siłą odebraliśmy. Jednego kota i psa zostawiliśmy. Klęła. Wyzywała: „Bandyci! Ciemiężcy!".

- Puste wsie. Tylko piece stoją. Chatyń. W środku Chatynia siedzą dwie staruszki. Im nic niestraszne. Inny odszedłby od zmysłów!

- Cha, cha! „Wspina się pod górę traktor, a na górze lśni reaktor, gdyby nie mówili Szwedzi, to do dziś nikt by nie wiedział". Cha, cha!

- Znaczy, było tak. Zapachy. Nie mogłem pojąć, skąd taki zapach we wsi. Sześć kilometrów od reaktora. Wieś Masały. W kabinie rentgena czuć było jodem. Jakimś takim kisielem. Strzelasz, a tu suka leży na środku pokoju i szczenięta wokół. Rzuciła się na mnie - kula w łeb. Szczenięta liżą po rękach, łaszą się, ogłupiałe. Strzelasz, jak należy, w szczenię czarniutkiego pudelka. Do dziś mi go żal. Powrzucali je pod spychacz, wystawały. Zawozimy na mogilnik[8]. Prawdę mówiąc, zwyczajna głęboka jama, choć polecono kopać tak, żeby nie drążyć do wód gruntowych, i wyścielać dno celofanem. Znaleźć wysokie miejsce. Chodzi o to, rozumiecie, że polecenia te nie zostały wykonane jak należy: celofanu nie było, miejsca zbyt długo nie szukaliśmy. Zwierzęta, jeśli nie dobite, a tylko ranione, skowyczą, płaczą po swojemu. Wysypujemy je ze spychacza w jamę, a ten pudelek karaska się, wyłazi. A tu nikomu nie został nabój. Niczym dobić. Znowu go zepchnęli do jamy i tak zasypali. Do tej pory żal.

[8] Mogilnik - chodzi o jedno z wielkich cmentarzysk u nas zwanych składowiskami, jakich wiele naprędce tworzono w czasie likwidowania skutków awarii; patrz: str. 200.

- Kotów było o wiele mniej niż psów. Może uciekły za ludźmi? Albo pochowały się? Pudelek domowy bał się.

- Zabijać lepiej z daleka, żeby nie patrzeć w oczy.

- Musisz więc celnie strzelać, żeby potem nie dobijać.

- To my, ludzie, coś rozumiemy, a one tylko żyją. „Proch chodzący".

- Nieprawda, że u zwierzyny nie ma rozeznania i zwierzęta nie myślą. Ranna sarna, kiedy leży, chce, iżby jej pożałowali, a ty dobijasz. W pierwszej chwili pełne rozeznanie, a potem ludzkie spojrzenie. Ona cię nienawidzi. Albo żądza: także chcę żyć! Chcę żyć!

- Musisz! Powiem, dobijać bardziej nieprzyjemnie, niż zabijać. Dobrowolnie - to sport, wizja sportu. Dlaczego nikt nie ruga rybaków, a na myśliwych klną wszyscy? Niesprawiedliwość!

- Wojna - główne zajęcie dla mężczyzny. Dla prawdziwego mężczyzny.

- Nie mogłem przyznać się synowi. Dziecku. Gdzie byłem? Co robiłem? Do dziś wie, że tato czegoś tam bronił. Był na wojskowym posterunku! W telewizji pokazywali: technika wojskowa, żołnierze, wielu żołnierzy. Syn pyta: „Tato, byłeś jak żołnierz?".

- Pojechał z nami operator z telewizji. Pamiętacie? Z kamerą. Płakał. Odważny, a płakał. Wszyscy chcieli zobaczyć trzygłowego tucznika.

- Cha, cha! Lis patrzy: toczy się po lesie Kłębek. - Kłębku, dokąd ty się tak toczysz? - Nie jestem Kłębkiem, jestem czarnobylskim jeżem. Cha, cha! Jak powiadali, pokojowego atomu w każdym domu!

- Człowiek, powiem wam, umiera jak zwierzę. Wiele razy widziałem w Afganie. Raniono mnie w brzuch, leżę na słońcu. Żar nieznośny. Pić! „No, myślę, zdechnę jak zwierzę". Powiadam wam, i krew ciecze jak u nich. I boli.

- Milicjant, co z nami był, postradał rozum. Syjamskich kotów żałował. Drogie na bazarze, mówi. Piękne.

- Idzie krowa z cielakiem. Nie strzelaliśmy. I do koni nie strzelaliśmy. Wilków się bały, nie człowieka. Ale koń jeszcze może się obronić. Najpierw wilki zagryzły krowy. Według prawa buszu.

- Brali zwierzęta z Białorusi i sprzedawali w Rosji. Cielaki z leukozą. Dlatego zbywali je tanio.

- Nade wszystko żal staruszków. Jeden z nich podchodzi do naszych aut: „Popatrz no tam, chłopcze, na moją chatę". Klucz wsuwa ci do ręki: „Zabierz ubranie, czapkę". Pieniądze wsuwają, „Jak tam mój pies?". A pies zastrzelony, dom rozgrabiony. Oni nigdy tam nie wrócą. Jak by powiedzieć? Kluczy nie

brałem. Nie chciałem oszukiwać. Inni brali. „Gdzie schowaliście samogon?" Dziadek mówi. Znajdowali całe kany, wielkie banie od mleka.

- Poprosili, żeby na wesele ubić dziką świnię. Zakaz! Pieczeń rozchodzi się w rękach. Wszystko jedno - zamawiają. Na wesele, na chrzciny.

- Strzelamy i dla nauki. Raz na kwartał: dwa zające, dwa lisy, dwie samy. Wszystkie skażone. A i sobie bijemy, jemy. Z początku baliśmy się, ale teraz się przyzwyczailiśmy. Cóż robić, na Księżyc wszyscy się nie wyniesiemy. Na inną planetę też nie.

- Ktoś czapkę z lisa kupił na bazarze - wyłysiał. Ormianin kupił tanio automat z cmentarzyska - zmarł. Oszukiwali jedni drugich.

- A u mnie nic ani w duszy, ani w głowie nie zaszło. Mruczki i Szariki. Strzelałem. Taka praca.

- Rozmawiałem z kierowcą, który wywoził stąd do domu. Wywożą. Choć to wszak nie szkoła, nie dom i nie przedszkole, lecz numerowane obiekty dezaktywacji. Wywożą! Spotkaliśmy się z nim a to w łaźni, a to przy budce z piwem. Nie pamiętam dobrze. Tak oto opowiadał: podjeżdża kamazem, w trzy godziny dom rozbierają, a pod miastem już ich przechwytują i rozdzielają. Zonę rozkupili na dacze. Dadzą pieniądze i jeszcze ich nakarmią, i napoją.

- Wśród naszego bractwa są drapieżniki. Myśliwi-drapieżnicy. A inni znowu lubią sobie pochodzić po lesie. Na małego zwierza. Na ptactwo.

- Znaczy, było tak. Tylu ludzi poszkodowanych, a nikt za to nie odpowiedział. Posadzili dyrektora elektrowni atomowej i szybko wypuścili[9]. Kto w tym systemie był winien? - trudno powiedzieć. Jeśli wam przykazali z góry, cóż powinniście czynić? O coś tam rozpytywali. Czytałem w gazetach, że wojskowi pluton nadrabiali. Dla bomb atomowych. Dlatego i gruchnęło. Jeśli grubo, to pytanie brzmi: dlaczego Czarnobyl? Dlaczego u nas? A nie u Francuzów albo Niemców?

- Zaczopowało się w mózgu. Znaczy, tak. Żal, że nikomu nie został wtedy ani jeden nabój, nie było czym dobić. Tego pudelka. Dwudziestu ludzi i żadnego naboju pod koniec dnia. Żadnego naboju.

[9] Dyrektorem czarnobylskiej AES im. Lenina był w czasie awarii Wiktor Briuchanow. Nie jest prawdą, iż „nikt za to nie odpowiedział", gdyż latem 1987 r. skazano sześć osób (patrz: *Świat po Czarnobylu,* część II - *Największy kataklizm technologiczny XX wieku?,* rozdział 4. pt. *Dziś już wiemy, że w Czarnobylu zawinił człowiek...* str. 189). Natomiast Wiktor Briuchanow, skazany na dziesięć lat więzienia, został zwolniony z więzienia w Humaniu w 1991 r.

Monolog o tym, te nie umiemy żyć bez Czechowa i Tołstoja

O co się modlę? Spytajcie mnie: o co się modłę? Nie w cerkwi się modlę. Za siebie. Chcę kochać! Kocham! Modlę się za swoją miłość! A mnie... *(Urywa frazę. Widzę, iż nie chce mówić).* Wspominać? Możliwe, trzeba na wszelki wypadek odskoczyć od siebie samej. Odsunąć się. Takich książek nie czytałam. W kinie nie widziałam. W kinie widziałam wojnę. Babcia i dziadek wspominają, że nie mieli dzieciństwa, mieli wojnę. Ich dzieciństwo - wojna, a moje -Czarnobyl. Ja - stamtąd. Oto piszecie, a mnie nie pomogła żadna książka, nie wyjaśniła. Ani teatr, ani kino. Obywam się w „tym" bez nich. Sama. Wszystko przeżywamy sami, nie wiemy, co z „tym" zrobić. Rozumem nie umiem „tego" pojąć. Szczególnie rozstroiła się, zagubiła się moja mama, która uczy w szkole języka rosyjskiego i literatury, zawsze uczyła mnie żyć według książek. A tu nagle nie ma takich książek. Mama rozstroiła się. Żyć bez książek nie potrafi. Bez Czechowa i Tołstoja.

Wspominać? Chcę i nie chcę wspominać. *(To przysłuchuje się sobie, to patrzy sama w siebie).* Jeśli uczeni nic nie wiedzą, jeśli pisarze nic nie wiedzą, w takim razie my im pomożemy naszym życiem i śmiercią. Tak uważa moja mama. A ja chciałabym o „tym" nie myśleć, ja chcę być szczęśliwa. Dlaczego nie mogę być szczęśliwa?

Mieszkaliśmy w Prypeci, naprzeciw elektrowni atomowej, tam się urodziłam i wyrosłam. W wielkim wielorodzinnym domu, na czwartym piętrze. Okna - na elektrownię. Dwudziestego szóstego kwietnia. To były dwa dni, ostatnie dwa dni w naszym mieście. Już go nie ma. To, co zostało, to już nie nasze miasto. Tamtego dnia sąsiad w binoklach siedział na balkonie, oglądał pożar. A my? Dziewczynki i chłopcy? Myśmy na rowerach jeździli do elektrowni; kto nie miał roweru, zazdrościł nam. Nikt nie przestrzegał. Nikt! Ani rodzice, ani nauczyciele. Przed obiadem na brzegu rzeki nie było rybaków, wrócili czarni, jak przez miesiąc w Soczi się nie opalisz. Jądrowa opalenizna! Dym nad elektrownią nie był czarny ani żółty, ale niebieski. A nas nikt nie napominał. Wychowanie, naprawdę, takie, że niebezpieczeństwo mogło być tylko wojenne: wybuch z lewa, wybuch z prawa. A tu - zwyczajny pożar, gaszą go zwyczajni strażacy. Chłopcy chichotali:

- Ustawiajcie się długimi rzędami na cmentarz. Kto wyższy, umrze pierwszy.

Ja - maleńka. Nie pamiętam strachu, mimo wielu dziwnych rzeczy. Przyjaciółka opowiadała, jak ze swoją mamą nocą zakopywały na podwórku pieniądze i złoto, bały się zapomnieć to miejsce. Mojej babci, gdy kiedyś oddawali

ją na pensję, podarowali tulski samowar. I nade wszystko niepokoiła się o ten samowar i o medale dziadka. I o starą maszynę do szycia „Singer". Ewakuowano nas. Słowo „ewakuacja" przyniósł z pracy tato.

- Będziemy ewakuowani - powiedział.

Jak w książkach wojennych. Już wsiedliśmy do autobusu, a tata czegoś tam zapomniał, biegnie do domu. Wraca z dwoma swoimi nowymi koszulami na wieszaku. To było dziwne. Żołnierze, to był nieziemski widok, chodzili po ulicach w białych zamaskowanych chałatach i w maskach.

- Co z nami będzie? - Ludzie szli ku nim.

- Czemu nas pytacie? - złościli się. - Tam stoją białe wołgi, tam dowództwo.

Jedziemy w autobusach, niebo niebieskie, niebieściutkie. Dokąd jedziemy? W teczkach i siatkach - wielkanocne baby, kraszone jaja. Jeśli to wojna, to według książek wyobrażałam ją sobie inaczej. Wybuch z lewa, wybuch z prawa. Bombardowanie. Posuwaliśmy się powoli, przeszkadzały zwierzęta. Drogami pędzili krowy, konie. Czuć było kurzem i mlekiem. Kierowcy klęli, krzyczeli na pasterzy:

- Czemu gnacie po drodze, taka wasza mać?! Radioaktywny pył wzniecacie! Szlibyście po polu, po łące.

A ci na odlew także bluzgiem, odgryzali się, że szkoda deptać zielone żyto, trawę. Nikt nie wierzył, że już tu nie wrócimy. Nic takiego nigdzie nie było. Niektórym kręciło się w głowie i wysychało w gardle. Stare kobiety nie płakały, płakały młode. Płakała moja mama.

Przyjechaliśmy do Mińska. Miejsce w pociągu kupiliśmy u konduktorki za potrójną cenę. Wszystkim przyniosła herbatę, a nam powiedziała:

- Dawajcie swoje szklanki albo kieliszki.

Nie od razu do nas dotarło. Kieliszków nie starcza czy co? Nie! Boją się nas.

- Skąd?

- Z Czarnobyla.

I boczkiem-boczkiem wokół naszego przedziału, dzieci nie puszczają, żeby biegały obok. Przyjechaliśmy do Mińska, do maminej przyjaciółki. Mojej mamie do tej pory wstyd, że my w swojej „groźnej" odzieży, obuwie nocą wywaliliśmy. Ale przyjęli nas, nakarmili. Żałowali. A zaszli sąsiedzi.

- Macie gości? Skąd? - pytali.

- Z Czarnobyla.

I też boczkiem-boczkiem.

Przez miesiąc rodzicom odradzali jeździć i doglądać mieszkania. Zabrali ciepłe odzienie, moje jesienne palto, a mamie jej wielką miłość - pełne wydanie pism Czechowa. Babcia. Nasza babcia. Nie mogła pojąć, czemu nie wzięliśmy paru słoików powideł truskawkowych, które tak lubiłam, przecież w słoikach, przykryte pokrywkami. Na kołdrze znaleźli „plamę". Mama ścierała, czyściła odkurzaczem, nic nie pomogło. Daliśmy do pralni chemicznej -nadal „się świeciła". Aż wycięliśmy nożycami. Wszystko znane, oswojone: kołdra, palto, a jednak nie mogłam spać pod tą kołdrą, włożyć tego palta. Nie było pieniędzy, aby kupić mi nowe, ale nie mogłam. Nienawidziłam tych rzeczy! Tego palta! Nie bałam się, lecz, pojmujecie, nienawidziłam. Wszystko to może mnie zabić! Poczucie wrogości. Nie mogę objąć tego rozumem. Wszędzie mówili o awarii: w domu, szkole, autobusie, na ulicy. Porównywali z Hiroszimą. Ale nikt nie wierzył. Jak uwierzyć w to, co niepojęte? Jeśli ty się nie boisz, nie silisz się, żeby pojąć, wszystko jedno - niepojęte. Pamiętam: wyjeżdżamy, a niebo niebieskie, niebieściutkie.

Babcia. Na nowym miejscu nie przeżyła. Tęskniła. Przed śmiercią prosiła:

- Szczawiu chcę!

Szczaw odradza się, on przede wszystkim wchłania promieniowanie. Powieźliśmy ją pogrzebać do rodzinnej wsi Dubrowniki. Tam była już zona, ogrodzona drutem. Stali żołnierze z automatami. Za druty puścili tylko dorosłych. Tatę, mamę, krewnych. A mnie rzekli:

- Dzieciom nie wolno.

Zrozumiałam, że nigdy nie będę mogła odwiedzić babci. Zrozumiałam. Gdzie można o tym przeczytać? Gdzież coś takiego się zdarzyło? Mama przyznała:

- Wiesz, nienawidzę kwiatów i drzew.

Lękała się sama siebie. Na cmentarzu, na trawie położyli obrus, postawili zakąskę, wódkę. A żołnierze zmierzyli dozymetrem i wszystkich wyrzucili. Trawa, kwiaty - wszystko „raziło". Dokąd odwieźliśmy naszą babcię?

Boję się. Boję się kochać. Mam narzeczonego, zanieśliśmy powiadomienie do urzędu stanu cywilnego. Słyszeliśmy co nieco o hiroszimskiej „hibakusi[10]. O tych, co przeżyli Hiroszimę. Oni mogą porozumiewać się tylko w związkach małżeńskich jedno z drugim. U nas nie piszą o tym, nie mówią. A my jesteśmy czarnobylskimi „hibakusi". Zaprowadził mnie do domu, poznał ze swoją mamą. To dobra matka. Pracuje w fabryce jako ekonomistka. Chodzi na wszystkie antykomunistyczne mityngi. I ta oto dobra matka; kiedy dowiedziała się, że jestem z czarnobylskiej rodziny, z przesiedleńców, zdziwiła się:

[10] Hibakusi - japoński termin oznaczający skomplikowany syndrom chorobowy, wyrażający się - najogólniej mówiąc - u osób dotkniętych chorobą popromienną psychiczną reakcją na odrzucenie czy też niezrozumienie ich przez otoczenie.

- Mileńka, czyżbyś potrafiła urodzić?

Mamy zgłoszenie w urzędzie. On błaga:

- Ucieknę z domu. Wynajmiemy mieszkanie.

A ja mam w uszach:

- Mileńka, niektórzy, rodząc dzieci, grzeszą.

Grzech kochania.

Miałam przed nim innego chłopca. Artystę. Także chcieliśmy się pobrać. Wszystko było dobrze, aż do pewnego zdarzenia. Zaszłam do jego pracowni i usłyszałam, jak krzyczał do telefonu:

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ci się powiodło!

Zazwyczaj spokojny, nawet flegmatyczny, ani jednego wykrzyknika w głosie. A tu nagle! Cóż się okazuje? Jego przyjaciel mieszka w domu studenckim. Zajrzał do sąsiedniego pokoju, a tam wisi dziewczyna. Zawisła na lufciku. I na pończosze. Ten jego kolega wydostał ją, zdjął. A ten zachłystywał się, drżał:

- Nie możesz sobie wyobrazić, co on ujrzał! Co przeżył! Na rękach ją niósł. Szczypał po twarzy. Miała białą pianę w ustach. Jedźmy, może zdążymy.

Nie mówił o martwej dziewczynie, ani razu nawet jej nie pożałował. Chciałby tylko zobaczyć i zapamiętać. A potem narysować. W tej chwili przypomniałam sobie, jak mnie rozpytywał: jakiego koloru był pożar w elektrowni, czy widziałam rozstrzelane koty i psy, jak one leżały na ulicach? Jak płakali ludzie? Widziałam, jak umierają?

Po tym zdarzeniu nie mogłam być z nim dłużej. Odpowiadać. *(Po chwili).* Nie wiem, czy chciałabym jeszcze raz spotkać się z tobą. Wydaje mi się, że przyglądasz mi się jak on. Wprost oglądasz. Zapamiętujesz. Trwa jakiś eksperyment. Nie mogę wyzwolić się od takiego uczucia. Ja już się nie wyzwolę.

Wiesz, na kogo pada ten grzech? Grzech rodzenia dzieci? Wcześniej takich słów nie słyszałam...

Katia P.

Monolog o tym, co święty Franciszek przepowiadał ptaszkom

To moja tajemnica. Nikt więcej o tym nie wie. Mówiłem o tym tylko ze swoim przyjacielem.

Jestem operatorem filmowym. Jechałem tam, pomny, czego nas uczyli: prawdziwym pisarzem zostaje się na wojnie i tym podobne. Ulubiony pisarz

I Hemingway, ukochana książka - *Pożegnanie z bronią.* Przyjechałem. Ludzie kopią w ogrodach, na polach - traktory, siewniki. Co filmować - niepojęte. Nic nigdzie nie wybucha.

Pierwsze ujęcie. W wiejskim klubie. Na scenie postawili telewizor, zebrali społeczność. Słuchali o Czarnobylu: wszystko dobrze, wszystko prawidłowo. W tej wsi, gdzie to kręciliśmy, była dezaktywacja. Myli dachy. Ale jak umyć dach, skoro u babci przecieka? Ziemię trzeba było usunąć na sztych łopaty, czyli ściąć całą płodną warstwę. Głębiej jest u nas żółty piasek. Oto babcia, wypełniając nakazy, łopatą obraca ziemię, ale nawóz z niej strzepuje. Szkoda, że tego nie sfilmowałem. Gdziekolwiek byś przyjechał, słyszysz:

- A, kamerzyści. Teraz znajdziemy wam bohaterów.

Bohater - starzec z wnukiem, co dwa dni pędzili spod samego Czarnobyla kołchozowe krowy. Po ujęciu zootechnik zaprowadził mnie nad gigantyczny dół, gdzie buldożerem zasypywali te krowy. Ale do głowy nie przyszło, aby to nakręcić. Stałem plecami do dołu i kręciłem epizod zgodnie z lepszymi tradycjami ojczystej dokumentalistyki: buldożeryści czytają „Prawdę", nagłówek -tłustymi czcionkami - „Ojczyzna w biedzie nie opuści". A nawet poniosło mnie: migawkę, obrazek - bocian opada na pole. Symbol! Jakakolwiek bieda przyjdzie - zwyciężamy! Życie trwa...

Wiejskie drogi. Kurz. Wiedziałem już, że to nie jest zwyczajny kurz, lecz pył radioaktywny. Kamerę okrywałem, żeby się nie zapyliła, wszak to optyka. Był bardzo suchy maj. Ile się tego nawdychaliśmy, nie wiem. W ciągu tygodnia spaliliśmy węzły limfatyczne. Taśmą filmową gospodarzyliśmy jak nabojami, bo miał tu przyjechać pierwszy sekretarz KC, Sljuńkow[11]. W którym akurat miejscu miał się zjawić, nikt nie mówił, ale się domyślaliśmy: wczoraj jechaliśmy drogą, słup kurzu, a dziś kładą asfalt, i to jaki - na dwa, trzy sztychy! Tak więc jasne, gdzie oczekują wysokiego kierownictwa! Potem filmowałem to całe kierownictwo, jak chodzili równiutko po świeżym asfalcie. Ani centymetra w bok! Też to miałem w kadrze, ale do tematu nie wstawiłem.

Nikt nic nie rozumiał, to było najstraszniejsze. Dozymetryści odczytują jedne cyfry, a w gazetach wydrukowano inne. Aha, zaczynasz więc powoli czegoś tam dochodzić. Zostawiłem w domu małego synka, ukochaną żonę. Jakimże jestem głupcem, żeby ich tam zostawić! Tak, medalem nagrodzą. A żona ucieknie. Zbawienie - w śmiechu. Opowiadaliśmy kawały. W porzuconej wiosce osiedlił się bezdomny i cztery babcie tam zostały. Pytają je:

- Czyżby to wasz mężuś?

[11] Nikołaj Sljuńkow - w tamtych latach I sekretarz KC Komunistycznej Partii Białorusi.

- Ten samiec jeszcze do drugiej wsi biega.

Gdyby próbować być szczerym do końca, Czarnobyl, no, zdarzył się. Coś podobnego odczułem, kiedy zmarł bliski mi człowiek. Słońce. Ptaki latają. Jaskółki. Przeszedł deszcz. A on zmarł. Rozumiesz? Chcę nazwać słowem ten inny wymiar, przekazać, jak to we mnie się wtedy odbywało.

Zobaczyłem i zacząłem filmować kwitnącą jabłoń. Brzęczą trzmiele, biały, weselny kolor. Znowuż jakby nigdy nic, ludzie pracują, sady kwitną. Trzymam w ręku kamerę, ale nie mogę pojąć: coś nie tak! Normalna ekspozycja, piękny widoczek, ale coś jest nie tak. I nagle dociera: nie ma zapachu. Sad kwitnie, a nie ma zapachu! Potem wiedziałem, że następuje taka reakcja organizmu przy wysokiej radiacji, blokują się niektóre zmysły. Moja mama ma siedemdziesiąt cztery lata, pamiętam, narzeka, że nie czuje zapachów. No, myślę, teraz mnie się to przydarzyło. Pytam swoich w zespole, a było nas troje:

- Jak pachnie jabłoń?

- Nijak nie pachnie.

Coś się z nami stało. Bez nie pachniał. Bez! Pojawiło się we mnie odczucie, że wszystko, co wokół, to nieprawda, a ja - pośród dekoracji. I że nie mogę tego zrozumieć, nie sposób. Nigdzie o tym nie czytałem.

Z dzieciństwa. Sąsiadka, była partyzantka, opowiadała, jak w czasie wojny ich oddział wydzierał się z okrążenia. Miała na rękach małe dziecko, miesięczne, szli przez bagno, wokół pacyfikatorzy. Dziecko płakało. Nie mogło ich wydać, zlokalizowaliby ich, cały oddział. I ona je zadusiła. Mówiła o tym beznamiętnie, jakby to nie ona zrobiła, a jakaś inna kobieta, a dziecko było cudze. Dlaczego o tym wspominała, już zapomniałem. Ale pamiętam swój strach: cóż to ona takiego stworzyła? Jak mogła? Mnie się wydawało, że ten cały odddział partyzancki wychodził z okrążenia dla tego maleństwa, żeby je ocalić. A tu, żeby ocaleć, żywi, zdrowi, silni mężczyźni zadusili dziecię. W czym w takim razie sens życia? Nie chciało mi się po tym żyć. Mnie, chłopcu, niezręcznie było patrzeć na tę kobietę, dlatego że dowiedziałem się o niej czegoś takiego. A jak ona patrzyłaby na mnie? *(Jakiś czas milczy).* Oto, czemu nie chcę wspominać o tych dniach w zonie. Wymyślam sobie różne wytłumaczenia. Nie chce mi się otwierać „tam" drzwi. „Tam" chciałem zrozumieć, gdzie jestem prawdziwy, a gdzie nieprawdziwy. Miałem już dzieci. Syna. Kiedy się rodził, przestałem bać się śmierci. Ukazał się sens mojego życia.

Nocą w hotelu. Przysypiam - monotonny szum za oknem, niepojęte niebieskie strachy. Rozsuwam story: ulicą suną dziesiątki łazików z czerwonymi krzyżami i migaczami. W pełnej ciszy. Doświadczyłem czegoś na podobieństwo szoku. Spłynęły do pamięci kadry z filmu. Z dzieciństwa. Powojenne dzieci, lubiliśmy wojenne filmy. No i takie kadry. Z miasta uciekli wszyscy

swoi, a ty zostałeś sam i musisz rozstrzygać. Co najlepsze? Udawać, żeś nieżywy? Albo jak? A jeśli coś powinieneś zrobić, to co?

W Chojnikach w centrum miasta wisiała tablica wyróżnionych[12]. Wyróżniający się ludzie rejonu. Pojechał więc w skażoną strefę i wywiózł dzieci z przedszkola szofer pijanica, a nie ci z tablicy. Wszyscy stali się samymi sobą. A tu jeszcze ewakuacja. Pierwsze wywożone są dzieci. Powrzucali je w wielkie Autobusy marki Ikarus. A ja łapię siebie na tym, że filmuję, tak jak to widziałem na filmach wojennych. I tu zamarzyłem, że nie ja jeden, ale i ludzie, którzy uczestniczą w tym wszystkim, kierują się podobnym obrazem. Trzymają się tak jak kiedyś, pamiętacie, w ulubionym przez nas wszystkich filmie *Lecą żurawie*[13]*:* rzadka łza w oczach, krótkie słowa pożegnania. Wychodziło na to, że wszyscyśmy chcieli odnaleźć formę przezwyciężenia siebie, swojego strachu, taką, która byłaby nam już znana. Staraliśmy się czemuś odpowiadać. To zostało w pamięci. Dziewczynka macha mamie ręką, myśli, wszystko w porządku, jest dzielna. Zwyciężymy!

Pomyślałem, że przyjadę do Mińska, a tam też ewakuacja. Jak będę żegnał się ze swoimi - żoną, synem? Wyobrażałem sobie w tej liczbie i taki gest: zwyciężymy! My - ratownicy! Ojciec mój, odkąd pamiętam, nosił wojskowe mundury, choć nie był wojskowym. Myśleć o dzieciach - mieszczaństwo, o swoim życiu - niepatriotycznie. Normalny stan - głodni. Oni, nasi rodzice, przeżyli zniszczenie, i my także powinniśmy je przeżyć. Inaczej nie zostaniesz prawdziwym człowiekiem. Uczono nas wojować i przeżyć w każdych warunkach. Mnie samemu po obowiązkowej służbie w armii cywilne życie wydawało się bez smaku. Nocą chodziliśmy ulicami w poszukiwaniu uczuć. W dzieciństwie czytałem wspaniałą książkę *Czistilszcziki*[14], autora zapomniałem, tam łapali dywersantów, szpiegów. Ryzyko! Dobrowolni ochotnicy! Tak jesteśmy zbudowani. Jeśli każdego dnia praca i praca - staje się to nieznośne, bez komfortu!

Mieszkaliśmy na osiedlu jakiejś zawodówki wraz z likwidatorami. Młodzi chłopcy. Wydali im walizkę wódki, żeby wyprowadzić radiację. A potem okazuje się, że w tymże osiedlu rozlokował się oddział służby medycznej. Same dziewczyny.

[12] Tablica wyróżnionych (w oryginale: *doska poczota)* - sporych rozmiarów tablice, na których w ZSRR wieszano fotografie wyróżniających się „przodowników pracy" i osób zasłużonych.

[13] *Lecą żurawie* - znany, wzruszający film Michaiła Kołatozowa z 1957 r.

[14] W tłumaczeniu dosłownym: „Czyściciele", „Pucybuty".

- No, to teraz pohulamy! - powiadają chłopaki.

Poszło dwóch i zaraz wracają z takimi oczami. Obrazek: idą korytarzem dziewczyny. Pod dresy wkładają spodnie i kalesony z podwiązkami, ciągną się za nimi po podłodze, walają się. Wszystko stare, za duże. Wisi jak na wieszakach. Ta w rękawiczkach, ta w rozczłapanych butach. A na wierzchu dresów jeszcze gumowe odzienie specjalne naciągnięte, jakimś tam związkiem chemicznym pochlapane. Niektóre i na noc tego nie zdejmują. Żal patrzeć. I żadne z nich pielęgniarki, wzięto je z instytutu, z wojskowej katedry. Obiecywali, że na dwa dni, a kiedyśmy tam przyjechali, były już od miesiąca. Opowiadały, że wożono je na reaktor, tam napatrzyły się na oparzenia, ale tylko od nich słyszałem o poparzeniach. Dziś jeszcze widzę - brodzą po osiedlu jak we śnie.

Pisali w gazetach, że na szczęście wiatr wiał nie w tę stronę. Nie na miasto. Nie na Kijów. Jeszcze nikt nie wiedział. Nie domyślał się, że on wiał na Białoruś. Na mojego Jurika. W ten dzień chodziliśmy z nim po lesie, szczypaliśmy koniczynę zajęczą. Boże, nikt mnie nie uprzedził!

Wróciłem z ekspedycji do Mińska. Jadę trolejbusem do pracy. Dobiegają urywki rozmów: nakręcili film w Czarnobylu i jeden operator od razu tam umarł. Zgorzał. No, myślę: któż to taki?

Nadal słyszę: młody, dwoje dzieci. Mówią nazwisko: Witja Guriewicz. Jest u nas taki operator, bardzo młody chłopiec. Ale dwoje dzieci? Czyżby ukrywał? Podjeżdżamy do studia fdmowego, ktoś uściśla: nie Guriewicz, a Guricz, i na, imię ma Siergiej. Boże, przecież to ja! Śmiesznie teraz, ale wtedy szedłem z metra do studia i bałem się, że otworzę drzwi, i... Pierwsza myśl:

- A dokąd wzięli moją fotografię? Do działu kadr?

Skąd brały się te słuchy? Nieporównywalność skali wydarzenia z liczbą ofiar. Choćby bitwa kurska[15]. Tysiące poległych - to zrozumiałe. A tu? W pierwszych dniach coś około siedmiu strażaków. Potem jeszcze kilku ludzi. A poza tym zbyt abstrakcyjne określenia dla naszego poznania: „za kilka pokoleń", „wieczność", „nic". Zaczynały się słuchy: latają trzygłowe ptaki, kury zadziobują lisy, lisie jeże.

Co dalej? Potem znowu ktoś musi jechać do zony. Jeden operator przyniósł zaświadczenie, że ma wrzód żołądka, drugi wykombinował urlop. Wzywają mnie:

- Trzeba!

- Przecież dopiero co wróciłem.

[15] Zmagania na tzw. łuku kurskim, toczące się 5.07. - 23.08.1943 r.; przegrana Wehrmachtu zadecydowała o początkach cofania się przed Armią Czerwoną, a w następstwie o klęsce III Rzeszy.

- Rozumiesz, ty już tam byłeś. Tobie wszystko jedno.

I potem:

- Ty już masz dzieci. A tamci - młodzi.

- Jołki-połki, a może ja także chcę mieć pięcioro-sześcioro!

Tak to filmowałem ludzi, którzy byli jakby w obozie koncentracyjnym. Ludzie, którzy przeżyli wiele wspólnego i poznali, jaki bywa człowiek w głębi podświadomości, uciekają jeden od drugiego. O tym, co tam, w Czarnobylu, dowiedziałem się, przyznam, nie chce się mówić. Na przykład o naszych humanistycznych wyobrażeniach. W ekstremalnej sytuacji człowiek nie jest taki, jak piszą w książkach. Człowieka z książek nie znalazłem. Wszystko na odwrót. Człowiek - antybohater. Wszyscyśmy sprzedawcami apokalipsy. Wielcy i mali. Migają w pamięci fragmenty, obrazki. Przewodniczący kołchozu chce dwoma samochodami wywieźć swoją rodzinę z rzeczami, meblami, a sekretarz partii prosi o jeden samochód dla siebie. A za kilka dni, byłem świadkiem, nie mogą wywieźć dzieci, grupy najmłodszych. Nie starcza transportu. A tu dwóch samochodów mało, żeby zapakować masę trzylitrowych słoików z konfiturami i marynatami. Widziałem, jak je nazajutrz rozwalali. Tego też nie sfilmowałem. *(Mimowolnie się zaśmiał).* Kupiliśmy tam w sklepie kiełbasę, konserwy, ale jeść strasznie. Woziliśmy to ze sobą. Wyrzucić także szkoda. (7 *nagle poważnie).* Mechanizm zła będzie działać i w czasie apokalipsy. To zrozumiałem. Także będą plotkować, oszukiwać przed kierownictwem, chronić swój telewizor i futro karakułowe. I przed końcem świata człowiek ostanie się takim, jaki jest teraz. Zawsze.

Jakoś tak mi niezręcznie, że nie dobiłem się dla swej grupy operatorskiej żadnych ulg. Jednemu z naszych chłopców potrzebne było mieszkanie, idę do komitetu kinematografii.

- Pomóżcie, pół roku przesiedzieliśmy w zonie. Mamy zasługi.

- Dobrze - powiedzieli - przynieście zaświadczenia. Z pieczęciami.

A tam przyjeżdżaliśmy do rajkomu, a po korytarzach chodzi taka jedna ciotka Nastia ze szczotką. Wszyscy się rozbiegli. Jest u nas reżyser, ma teczkę zaświadczeń: gdzie był, co filmował. Bohater!

Mam w pamięci wielki, długi film, którego nie nakręciłem. Wiele serii. *(Milczy).* Wszyscyśmy sprzedawcami apokalipsy.

Zachodzimy z żołnierzami do chaty. Mieszka tam jedna babcia.

- No, babciu, jedziemy.

- Jedziemy, dzieci.

- No, to zbieraj się, babciu.

Czekamy na ulicy. Palimy. I oto ta babcia wychodzi: na rękach ikona, kotek i węzełek. To wszystko, co bierze ze sobą.

- Babciu, kota nie trzeba. Nie powinno się. Jego sierść radioaktywna.

- Nie, dzieci, bez kotka nie pojadę. Jakże go rzucę? Samego zostawię? To moja rodzina.

Ta babcia, ta kwitnąca jabłoń. Od nich wszystko się zaczęło. Teraz kręcę tylko zwierzęta.

Pewnego razu pokazałem swoje czarnobylskie tematy dzieciom. Przestrzegano mnie: po co? Nie wolno. Nie trzeba. I tak żyją w tym strachu, wśród tych rozmów, mają zmiany we krwi, uszkodzony układ odpornościowy. Spodziewałem się, że przyjdzie pięćdziesiąt osób. Wypełniła się cała sala. Pytania zadawali najróżniejsze, ale jedno wprost wbiło mi się w pamięć. Chłopczyk, jąkając się i czerwieniąc, widocznie z takich niewiele mówiących, pytał:

- A dlaczego nie było wolno pomóc zwierzętom, które tam zostały?

Nie potrafiłem mu odpowiedzieć. Nasza twórczość jest tylko o cierpieniu i miłości do człowieka, a nie do wszystkiego, co żyje. Tylko człowieka! Nie zniżamy się do nich: zwierząt, roślin. W ten inny świat. A Czarnobylem człowiek zamierzył się na wszystko.

Chcę nakręcić film *Zakładnicy*[16]. O stworzeniach[17]. Pamiętasz pieśń *Płynęła po oceanie ruda wyspał* Tonie okręt, ludzie weszli do szalup. A konie nie wiedziały, że w szalupach nie ma dla nich miejsca.

Współczesna przypowieść. Dzieje się na dalekiej planecie. Kosmonauta w skafandrze słyszy przez słuchawki szum. Widzi, że toczy się na niego coś ogromnego. Niepojętego. Dinozaur? Jeszcze nie pojmuje, kto to, a strzela. Po chwili - znów coś się ku niemu zbliża. I to coś też niszczy. Za chwilę - stado. Stacza więc z nim bitwę. A tu się okazuje, że wybuchł pożar, a zwierzęta uciekały, biegły po tropie, który zostawił kosmonauta. Człowiek! Stała się tam ze mną nadzwyczajna rzecz. Przybliżyłem się do stworzeń. Do drzew, ptaków. Teraz są mi bliższe niż wcześniej. Skurczyła się odległość między nami. Jeżdżę do zony od wielu lat. Z porzuconego, zaoranego ludzkiego domu wyskakuje dzika świnia, wychodzi łosza. Oto co sfotografowałem. Chcę zrobić film i zobaczyć wszystko oczami zwierzęcia.

- O czym ty kręcisz? - pytają mnie. - Popatrz wokoło. W Czeczenii - wojna!

A święty Franciszek głosił kazania ptakom. Z ptakami rozmawiał jak z równymi. A co, jeśli to ptaki rozmawiały z nim w ptasim języku, a nie on zniżył się do nich? On rozumiał ich tajny język. U Dostojewskiego, pamiętacie, jak człowiek chłostał krótkowzrocznego konia. Bezrozumny człowiek!

[16] W oryginale: Założ*oiniki*.

[17] W oryginale: *żiwotny,* co dosłownie znaczy: żywotne, żywe - w rosyjskim określenie zwierząt.

Siergiej Gurin, operator filmowy

Monolog bez nazwy - krzyk...

Zostawcie, dobrzy ludzie! Nam tu przyszło żyć! Porozmawiacie i pojedziecie, a my tu żyjemy!

Oto leżą lekarskie karty. Przede mną. Każdego dnia biorę je do rąk. Każdego dnia!

Ania Budaj - rok urodzenia 1985 - 380 bekereli.

Witia Grinkiewicz - rok urodzenia 1986 - 785 bekereli.

Nastia Szabłowskaja - rok urodzenia 1986 - 570 bekereli.

Aliena Pienin - rok urodzenia 1985 - 570 bekereli.

Andriej Kotczenko - rok urodzenia 1987 - 450 bekereli.

Powiadają, że to niemożliwe! Jakże oni żyją z takimi wskaźnikami? Czyż był gdzieś podobny eksperyment? Czytam to. Widzę. Każdego dnia. Możecie pomóc? Nie! Po co tu przyjeżdżacie? O co rozpytujecie? Wzruszacie nas? Nie chcę dotykać ich nieszczęścia! Filozofować! Zostawcie nas, dobrzy ludzie! Nam tu przyszło żyć...

Arkadij Pawłowicz Bogdankiewicz, felczer wiejski

Monolog na dwa głosy - męski i kobiecy

Nina Konstantinowna i Nikołaj Prochorowicz Żarkowowie, nauczyciele. On uczy zajęć plastycznych, ona jest filologiem.

Ona:

Tak często słyszę o śmierci, że nie chodzę jej oglądać. Nie słyszeliście dziecięcych rozmów o śmierci? W siódmej klasie spierają się i rozważają: straszna czy nie? Do niedawna malców interesowało, skąd się biorą dzieci. Dziś nurtuje ich, co będzie po wojnie atomowej. Przestały lubić klasykę. Kiedy recytuję Puszkina, widzę ich zimne, nieobecne spojrzenia. Są w innym świecie. Czytają fantastykę. Imponuje im, gdy człowiek odrywa się od ziemi, posługuje się cza-

sem kosmicznym, żyje w innych światach. Nie boją się śmierci, jak boją się dorośli, choćby ja. Nurtuje ich ona jako coś fantastycznego.

Rozmyślam o tym. Śmierć wokół daje wiele do myślenia. Wykładam literaturę rosyjską uczniom, którzy nie dają się porównać do tych sprzed dziesięciu lat. W ich spojrzeniach widzę: co lub kogo grzebią? Zasypali ziemią domy i wsie, wszystko. W klasie dzieci mdleją. Kiedy postoją piętnaście, dwadzieścia minut, krew cieknie im z nosa. Nic ich nie dziwi ani nie cieszy. Są senne, otępiałe. Twarze blade, szare. Nie bawią się i nie wygłupiają. Nauczycieli cieszy, kiedy czasem poczubią się, a nawet wybiją szybę. Nie krzyczą na przerwach, są bardzo niepodobne do innych dzieci. Rosną powoli. Proszę na lekcji, żeby cokolwiek powtórzyć, a dzieciak nie może. Dochodzi do tego, że proponuję, żeby powtarzał za mną. Nie pamięta.

- Gdzie jesteś? - Tarmoszę go.

Jakbym pisała wodą na szkle, tylko ja wiem, co piszę, nikt z nich się nie domyśla.

Życie nasze toczy się wokół Czarnobyla. Gdzie wtedy byłeś? Jak daleko od reaktora? Coś widział? Kto zmarł? Kto wyjechał? Dokąd? W pierwszych miesiącach, pamiętam, zapełniły się restauracje, zaszumiały nocne lokale.

- Żyje się raz! Jak umierać, to z fasonem!

Zjechali żołnierze, oficerowie. Czarnobyl jest w nas każdego dnia. Niespodzianie zmarła młoda kobieta w ciąży. Bez diagnozy, anatomopatolog nie znalazł przyczyny. Powiesiła się dziewczynka, pięcioklasistka, ni stąd, ni zowąd. Na wszystko ta sama diagnoza: Czarnobyl. Cokolwiek się zdarzy, wszyscy mówią: Czarnobyl.

- Chorujecie, bo się boicie. Ze strachu - zarzucają nam. - To radiofobia.

Ale dlaczego małe dzieci chorują i umierają? Wszak nie znają, jeszcze nie rozumieją strachu.

Rozmyślam o tamtych dniach. W gardle szczypało, czułam w sobie ciężar.

- Hipochondria - orzekł lekarz. - Staliście się hipochondrykami, bo zdarzył się Czarnobyl.

- Jaka tam hipochondria? - mówię mu. - Boli i brak mi sił.

Z mężem wstydziliśmy się przyznać jedno drugiemu, że zaczęły nam dokuczać nogi. Idziesz drogą i najchętniej byś się położyła. Uczniowie kładli się na ławkach, na lekcji tracili przytomność. Wszyscy stali się niemrawi, mroczni, przez cały dzień nie spotkasz miłej twarzy, by ktoś się do kogoś uśmiechnął.

Od ósmej rano do dziewiątej wieczorem dzieci znajdowały się w szkole. Surowo im zabronili bawić się na ulicy, biegać. Wydali im ubiory: dziewczynkom - spódnice i bluzki, chłopcom - garnitury. Szli w tym odzieniu do domu, ale nie wiadomo, co tam robili i gdzie przebywali. Wedle instrukcji matki powinny

codziennie prać te ubrania, żeby w czystych przychodzili do szkoły. Ale, po pierwsze, dali tylko jedną zmianę, a po wtóre, matki zajęte były domowymi obowiązkami - kury, krowa, prosiak - nie pamiętały, żeby każdego dnia uprać. Dla nich brud to czerń, ziemia, tłuste plamy, a nie wyobrażenie jakichś tam izotopów. Kiedy próbowałam cokolwiek wyjaśnić rodzicom swoich uczniów, traktowali mnie, jakby nagle stanął przed nimi szaman z afrykańskiego plemienia.

- A co to takiego radiacja? Nie słychać i nie widać. No tak, grosza nie starcza do pierwszego, trzy ostatnie dni żyjemy na mleku i kartoflach. No tak -i macha taka ręką.

A mleka nie wolno. I kartofli też. Do sklepu rzucono chińską wędzonkę i kaszę, ale po co im to kupować? Instrukcję sporządzili dla ludzi oczytanych, o jakiej takiej kulturze bycia. Tutaj jej nie ma! To nie społeczeństwo, co rozezna instrukcje. No i nie tak prosto wyjaśnić, czym różnią się bery od rentgenów. Według mnie, lepiej byłoby mówić o fatalizmie, takim lekkim fatum. Na przykład niczego nie należało zbierać z ogrodów w pierwszym roku, a pomimo to brali, jedli, robili przetwory. A do tego wszystko tak dorodnie wyrosło! I mów, że nie wolno jeść ogórków i pomidorów! Co znaczy nie wolno? W smaku normalne. Je się, a brzuch nie boli. Ani nie „świeci się" w ciemności. Sąsiedzi położyli tego roku nową podłogę z drewna z miejscowego lasu, zrobili im pomiary - tło sto razy większe niż dopuszcza norma. I nie zerwali podłogi, chodzili po niej.

Wszyscy myśleli, że jakoś się przetrwa, jakoś to będzie, minie samo z siebie, bez ich udziału. Początkowo różne wytwory nosili do dozymetrystów, a że na licznikach wychodziło, iż napromieniowanie jest dziesięć razy wyższe od dopuszczalnej normy, szybko przestali.

- Nie widać, nie słychać. A to wymyślają ci uczeni!

Wszystko szło swoim porządkiem: zaorali, posiali, zebrali. Zdarzyło się coś niebywałego, a ludzie żyją, jak żyli. I wyrzeczenie się ogórków ze swego ogrodu było ważniejsze od Czarnobyla. Dzieci przez całe lato trzymali w szkole, którą żołnierze umyli sterylnym proszkiem, zdjęli wokół sztych ziemi. A jesienią wysłali uczniów zbierać buraki. Przywieźli na pole studentów, uczniów szkół zawodowych. Wszystkich zagnali. Czarnobyl? Nic gorszego niż zostawić nie wykopane ziemniaki.

Kto jest winny? No, kto winien, jeśli nie my sami?

Wcześniej nie marzyliśmy o świecie wokół nas. Był jak niebo, oddech, jakby ktoś dał go nam raz na zawsze, jakby nie zależał od nas. Kiedyś lubiłam położyć się w lesie na trawie i napawać się widokiem nieba. Było mi tak dobrze, że zapominałam, jak się nazywam. A teraz? Piękny, pełen jagód las, ale nikt ich nie zbiera. Rzadko w lesie usłyszysz głos człowieczy. Strach kryje się

w odczuciach, w podświadomości. Dzieci rosną w domach, bez lasu i rzeki. Mogą tylko na nie popatrzeć w książkach i w telewizji. To już pod każdym względem inne dzieci. A przychodzę do nich: „Mijająca pora. Oczu oczarowanie... "[18]. Idę z Puszkinem, który wydawał się mi wieczny. I nagle pojawia się bluźniercza myśl: cała ta nasza kultura to skrzynia ze starymi rękopisami... Wszystko, co kocham.

On:

Wychowywali nas po wojennemu. Orientowali na obronę i likwidację skutków ataku atomowego. Mówili, iż nie zdołamy przeciwstawić się broni - chemicznej, biologicznej i atomowej. Ale nie o tym, jak pozbywać się radionuklidów z organizmu. Chociaż nic nie da się porównać z wojną, to jednak wszyscy porównują. Jako dziecko przeżyłem blokadę Leningradu[19]. Nie do porównania. Żyliśmy jak na froncie, pod niekończącym się obstrzałem. I przez parę lat taki głód, że człowiek stawał się zwierzęciem. A tu, proszę, wychodzisz, a w ogrodzie wszystko rośnie! Nie do porównania. A chciałem o czym innym. Tracę wątek. Plączę. No więc, kiedy zaczynał się ostrzał, nie daj Bóg! Możesz zginąć nie kiedyś tam, ale w tej chwili. Zimą głód. Paliliśmy meble, wszystko, co drewniane w mieszkaniu, wszystkie książki, grzaliśmy jakimiś starymi ścierkami. Widzisz: idzie człowiek ulicą, siada. Idziesz następnego dnia: siedzi dalej. Znaczy zamarzł. I siedzi tak tydzień, miesiąc, do wiosny. Nikt nie ma sił wyrąbać go z lodu. Rzadkie były przypadki, że gdy ktoś padł na ulicy, podchodzili i pomagali. Wszyscy pełzali obok. Pamiętam, ludzie nie chodzili, pełzali. Nie do porównania!

Kiedy wybuchł reaktor, mieszkała z nami moja mama, która zawsze powtarzała:

- Najstraszniejsze, synku, przeżyliśmy. Przetrwaliśmy blokadę. Nic straszniejszego się nie zdarzy.

[18] Początek wiersza *Jesień* Aleksandra Puszkina.

[19] Blokada Leningradu - w czasie II wojny światowej, w wyniku natarcia wojsk niemieckich i fińskich we wrześniu 1941 r. na Leningrad (obecnie Sankt Petersburg), miasto zostało zablokowane od strony lądu, pomimo to broniło się aż do stycznia 1944 r. (ok. 900 dni), kiedy to odblokowano je; w tragicznym położeniu z głodu i wycieńczenia zmarło ok. 630 tys. mieszkańców. Termin „blokada Leningradu" funkcjonuje w zbiorowej pamięci Rosjan i na terenie byłego ZSRR jako jeden z najbardziej tragicznych epizodów wielkiej wojny ojczyźnianej, jak się tam do dziś nazywa II wojnę światową (ściśle: ten jej okres, od kiedy Niemcy wtargnęli do ZSRR 22.06.1941 r.).

Przygotowywaliśmy się do wojny atomowej, budowaliśmy schrony atomowe. Chcieliśmy ubezpieczyć się od atomu, jak od rozsypanego urządzenia. A on jest wszędzie. W chlebie, w soli. Oddychamy radiacją, jemy ją. Że może nie być chleba i soli, że można zjeść wszystko, nawet ugotowany w wodzie skórzany rzemień, że można najeść się zapachem - mogłem pojąć. A „tego" nie. Wszystko zatrute? Obecnie najważniejsze jest wyjaśnienie, jak mamy żyć. W pierwszych miesiącach był lęk, szczególnie lekarzy, nauczycieli, czyli inteligencji, ludzi wykształconych, co wszystko porzucali i wyjeżdżali. Uciekali stąd. Ale wprowadzili dyscyplinę wojenną, na stół wyłożyli partyjny nakaz. Nikogo nie wypuścili. Kto zawinił? Żeby odpowiedzieć na pytanie, jak mamy żyć, trzeba wiedzieć, kto zawinił. Któż taki? Uczeni czy personel elektrowni? Dyrektor? Operatorzy dyżurni? Dlaczego więc, pytam, nie niepokoimy się samochodem jako wytworem myśli ludzkiej, ale reaktorem? Zamknąć wszystkie elektrownie atomowe, a atomistów oddać pod sąd? Przekląć? Sama wiedza nie jest przestępstwem. Uczeni są także ofiarami Czarnobyla. Chcę żyć, a nie umierać po Czarnobylu. I pragnę zrozumieć.

Różne są reakcje. Dziesięć lat minęło, a ludzie ciągle porównują „to" do wojny. Wojna ciągnęła się cztery lata. Upłynęło więc, jakkolwiek by liczyć, dwie wojny. Oto typowe reakcje: „Wszystko już za nami", „Byleby przetrwać", „Dziesięć lat zleciało, dziś «to» już nie takie straszne", „Wszyscy umrzemy! Szybko sczeźniemy!", „Ach, wyjechać za granicę!", „Muszą nam pomóc", „Pluć na wszystko! Trzeba żyć". To słyszymy codziennie. Jesteśmy materiałem dla uczonych analiz. Międzynarodowym laboratorium. Jest nas, Białorusinów, dziesięć milionów, z czego przeszło dwa miliony żyje na skażonej ziemi. Olbrzymie laboratorium diabła. Spisuj więc dane, eksperymentuj! Zjeżdżają tu zewsząd, robią doktoraty. Z Moskwy i Petersburga. Z Japonii, Niemiec, Austrii. Przygotowują się do przyszłości.

(Długa przerwa w rozmowie).

I cóż wymyśliłem? Znowu porównuję. Wymyśliłem, że mogę mówić o Czarnobylu, a o blokadzie - nie. Przysłano mi z Leningradu zaproszenie na spotkanie „Dzieci blokady Leningradu". Pojechałem, ale nie mogłem wydobyć słowa. Zwyczajnie opowiadać o strachu? Wprost? W domu nie wspominaliśmy o blokadzie. Mama nie chciała. A o Czarnobylu mówimy. *(Zastanawia się).* Nie. Między sobą nie mówimy, zdarza się rozmowa, kiedy ktoś do nas przyjedzie: cudzoziemcy, dziennikarze, krewni, co tu nie mieszkają. Dlaczego nie rozmawiamy o Czarnobylu? W szkole? Z uczniami? O tym mówią z nimi w Austrii, Francji, Niemczech, dokąd jeżdżą na leczenie. Pytam dzieci, o co pytają, czym się interesują. A one często nie pamiętają ani miasta, ani wsi, ani nawet nazwisk ludzi, u których byli. Ale wyliczają podarunki, co smacznego jadły. Że komuś

podarowali magnetofon, a innemu nie. Przyjeżdżają w ubraniach, na które nie zapracowały same ani ich rodzice. Ot, jakby gdzieś na wystawie były, w wielkim sklepie. I ciągle czekają, że ich tam jeszcze raz zawiozą, pokażą, obdarują. Do tego przywykły. To już sposób na życie. Po tym ogromnym sklepie, co nazywa się zagranicą, i po tej drogiej wystawie trzeba iść do klasy, na lekcje. Widzę po nich, czego się tam naoglądały. Oglądają, ale nie żyją. Prowadzę je do pracowni, gdzie stoją moje drewniane rzeźby. Podobają się im.

- To wszystko można zrobić ze zwyczajnego kawałka drewna - mówię im. - Spróbujcie. Obudźcie się! To mi pomogło wyjść z blokady, a wychodziłem latami...

Monolog o tym, jak zupełnie nieznana rzecz wpełza, włazi w ciebie

Mrówki pełzają po pniu. Wokół szumi wojskowa technika, żołnierze, krzyki, wyzwiska, klątwy, warczą śmigłowce. A one pełzają. Po powrocie z zony w pamięci pozostał mi tylko ten jeden obrazek. Zatrzymaliśmy się w lesie, stanąłem zapalić pod brzozą. Stałem blisko, oparłem się. Na wprost mojej twarzy mrówki pełzały po pniu, nie słysząc nas, nie zwracając żadnej uwagi. Znikniemy, a one nawet tego nie zauważą. Nigdy wcześniej z tak bliska ich nie obserwowałem.

Z początku wszyscy mówili „katastrofa", potem „wojna jądrowa". Czytałem o Hiroszimie i Nagasaki, widziałem dokumentalne kadry. Straszliwe, ale zrozumiałe: wojna atomowa, rejon rażenia. Mogłem to sobie nawet wyobrazić. Ale to, co stało się u nas, nie mieściło się w głowie. Uciekamy. Czujesz, jak jakaś zupełnie nieznana rzecz burzy cały twój dotychczasowy świat, wpełza, włazi w ciebie. Pamiętam rozmowę z pewnym uczonym:

- To na tysiące lat - wyjaśniał. - Rozpad uranu - to dwieście trzydzieści osiem nukleonów. Przełóżmy na czas: miliard lat. A tor - czternaście miliardów lat. Pięćdziesiąt, sto, dwieście lat. A potem?

Pisać dziś o tym, po upływie dziesięciu lat? Nie do pojęcia. Najwyżej wymyślimy coś podobnego do naszego życia. Próbowałem. Do niczego nie doszedłem. Po Czarnobylu została mitologia o Czarnobylu. Gazety i pisma współzawodniczą, które napisze coś straszniejszego. Szczególnie upodobały sobie lęki człowieka, który tam nie był. Wszyscy oswoili się z grzybami i czarnobylską głową, ale nikt ich nie znalazł. Dlatego nie trzeba pisać, ale notować i dokumentować. A pokażcie mi powieść fantastyczną o Czarnobylu. Nie ma! Rzeczywistość fantastyki!

Mam szczególne hobby. Zapisuję rozmowy, pogłoski, kawały. I te najbardziej interesujące stają się jakby nie na czasie. Cóż stało się od czasów starożytnej Grecji? Od tamtych mitów?

* * *

Z *rozmów:*

Według radia w trzy miesiące po „tym": „Sytuacja stabilizuje się... Sytuacja stabilizuje się... Sytuacja stabili...".

Przyjechali inspektorzy z KC[20]. Przewidywana trasa: samochodem do hotelu, w obkom partii[21] też w samochodzie. Zapoznają się z sytuacją z miejscowych gazet. Mają w sakwojażu kanapki z Mińska. Herbatę zaparzają na wodzie mineralnej. Także przywiezionej ze sobą. Opowiadała o tym dyżurna z hotelu, w którym mieszkali. Ludzie nie wierzą gazetom, telewizji i radiu, szukają informacji w zmaganiach kierownictwa. Jest bardziej wiarygodna.

*

Najbardziej popularny kawał z zony: bardziej niż stront i cez pomaga „Stolicznaja"[22].

*

Cóż począć z dzieckiem? Wypadałoby chwycić w objęcia i uciekać. Ale mam w kieszeni bilet. Nie mogę!

*

W wiejskich sklepach nieoczekiwanie pojawiają się pożądane towary. Słyszałem, że wystąpił sekretarz wojewódzki:

- Obiecaliśmy wam rajskie życie. Zostańcie i pracujcie. Zarzucimy was kiełbasą i kaszą gryczaną. Będziecie mieli to, co najlepsi specjaliści.

[20] KC - Komitet Centralny, naczelny organ kierowniczy Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, główny ośrodek polityczny, realnie rządzący ZSRR; tu chodzi o inspektorów z KC Komunistycznej Partii Białorusi z Mińska (każda z republik wchodzących w skład ZSRR także miała swój Komitet Centralny).

[21] Obkom (skrót od: *Obłastnyj komitet)* - Komitet Obwodowy (czyli wojewódzki) KPBiał.; tu: siedziba partyjnych władz obwodu.

„Stolicznaja" - nazwa popularnej wódki rosyjskiej.

Tak jest w komitetach wojewódzkich. Stosunek do narodu brzmi: wystarczy dać mu wódki i kiełbasy.

U diabła! Nigdy nie widziałem, aby w wiejskim sklepie były trzy rodzaje kiełbas naraz. Sam kupiłem tam żonie importowane rajstopy.

*

Dozymetry były w sprzedaży miesiąc i znikły. Pisać o tym nie wolno. Ile i jakich radionuklidów opadło - też nie wolno. Nie wolno i o tym, że we wsiach zostali jedynie mężczyźni. Kobiety i dzieci wywieźli. Że całe lato sami mężczyźni trudzili się ze wszystkim, doili krowy, uprawiali ogrody. I, naturalnie, pili. Bili się. Świat bez kobiet. To mi wykreślili.

- Nie zapominajcie, iż mamy wrogów - napominali. - Wielu wrogów za oceanem.

Z czego wynika, że to oni rozebrali reaktor. Dlatego mamy wyłącznie dobre, a złego nie ma. Bo gdzie widziałeś specjalne sklepy, gdzie ktoś widział kierownictwo z walizkami?

*

Naprzeciw posterunku milicji chwyciła mnie babcia.

- Spójrz tam, na moją chatę. Czas kopać brukiew, ale żołnierze nie puszczają.

Przesiedlili ich. Człowiek w pustce - człowiekiem bez niczego. Przekradają się do swoich wsi przez patrole wojskowe. Leśnymi ścieżkami. Przez błota. Nocą. Gonią ich, łapią. Samochodami i śmigłowcami.

- Jak za Niemców - wspominają starsi.

*

Widziałem pierwszego szabrownika. Młody chłopak, odziany w dwie kurtki futrzane. Tłumaczył patrolowi wojskowemu, że w ten sposób leczy się od napromieniowania. Kiedy go nacisnęli, przyznał się:

- Za pierwszym razem strasznie, a potem zwyczajna sprawa. Wypijesz kielicha i idziesz.

Przezwyciężył instynkt samozachowawczy. W zwykłych okolicznościach to niemożliwe. Tak to nasz człowiek idzie na czyn bohaterski. I tak też idzie na przestępstwo.

*

Czy można nam pomóc? Jak? Przesiedlić naród do Australii albo do Kanady?

Dla cerkwi wybierali miejsce wprost z nieba. Objawienia cerkiewnych ludzi odsłaniają tajemnice zapowiadające budowę. Elektrownię atomową budowali jak fabrykę. Jak chlew. Dach zalewali asfaltem.

*

Czytałem? Pod Czarnobylem złapali zbiegłego żołnierza. Wykopał ziemiankę i przez rok żył blisko reaktora. Tłumaczył się tym, iż chodził po porzuconych domach, gdzieś słoninę znalazł, tam znowu bańkę z marynowanymi ogórkami. Zastawiał sidła na zwierza. Uciekał dlatego, że „dziadkowie" skazali go „na śmierć". Odnalazł się w Czarnobylu.

Jesteśmy fatalistami. Niczego nie przedsięweźmiemy, bo wierzymy: co ma być, będzie. Nasze dzieje? Na każde pokolenie wypadała wojna. Dlaczego mamy być inni? Jesteśmy fatalistami.

*

Pojawiły się pierwsze wilkopsy, rodzące się z wilczyc i psów, które uciekły w las. Są mniejsze od wilków, nie boją się świata i człowieka, nie idą na „babę" (naśladujących wołanie myśliwych). Nie nasyciwszy się kotami, napadają na ludzi. Mszczą się na nas, pamiętając, jak wysługiwały się człowiekowi, kiedy mu służyły, jak ginęły. Zaciera się granica między rzeczywistością i nierzeczywistością.

* * *

Zasłyszane:

Za Czarnobylem budują łagry, w których będą trzymać tych, co popadli w radiację. Potrzymają, naoglądają się i pochowają.

Z odległych wsi wywożą martwych autobusami wprost na cmentarz, tysiące zasypują we wspólne mogiły. Jak za blokady leningradzkiej.

*

Iluś tam ludzi jakoby widziało w czasie wybuchu niepojęte światło na niebie nad elektrownią. Ktoś je nawet sfotografował. Na kliszy okazało się, że to pali się jakieś nieziemskie ciało.

*

W Mińsku pomyli pojazdy i towary. Całą stolicę będą wywozić na Sybir. Tam już przygotowują baraki, które pozostały po stalinowskich łagrach. Zaczną od kobiet i dzieci. Ukraińców już wywożą.

Rybacy bardzo często napotykają ryby-amfibie, które mogą żyć i w wodzie, i na ziemi. Po ziemi chodzą na płetwach-łapach.

*

To nie była awaria, ale trzęsienie ziemi. W warstwie podziemnej coś tam się stało. Jakiś wybuch geologiczny, z udziałem geofizycznych i kosmofizycznych sił. Wojskowi wiedzieli o tym wcześniej, mogli uprzedzić, ale surowo im zabroniono.

*

W rzekach i jeziorach zaczęto wyławiać szczupaki bez głów i płetw Pływają jedynie brzuchy. Coś podobnego szybko zacznie się stawać także z ludźmi. Białorusini zmieniają się w humanoidów.

Nawet zwierzęta leśne są napromieniowane bólem. Chodzą smutne, ze smutnymi oczami. Myśliwi ze strachem i żalem strzelają do nich. I zwierzęta przestają bać się człowieka. Lisy i wilki zachodzą do wsi i przestają z dziećmi.

*

Czarnobylcom rodzą się dzieci, ale zamiast krwi cieknie z nich nieznana żółta ciecz. Są uczeni, którzy dowodzą: małpa dlatego stała się rozumna, że żyła w radiacji. Dzieci rodzące się za trzy - cztery pokolenia będą Einsteinami. To kosmiczny eksperyment na nas.

Anatolij Szymańskij, dziennikarz

Monolog o tęsknocie za rolą i sensem

Napisano już dziesiątki książek, opasłych tomów. Skomentowano. Ale życie jest bardziej skomplikowane niż komentarz filozofa. Słyszę i czytam, iż kwestie Czarnobyla stają przed nami jako problemy samopoznania. To współgra z moimi odczuciami. Długo czekam, aż ktoś rozumny mi wyjaśni. Tak jak tłumaczą

Stalina, Lenina, bolszewizm. Ale dudnią bez końca: „Rynek! Rynek! Wolny rynek!".

A my, wychowani w świecie bez Czarnobyla, żyjemy z Czarnobylem.

*

Zawodowo zajmuję się rakietami, jako specjalista od napędu rakiet. Służyłem w Bajkonurze[23]. Programy: „Kosmos", „Interkosmos"[24] - to wielki kawał mego życia. Wspaniałe czasy! Niebo! Arktyka! Pustkowie! Kosmos! Wspólnie z Gagarinem świat sowiecki poleciał w kosmos, oderwał się od ziemi. Wszyscyśmy wzlecieli! Wspaniały Rosjanin! Z pięknym uśmiechem! Nawet jego śmierć była wyreżyserowana. Chłopięce marzenia o locie, wolności. Cudowne czasy!

Z powodów rodzinnych przeniosłem się na Białoruś. Wkrótce pogrążyłem się w tę czarnobylską przestrzeń, która zmieniła moje uczucia. Trudno wyobrazić sobie coś podobnego, choć zawsze miałem do czynienia z najnowocześniejszą techniką kosmiczną. Do dziś trudno to znieść. Nie daje się wyobrazić. *(Zamyśla się).* A sekundę wcześniej wydawało się, że pojąłem sens. Ciągnie do filozofowania. Z kimkolwiek zagadam o Czarnobylu, wszystkich do tego ciągnie.

*

Czymże się tu nie zajmujemy! Budujemy cerkiew. Czarnobylską cerkiew, na cześć ikony Matki Bożej „Patronki Poległych". Zbieramy ofiary, odwiedzamy chorych i umierających. Piszemy kronikę. Tworzymy muzeum.

Na początku myślałem, że nie dam rady. Z moim sercem pracować w takim miejscu! Pierwsze polecenie brzmiało:

- Oto pieniądze, rozdziel je na trzydzieści pięć rodzin. Pomiędzy trzydzieści pięć wdów po likwidatorach. Sprawiedliwie.

Sprawiedliwie, czyli jak? Jedna wdowa ma chorą córeczkę, druga ma dwoje dzieci, trzecia sama jest chora, inna wynajmuje mieszkanie, jeszcze inna ma czwórkę dzieci. Nocą biłem się z myślami: jak tu je obdzielić sprawiedliwie? Myślałem i liczyłem, liczyłem i myślałem. I nie podołałem. Rozdaliśmy pieniądze po równo, według listy.

Moim dziełem jest muzeum. Muzeum Czarnobyla. *(Milczy).* Niekiedy wydaje się, że to nie muzeum, a zakład pogrzebowy. Że służę w firmie pogrzebo-

[23] Bajkonur - kosmodrom w obecnym Kazachstanie, skąd startowały sowieckie i nadal startują rosyjskie statki załogowe i sztuczne satelity Ziemi.

[24] „Kosmos", „Interkosmos" - nazwy sowieckich kosmicznych programów badawczych.

wej! Dziś rano nie zdążyłem zdjąć palta, otwierają się drzwi, kobieta od progu krzyczy przez łzy:

- Weźcie jego medal i dyplomy! Zabierzcie ulgi! Oddajcie mi męża!

Długo krzyczała. Zostawiła medal, dyplomy. Będą wystawione w muzeum, za szkłem. Będą na nie patrzeć. Ale jej krzyku nikt poza mną nie słyszał i tylko ja będę o tym pamiętał przy rozkładaniu pamiątek.

Obecnie umiera pułkownik Jaroszuk, chemik-dozymetrysta. Zdrowy był chłop, a leży sparaliżowany. Żona obraca go jak poduszkę. Karmi łyżką. Do tego kamień w nerkach, trzeba go rozbić, nie ma czym opłacić operacji. Jesteśmy biedni, poprzestajemy na tym, co kto da. A państwo, jak oszust, zostawiło nas. Umrze - nazwą jego imieniem ulicę, szkołę albo jednostkę wojskową. Dopiero kiedy umrze. Pułkownik Jaroszuk pieszo chodził po zonie i wydzielał granice maksymalnych punktów skażenia. Człowiek, w pełnym tego słowa znaczeniu, był jak android. Wiedział o tym, ale szedł, zaczynając od elektrowni atomowej, przez rozchodzącą się radiację, aż po sektory. Pieszo, z przyborami dozymetrycznymi w rękach. Wykrywał „plamę" i ruszał w dół granicy „plamy", żeby dokładnie nanieść na mapę.

A żołnierze, którzy pracowali na samym dachu reaktora? Do likwidacji następstw awarii rzucono dwieście dziesięć jednostek wojskowych, około trzystu czterdziestu tysięcy służących w armii. W największe piekło dostali się ci, co oczyszczali dach. Wydawano im ołowiane fartuchy, ale tło szło niżej, tam gdzie człowiek nie był chroniony. A oni w zwyczajnych butach. Jednego dnia po półtorej - dwie minuty na dachu. A potem zwalniali ich z armii, dawali dyplom i premię - sto rubli. I znikali w bezkresnych przestrzeniach kraju. Z dachu strącali paliwo i reaktorowy grafit, odłamki betonu i armatury. Dwadzieścia-trzydzieści sekund, żeby naładować nosidła i zdążyć strącić „odpadki" z dachu. Te specjalne nosidła ważyły czterdzieści kilogramów. Wyobraźcie sobie: ołowiany fartuch, maski, nosidła i szaloną szybkość. W kijowskim muzeum jest atrapa grafitu, wielkości czapki. Mówią, że gdyby był prawdziwy, ważyłby szesnaście kilogramów, taki zwarty i ciężki. Sterowane radiem roboty często nie chciały wykonywać poleceń albo wykonywały je niedokładnie, gdyż wysiadały ich układy elektroniczne w obszarach wysokiej radiacji. Najpewniejszymi robotami byli więc żołnierze. Nazywano ich „zielonymi robotami" (od koloru wojskowych mundurów). Przez dach uszkodzonego reaktora przeszło trzy tysiące sześciuset żołnierzy. Spali na ziemi; opowiadają, że początkowo w namiotach rzucali na ziemię słomę. A brali ją stąd, ze stert koło reaktora.

Młodzi chłopcy. Dziś umierają, ale wiedzą, że gdyby tego nie zrobili...

Był moment, kiedy istniało niebezpieczeństwo wybuchu termojądrowego i trzeba było spuścić spod reaktora ciężką wodę, żeby nie runął. A ciężka woda

to prosty składnik paliwa jądrowego. Wyobrażacie sobie?! Dali zadanie: ten, kto wskoczy do tej ciężkiej wody i odsunie zasuwę zaworu spustowego, dostanie samochód, mieszkanie, daczę i utrzymanie rodziny do końca swych dni. Szukali ochotników. I znaleźli! Chłopcy nurkowali, wiele razy wskakiwali, aż odsunęli tę zasuwę. I dano im według rozkazu siedem tysięcy rubli. O obiecanych samochodach i mieszkaniach zapomniano.

Tak, nie dla nich nurkowali. Nie dla dobrobytu, najmniej z powodów materialnych. *(Rozchmurzył się).* Nie ma ich już. Tylko dokumenty zostały w muzeum. Fotosy rodzinne. A gdyby tego nie zrobili? Ta nasza gotowość do całopalenia... Nie mamy sobie równych.

Z kimś się o to pokłóciłem. Udowadniał mi, iż jest to związane z faktem, że życie ma u nas niską cenę. Że to azjatycki fatalizm. Człowiek, który siebie ofiarowuje, nie czuje się jak unikat, niepowtarzalna istota, od której nic większego nigdy nie będzie. Jest to więc tęsknota za rolą. Wcześniej był człowiekiem bez tekstu, statystą. Nie brał udziału w akcji, służył za tło. Aż nagle staje się główną postacią. Tęsknota za sensem. Cóż bowiem jest naszą propagandą? Ideologia! Proponują umierać. I w tym znaleźć sens. Wyróżniają. Dają rolę! Wielka cena śmierci, bo za nią jest wieczność. Tak mi udowadniał.

Nie zgodziłem się z nim! Kategorycznie! Owszem, wychowaliśmy się na żołnierzy. Tak nas uczyli. Zawsze do czegoś nas mobilizowali, żebyśmy byli gotowi na coś niemożliwego. Ojciec, kiedy chciałem pójść na uczelnię cywilną, był oburzony:

- Jestem zawodowym wojskowym, a ty chcesz chodzić w marynarce? Imienia ojca trzeba bronić.

Nie rozmawiał ze mną przez kilka miesięcy, dopóki nie złożyłem papierów na uczelni wojskowej. Był uczestnikiem wojny, już nie żyje. Na co dzień nie potrafił zrobić nic praktycznego, jak całe jego pokolenie. Nic mi po nim nie zostało: nie ma domu, samochodu, ziemi. Cóż odziedziczyłem? Oficerską teczkę polową otrzymaną przed kampanią fińską, a w niej jego wojenne ordery. No i w polietylenowej torbie trzysta listów z frontu, poczynając od czterdziestego pierwszego roku. Matka je ocaliła. To wszystko, co mi zostawił. Bezcenny kapitał!

Teraz rozumiecie, jak widzę nasze muzeum? Jest w słoiku czarnobylską ziemia. Garstka. Oto kask górniczy. Także stamtąd. Wiejski sprzęt z zony. Nie znajdziesz tu dozymetrów. Dźwięczałyby! Tu nade wszystko trzeba być prawdziwym! Bez atrap! To nam powinno się zawierzyć. Za wiele kłamstwa jest wokół Czarnobyla. Było i jest. Obrósł fundacjami, komercyjnymi strukturami.

Skoro piszesz o tym książkę, trzeba obejrzeć unikatowy materiał filmowy. Zbieramy z okruchów. Czarnobylskiej kroniki, wyobraź sobie, nie ma! Nie po-

zwolili jej nakręcić, wszystko utajnili. Jeśli komuś coś udało się zabezpieczyć, odpowiednie organy na miejscu odbierały ten materiał i zwracały uszkodzone taśmy. Nie mamy kronik z czasu, gdy ewakuowali ludzi, wywozili zwierzęta. Zakazywali filmować tragedię, filmowali heroizm! Są, owszem, czarnobylskie albumy, także wydane ostatnio, ale ile to razy kamerzystom rozbijali kamery. Żeby uczciwie opowiadać o Czarnobylu, potrzebne było męstwo, którego i dziś brak. Uwierz mi! Powinnaś zobaczyć te ocalałe kadry. Czarne jak grafit twarze pierwszych strażaków. A ich oczy? Oczy ludzi, którzy wiedzą, co odchodzi. Albo fragment z nogami kobiety, która rankiem po katastrofie szła obrabiać ogródek koło elektrowni atomowej. Szła po trawie, po rosie. Nogi przypominają sitko, całe w dziurkach do samych kolan. To trzeba zobaczyć, skoro piszesz o tym książkę.

Przychodzę do domu i nie mogę objąć małego syna. Potrzebuję wypić pięćdziesiąt-sto gramów wódki, żeby wziąć go na ręce.

Oto oddział poświęcony pilotom śmigłowców. Pułkownik Wodołażskij, bohater Rosji, pochowany na białoruskiej ziemi, we wsi Zuków Ług. Kiedy otrzymał dopuszczalną dawkę, powinien był uciec, ewakuować się, ale został i uczył jeszcze trzydzieści trzy załogi. Sam zrobił sto dwadzieścia lotów, zrzucił dwieście-trzysta ton gruzu. Cztery-pięć lotów w ciągu doby, na wysokości trzystu metrów nad reaktorem, temperatura w kabinie do sześćdziesięciu stopni. Wyobraź sobie, co działo się niżej, kiedy zrzucano worki z piachem. Radioaktywność sięgała tysiąca ośmiuset rentgenów na godzinę. Pilotom robiło się niedobrze. Żeby zrzucić dokładnie, sięgnąć celu, w ogniowy żar, wysuwali głowy z kabiny i naocznie przymierzali. Innego sposobu nie było. W czasie obrad komisji rządowej na porządku dziennym było:

- Na to trzeba by przeznaczyć dwa-trzy życia. Na to - jedno.

Pułkownik Wodołażskij zmarł. W karcie odczytu dawek, pochłoniętych nad reaktorem, lekarze zapisali... siedem berów. A było ich sześćset!

A czterystu górników, którzy dzień i noc żłobili tunel pod reaktorem? Trzeba go było wyryć, żeby zlać tam ciekły azot i zamrozić gruntową poduszkę. Tak się to nazywa w języku inżynierów. Inaczej reaktor opadłby w wody gruntowe.

Górnicy Moskwy, Kijowa, Dniepropietrowska. Nigdzie o nich nie czytałem. Nadzy, bo w temperaturze przekraczającej pięćdziesiąt stopni pchali wagoniki na czworakach. Były tam setki rentgenów.

Dziś umierają. A jeśliby tego nie dokonali? Sądzę, że są bohaterami, a nie ofiarami wojny, do której nie było niczego podobnego. Nazywa się ją awarią, katastrofą, a to była wojna. Czarnobylskie pomniki są podobne do wojennych.

Są sprawy, których przyjęło się nie rozważać, słowiańska wstydliwość. Powinnaś o tym wiedzieć. Książkę o tym piszesz. U tych, co pracowali na reaktorze albo w bezpośredniej jego bliskości, występuje jako prawidło - porażenie układu moczowo-płciowego. Podobny symptom jest u pilotów. To znane sprawy. Ale głośno się o tym nie mówi. Nie wypada.

Oprowadzałem angielskiego dziennikarza, który przygotował bardzo interesujące pytania na ten temat, nurtowała go ludzka strona problemu. Co po tym wszystkim dzieje się z człowiekiem w domu, w życiu, w sprawach intymnych? Ani jednej otwartej rozmowy nie udało mu się odbyć. Prosił, żeby zebrać pilotów śmigłowców. Chciał pogadać w męskim towarzystwie. Przyjechali, niektórzy jako emeryci w wieku trzydziestu pięciu - czterdziestu lat, jeden przybył ze złamaną nogą, ze starczym uwiądem, bo pod wpływem radiacji kości rozmiękają. Anglik zadaje im pytania:

- Jak teraz żyjecie w rodzinie, z młodymi żonami?

Piloci milczą, przyszli opowiadać, jak wypełniali po pięć lotów na dobę. A ten o żonach! O czymś takim! Zaczął ich wyławiać pojedynczo. Odpowiadali poprawnie: zdrowie normalne, państwo ich ceni, a w rodzinie miłość. Żaden się nie otworzył. Kiedy wyszli, był przytłoczony.

- Teraz rozumiesz, czemu nikt wam nie wierzy? Samych siebie oszukujecie powiedział.

Spotkanie to odbywało się w kawiarni, obsługiwały je dwie miłe kelnerki. Kiedy już zebrały ze stołów, nagle zapytał je:

- Możecie mi odpowiedzieć na kilka pytań?

I te dziewczyny wszystko mu wyjaśniły.

- Chcecie wyjść za mąż? - zapytał.

- Tak, ale nie teraz. Marzymy, by wyjść za cudzoziemca, żeby urodzić zdrowe dziecko.

- No a macie partnerów? - zaczął śmielej. - Jakże oni? Zadowalają was? Wiecie, co mam na myśli?

- Siedzieli tu z wami chłopcy - roześmiały się. - Piloci, po dwa metry wzrostu. Brzęczeli medalami. Zdatni do prezydiów, a nie do pościeli.

Sfotografował te dziewczyny, a mnie powtórzył:

- Wiesz czemu nikt wam nie wierzy? Oszukujecie samych siebie.

*

Z tym angielskim dziennikarzem pojechałem do zony. Ze sprawozdań wynika, że wokół Czarnobyla jest osiemset mogilników. Szukał fantastycznych konstrukcji inżynierskich, znalazł zwykłe jamy. Leży w nich, wyrąbany wokół reaktora na stu pięćdziesięciu hektarach, „czerwony las" (w pierwszych dwóch dniach po awarii sosny i świerki stały się czerwone). Leżą tam tysiące ton metali i stali, miękkie rury, odzież specjalna, konstrukcje betonowe. Pokazał mi

zdjęcie z angielskiej gazety. Widok z lotu ptaka: tysiące jednostek samochodowej, traktorowej i lotniczej techniki, samochody pożarowe i karetki sanitarne. Największe cmentarzysko wokół reaktora. Chciał to sfotografować - tu i teraz - po dziesięciu latach. Obiecali mu za zdjęcie wielkie pieniądze. Krążymy, krążymy, naczelnik odsyła nas do naczelnika, to nie ma formularza, to znów pozwolenia.

Miotaliśmy się tak, dopóki nie dotarło do mnie, że tego cmentarzyska nie ma, funkcjonuje już tylko w sprawozdaniach. Że dawno rozprowadzili je po bazarach. Na części zamienne po kołchozach i podwórkach. Rozkradli, wywieźli. Tego Anglik nie mógł zrozumieć. Nie wierzył! Kiedy powiedziałem mu całą prawdę, nie uwierzył!

I wtedy odkryłem istotę rzeczy: w to, co się stało, nie wierzą. W podświadomości ciągle drąży mnie myśl: - A jeśli to kłamstwo? Albo jakieś bujdy?

Ominąć tragedię - stało się powszechne. Codzienna sztampa! Czarny humor!

(Kończy z rozpaczą- Milczy).

Wszystko taszczę do muzeum. Znoszę. Ale bywa, że myślę, aby rzucić to wszystko. Uciec! No bo jak wytrzymać?!

Miałem rozmowę z młodym duchownym. Staliśmy nad świeżą mogiłą sierżanta Saszy Gonczarowa. Z tych, co byli na dachu reaktora. Śnieg, wiatr mroźnie. Duchowny odprawia panichidę[25]. Odmawia modlitwę z gołą głową.

- Czy aby nie czułeś się jak chochoł? - pytam go potem.

- Nie - odpowiedział. - W takich chwilach jestem wszechmocny. Żaden cerkiewny obrzęd nie daje mi takiej energii jak panichida.

Zapamiętałem te słowa człowieka oswojonego ze śmiercią. Nieraz pytałem cudzoziemskich dziennikarzy, co tu zjeżdżają, wielu po kilka razy:

- Dlaczego przyjeżdżacie, wręcz wpraszacie się do zony?

Głupio byłoby myśleć, że tylko dla pieniędzy, kariery.

- Podoba się nam - przyznawali. - Otrzymujemy potężny zastrzyk energii.

Nieoczekiwana odpowiedź, prawda? Dla nich, z pewnością, nasz człowiek, jego uczucia, jego świat to coś niezwykłego, hipnotycznego.

Ale dotąd nie wiem, co się im najbardziej podoba: my sami czy to, co o nas można napisać, a poprzez nas pojąć? I że wszyscy kręcimy się tu wokół śmierci?

[25] Panichida - prawosławny obrzęd modlitwy za zmarłych; tu niezbyt ściśle użyty termin, z relacji wynika bowiem, iż chodzi o pogrzeb *(pochoron),* po którym także może być odmówiona panichida; najczęściej jednak modły za zmarłych odprawiane są w cerkwi.

Czarnobyl. Innego świata tu nie będzie. Początkowo, kiedy wyrwano nam grunt spod nóg, szczerze okazywaliśmy ból, a teraz przyszło zrozumienie, że innego świata nie ma. I że nie mamy gdzie się podziać. Doznanie tragicznego osadzenia na tej czarnobylskiej ziemi jest przede wszystkim innym odczuwaniem świata. Z wojny wraca pokolenie „przetrąconych". Pamiętamy Remarque'a? A z Czarnobylem żyje pokolenie „rozstrojonych". Rozstroiliśmy się. Niezmienna staje się tylko czarnobylską utrata. Jedyny nasz kapitał. Bezcenny!

Przychodzę do domu, żona wysłuchuje mnie. A potem cicho mówi:

- Kocham cię, ale syna ci nie oddam. Nikomu go nie dam. Ani Czarnobylowi, ani Czeczenii. Nikomu!

Osiedlił się już w niej ten strach...

Siergiej Wasiliewicz Sobolew,
zastępca przewodniczącego zarządu
Republikańskiego Stowarzyszenia „Tarcza Czarnobyla"

Chór narodowy

Kławdia Grigoriewna Barsuk - żona likwidatora, Tamara Wasiliewna Biełookaja - lekarz, Jekatierina Fiodorowna Bobrowa - przesiedlona z miasta Prypeć, Andriej Burtys - dziennikarz, Iwan Naumowicz Wiergiejczuk - pediatra, Jelena Iliniczna Worońko - mieszkanka miejskiego osiedla Bragin, Swietłana Gowor - żona likwidatora, Natasza Maksimowna Gonczarenko - przesiedlona, Tamara Iliniczna Dubikowskaja - mieszkanka miejskiego osiedla Narowia, Albert Nikolajewicz Zarickij - lekarz, Aleksandra Iwanowna Krawcowa - lekarz, Jeleonora Iwanowna Ładuszenko - radiolog, Irina Juriewna Łukaszewicz - akuszerka, Antonina Maksimowna Łariwonczuk - przesiedlona, Anatolij Iwanowicz Poliszczuk - hydrometeorolog, Maria Jakowlewna Sawielewa - matka, Nina Chancewicz - Żona likwidatora.

Od dawna nie widzę szczęśliwych kobiet w ciąży. Ani szczęśliwych matek. Co tylko urodziła i ledwie przyszła do siebie, woła:

- Pokażcie je! Przynieście!

Dotyka główki, czółka, ciałka. Liczy paluszki nóżek, rączek. Upewnia się:

- Normalne urodziłam? Wszystko dobrze?

Przynoszą jej do karmienia, boi się.

- Blisko Czarnobyla mieszkam - mówi. - Jeździłam tam do mamy. Tam dopadł mnie ten czarny deszcz.

Sny opowiadają: a to urodziła cielaka z ośmioma nóżkami, a to szczeniaka z głową jeża. Straszliwe sny. Wcześniej takich nie miały. Nie słyszałam, choć jestem akuszerką od trzydziestu lat.

*

Wykładam w szkole język rosyjski i literaturę. Było to bodajże na początku czerwca, odbywały się egzaminy. Dyrektor szkoły zbiera nas i wyjaśnia:

- Jutro wszyscy mają przyjść z łopatami. Trzeba zdjąć pierwszy skażony sztych ziemi wokół szkolnych budynków, potem przyjadą żołnierze i zaasfaltują to miejsce.

- Jakie środki ochronne nam dadzą? - pytamy. - Są specjalne ubiory, maski?

- Weźcie łopaty i będziecie kopać - odpowiedział.

Tylko dwoje młodych nauczycieli wymówiło się, pozostali przyszli i kopali. Przytłoczenie, nawet w takim czasie, poczuciem spełniania powinności. To żyje w nas: być tam, gdzie ciężko, niebezpiecznie, bronić ojczyzny. Czyż z innych powodów niż takie uczyłam swoich uczniów: należy iść, rzucać się w ogień, bronić, ofiarowywać. Literatura, którą wykładałam, nie jest o życiu, jest o wojnie. Szołochow, Serafimowicz, Furmanów, Fadiejew, Boris Polewoj. Tylko dwoje młodych nauczycieli odmówiło. To już inni ludzie. Ryliśmy ziemię od rana do wieczora.

Kiedy wracamy do domu, okazuje się, iż działają miejskie sklepy, kobiety wykupują pończochy, perfumy. Mieliśmy już wojenne przeczucia. I poniekąd było zrozumiałe, kiedy nagle zaczęły powstawać kolejki po chleb, sól, zapałki. Wszyscy wzięli się do suszenia sucharów. Okazało się, iż takie zachowanie jest mi znane, choć urodziłam się po wojnie. Zaczęłam analizować swoje odczucia i przeraziłam się tym, jak bardzo szybko przestawiła się moja psychika, znajome wojenne doświadczenie okazało się nieusuwalnym obrazem. Mogłam sobie wyobrazić, jak porzucam dom, jak wyjeżdżam z dziećmi, jakie rzeczy bierzemy, co mamie napiszę. Choć wokół toczyło się jeszcze zwyczajne życie, w telewizji pokazywali komedie. Od zawsze żyliśmy w strachu, potrafimy z nim żyć, to składnik naszego życia. Nie ma w tym równych naszemu narodowi.

*

Żołnierze wchodzili do wsi i ewakuowali ludzi. Wiejskie drogi były zatłoczone techniką wojenną: transportery opancerzone, samochody ciężarowe z zielonym brezentem, czołgi. Ludzie porzucali domy z nakazu żołnierzy, działało to przygnębiająco, szczególnie na tych, co przeżyli wojnę. Wszystko porównujemy z wojną. Ale „to" było jeszcze okropniejsze. Wojnę można pojąć, a „to"?

*

Nigdzie bym nie wyjechała. Każdego dnia wracam do wspomnień, chodzę po tamtych drogach, obok tamtych domów. Było to ciche miasteczko. Niedziela. Leżę, opalam się. Nadbiega mama.

- Córeczko, Czarnobyl wybuchł, ludzie chowają się w domach, a ty w słońcu?! - woła.

Roześmiałam się. Od Czarnobyla do Narowli czterdzieści kilometrów. Wieczorem pod dom podjechało żiguli, wchodzi znajoma z mężem, ona w domowym chałacie, on w sportowym trykocie i w starych łapciach. Przez las, polnymi drogami przedarli się z Prypeci. Dróg pilnowała milicja, wojskowe posterunki, nikogo nie przepuszczali. Pierwsze, co mi wykrzyczała:

- Natychmiast poszukaj mleka i wódki! Ledwie nowe meble kupiłam, lodówkę - lamentowała. - Uszyłam futro. Wszystko zostawiłam, obwiązałam celofanem. Nocy nie przespaliśmy. Co będzie?

Mąż uspokajał, całymi dniami siedzieli przy telewizorze i czekali, kiedy będzie o Czarnobylu. Władze milczały. A kiedy odbyli w kraju pierwszomajowe święta, Gorbaczow powiedział:

- Nie niepokójcie się, towarzysze, kontrolujemy sytuację, nic strasznego, ludzie żyją tam i pracują.

*

Wszelką zwierzynę z wysiedlonych wsi gnali do nas, do rejonu, na punkty skupu. Oszalałe krowy, owce, prosięta biegały po ulicach. Kto chciał, łapał. Z rzeźni samochody z tuszami jeździły na stację w Kalinkowiczach, skąd odwozili do Moskwy. Moskwa nie przyjmowała. I te wagony, już jako mogilniki, wracały do nas. Całe eszelony. Tu je grzebali. Po nocach prześladował nas zapach gnijącego mięsa.

Czyżby tak pachniała wojna atomowa? - myślałam.

Wojna, którą pamiętałam, pachniała dymem. W pierwszych dniach dzieci wywożono nocą, żeby mniej ludzi widziało. Ukrywali nieszczęście. Naród i tak wiedział. Wynoszono na drogę bańki z mlekiem, pieczono bułki. Jak w czasie wojny. Z czym porównywać?

*

Narada w obpołkomie[26]. Wojenna sytuacja. Wszyscy czekają na wystąpienie naczelnika obrony cywilnej, bo jeśli ktoś coś wspomniał o radiacji, to tylko jakieś fragmenty z podręcznika fizyki do dziesiątej klasy. Wychodzi wreszcie na trybunę i zaczyna opowiadać o tym, o czym piszą w książkach i podręcznikach o wojnie atomowej: że dostawszy pięćdziesiąt rentgenów, żołnierz powinien opuścić bój, o tym, jak budować schrony, jak posługiwać się maskami.

[26] Obpołkom - skrót od: *Oblastnyj poluczatielnyj komitiet* (Obwodowy Komitet Przedstawicielski), odpowiednik rady wojewódzkiej.

przeciwgazowymi, o promieniu rażenia. Do skażonej strefy polecieliśmy śmigłowcem. Ekwipunek wedle instrukcji: żadnej bielizny, kombinezon z bawełny, jak u kucharza, na nim osłona z folii, rękawice, gazowa przewiązka. Obwieszeni wszelkimi przyborami. Opuszczamy się nad wsie, a tam dzieciaki kąpią się w piasku jak wróble. Niby kamyczki, witki w rtęci, bez ubrań, z gołymi pupami. A mamy rozkaz: z ludem nie komunikować się, nie szerzyć paniki. I żyję z tym do teraz.

*

W telewizji nagle zamilkły programy. Jedno z ujęć: babcia wydoiła mleko, nalała do bańki, reporter podchodzi z wojskowym dozymetrem, wodzi po babci. A w tle komentarz, że to niby dopuszczalna norma, a do reaktora dziesięć kilometrów. Pokazują rzekę Prypeć: kąpią się, opalają. W oddali widoczny reaktor i kłęby dymu nad nim. Komentarz: zachodnie rozgłośnie sieją panikę, rozpowszechniają o awarii oszczerstwa. I znowu z tym dozymetrem - a to przykładają czujniki do talerza, do czekoladki, to znów do pączków w otwartym kiosku. To było oszustwo. Dozymetry wojskowe, które znajdowały się w tym czasie na wyposażeniu armii, nie odczytywały promieniowania z powierzchni produktów, jedynie mierzyły tło. Taka ilość nieprawdopodobnych kłamstw, z którymi związano Czarnobyl, jest porównywalna tylko z wojną.

*

Oczekiwaliśmy pierwszego dziecka. Mąż chciał chłopca, ja dziewczynkę. Lekarz przekonywał:

- Trzeba zdecydować się na aborcję. Twój mąż był w Czarnobylu.

Był szoferem, w pierwszych dniach go wezwali. Woził piach. Nikomu nie wierzyłam. Dziecko urodziło się martwe. Bez dwóch paluszków. Dziewczynka. Płakałam.

- Żeby choć miała palce. Była przecież dziewczynką.

*

Nikt nie rozumiał, co się stało. Zadzwoniłam do dowództwa. Jako medycy mamy obowiązki w razie wojny, zaproponowałam pomoc. Nie pamiętam nazwiska, tylko to, że był majorem.

- Trzeba nam młodych - odpowiedział.

- Młodzi lekarze, po pierwsze, nie są przygotowani, a po drugie, są w niebezpieczeństwie, bo młody organizm silniej odczuwa działanie radiacji - próbowałam go przekonać.

- Mamy rozkaz brać młodych - brzmiała odpowiedź.

Rany u chorych zaczęły goić się źle. Pamiętam pierwszy radioaktywny deszcz. „Czarnym deszczem" nazwali go potem. Z jednej strony nic o czymś takim nie wiadomo, a z drugiej - wszak jesteśmy najlepsi, nadzwyczajni, mamy największy kraj. Mąż, człowiek z wielką wyobraźnią, inżynier, poważnie uwierzył, iż to akt terrorystyczny, wroga dywersja. Wielu tak wtedy myślało. A ja przypomniałam sobie, jak jechałam w pociągu z pewnym podróżnym, który opowiadał o budowie elektrowni atomowej w Smoleńsku: ile cementu, desek, gwoździ, piachu wypływało z obiektu do pobliskich wsi. Za grosze, za butelkę wódki. We wsiach, w zakładach występowali pracownicy rajkomów partii, jeździli, spotykali się z ludem. Ale ani jeden z nich nie był przygotowany, by odpowiedzieć na pytania, co to takiego dezaktywacja, jak chronić dzieci, jakie są współczynniki przejścia radionuklidów do artykułów spożywczych. O promieniowaniu alfa, beta i gamma, o radiobiologii, promieniowaniu jonizującym, nie mówiąc o izotopach. Były to dla nich sprawy z innego świata. Odczytywali pogadanki o heroizmie sowieckich ludzi, symbolach męstwa wojennego, poszukiwaniach zachodnich służb specjalnych. Kiedy zająknęłam się o tym na zebraniu, zagrozili, iż odbiorą legitymację partyjną.

Wiele było nie wyjaśnionych, nieoczekiwanych uwag. Moją siostrę bolało serce. Kiedy usłyszała o Czarnobylu, stwierdziła:

- Wy to przeżyjecie, a ja nie.

Umarła po kilku miesiącach. Lekarze nie mogli niczego wyjaśnić. Z ich diagnozami długo jeszcze można było żyć.

Boję się żyć na tej ziemi. Dali mi dozymetr. Po co? Upiorę bieliznę, bielusieńka - a dozymetr dźwięczy. Przygotuję jedzenie, upiekę ciasto - dźwięczy. Pościel rozłożę - dźwięczy. Po cóż mi on? Karmię dzieci i płaczę. *Czemu, matko, płaczesz?*[27] Dwoje dzieci, dwoje maleństw. Ani w żłobku, ani w przedszkolu - ciągle po szpitalach. Starsze: ni to dziewczynka, ni chłopczyk. Łysiuteńki. Chodzę z nim i do lekarzy, i do znachorów. Najmniejszy w klasie. Nie wolno mu biegać, bawić się, jeśli ktoś przypadkiem uderzy i pocieknie krew, może umrzeć. Choroba krwi, której nazwy nawet nie wypowiem. Leżę z nim w szpitalu i myślę: - Umrze.

[27] W oryginale: *‚Cziego ty, matka, płaczieszʔ,* słowa ze znanej rosyjskiej bajki ludowej *Kak bojańn duraków iskał* (Jak bojarzyn szukał głupców).

Potem zrozumiałam, że tak nie wolno myśleć. Płakałam w toalecie. Żadne matki nie płaczą w salach, ale w toaletach, łazienkach. Wracam wesoła.

- Policzki już ci poróżowiały. Wyzdrowiejesz - mówię.
- Mamusiu, zabierz mnie ze szpitala. Tutaj umrę. Wszyscy tu umierają.

Gdzie mam płakać? W toalecie? A tam kolejka takich jak ja.

*

W Radunicę, w dzień zmiłowania, puścili nas na cmentarz. Na mogiły, a zajść na swoje podwórze milicja zabrania, nie wolno. W ten sposób choć z daleka popatrzyliśmy na nasze chaty. Przeżegnaliśmy je.

Opowiem, co to takieg o nasz człowiek. Jeden przykład z „zagrożonych" rejonów. W tamtych latach sklepy zawalili hreczką, wędzonką chińską, i ludzie cieszyli się, chwalili, że niby teraz nas stąd nie wygonisz. Dobrze nam tu! Gleba została skażona nierównomiernie, w tym samym kołchozie są pola „czyste" i „brudne". Tym, co robią na „brudnych", płacą więcej i wszyscy chcą tam pracować. Odmawiają jechać na „czyste". Niedawno gościł brat z Dalekiego Wschodu.

- Wy - mówi - jesteście tu jak „czarne skrzynki". Ludzie-skrzynki.

„Czarne skrzynki" są w każdym samolocie, zapisują wszelkie informacje o locie. Myślimy, że żyjemy, rozmawiamy, chodzimy, jemy, kochamy. A my tylko zapisujemy informacje!

*

Jestem lekarzem dziecięcym. U dzieci wszystko jest inne niż u dorosłych. Nie mają na przykład pojęcia, że rak to śmierć. To wyobrażenie nie dociera do nich. Wszystko o sobie wiedzą: diagnozę, nazwy wszelkich procedur, lekarstw. Wiedzą więcej niż ich mamy. Wydaje się, że kiedy umierają, mają takie zdziwione twarze.

Lekarze mnie uprzedzili, że mąż umrze. Ma raka krwi. Zachorował, kiedy powrócił z czarnobylskiej zony. W ciągu dwu miesięcy. Z zakładu go tam wysłali. Przyszedł z nocnej zmiany.

- Jutro wyjeżdżam - oznajmił.
- Co tam będziesz robić?
- Pracować w kołchozie.

Grabili siano w piętnastokilometrowej zonie, zbierali buraki ćwikłowe, kopali ziemniaki. Powrócił, pojechał do swoich rodziców pomóc ojcu postawić piec. I tam upadł. Wezwali pogotowie, odwieźli do szpitala - śmiertelna dawka leukocytów. Wysłali do Moskwy. Wrócił stamtąd z jedną myślą:

Umrę.

Zamilkł. Przekonywałam, prosiłam, ale nie wierzył moim słowom. Wtedy, żeby uwierzył, urodziłam mu córkę. Nie opowiadałam mu o swoich snach w których to wiodą mnie na szafot, to znowu jestem cała w bieli. Przebudzę się nad ranem, popatrzę na niego.

Jakże zostanę sama? - myślę.

Nie wolno myśleć o śmierci. Odganiam takie myśli. Gdybym wiedziała, że zachoruje, zamknęłabym wszystkie drzwi i stałabym na progu. Zamknęłabym na dziesięć zamków.

*

Od dwóch już lat tułamy się z moim chłopcem po szpitalach. Nie chcę ani czytać, ani słuchać o Czarnobylu. Wszystko widziałam. Dziewczynki w salkach szpitalnych bawią się lalkami. Ich lalki zamykają oczy, umierają.

- Czemu lalki umierają? - pytam.
- Bo to nasze dzieci, a nasze dzieci nie będą żyć. Rodzą się i umrą - słyszę.

Mój Artiomka ma siedem lat, ale na oko dają mu pięć. Zamknie oczy, a ja myślę, że usnął. Zapłaczę: wszak nie widzi. A on odzywa się:

- Mamo, już umieram?

Uśnie i ledwo oddycha. Klękam na kolana przed łóżeczkiem. Artiomka, otwórz oczy. Powiedz cokolwiek. Jesteś jeszcze cieplutki - myślę sobie.

Otorzy oczy i znowu uśnie. Tak cicho, jakby umarł.

- Artiomka, otwórz oczka... - nie pozwalam mu umrzeć.

*

Niedawno świętowaliśmy Nowy Rok. Nakryliśmy wielki stół. Wszystko swoje: wędliny, masło, mięso, marynowane ogórki, tylko chleb ze sklepu. Nawet wódka swojska, pędzona. Swoje, czyli, jak śmieją się u nas, czarnobylskie. Z cezem i strontem na przekąskę. A skąd coś dostać? Sklepy we wsiach świecą pustymi półkami, a nawet jeśli coś się pojawi, to z naszymi pensjami i emeryturami nie dostaniesz.

Przyszli do nas goście, nasi dobrzy sąsiedzi, młodzi. Nauczyciel i kołchozowy mechanik z żoną. Wypiliśmy, zakąsiliśmy i zaczęliśmy pieśni. Nie umawiając się, zaczęliśmy od piosenek rewolucyjnych, potem wojennych. *Jutro maluje niewinnym blaskiem ściany starego Kremla* [28], moją ulubioną. I potoczył się wspaniały wieczór, jak kiedyś.

Napisałam o tym do syna. Uczy się w stolicy. Student. Otrzymuję odpowiedź:

- Mamo, wyobraziłem sobie ten nierozumny obrazek: ziemia czarnobylską, nasza chata, błyszczy noworoczna choinka, a ludzie za stołem śpiewają pieśni rewolucyjne... Jakby nie było przedtem ani Gułagu, ani Czarnobyla - pisał.

Zrobiło mi się smutno. Nie za siebie. Za syna. Nigdy tu nie wróci.

[28] W oryginale: *Utro krasit nieinym świętom stieny driewniego Kremla,* początek sowieckiej pieśni patriotycznej pt. *Moskwa Majskaja.*

ROZDZIAŁ III

Zachwycenie smutkiem

Monolog o tym, czego nie wiemy: śmierć może być tak piękna

W tamte dni najważniejsze było pytanie: kto winien? Potem, kiedy więcej wiedzieliśmy, zaczęliśmy myśleć, co dalej. Jak ocaleć? Oswoiwszy się z myślą, że to nie na rok, dwa, ale na wiele pokoleń, cofamy się myślami - dzień po dniu.

„To" zdarzyło się w nocy z piątku na sobotę. Rankiem nikt niczego nie podejrzewał. Wysłałam do szkoły syna, mąż wyszedł do fryzjera. Gotowałam obiad. Mąż wrócił szybko ze słowami:

- W elektrowni atomowej jakiś pożar, jest nakaz, aby włączyć radio.

Zapomniałam powiedzieć, że mieszkaliśmy w Prypeci, naprzeciw reaktora. Do tej pory mam przed oczyma jasnomalinowy odblask, reaktor świecił się jakoś tak z wnętrza. To nie był zwyczajny pożar, lecz jakieś takie jarzenie. Nic podobnego nie widziałam nawet w kinie. Wieczorem ludzie wylegli na balkony, a kto ich nie miał, szedł do przyjaciół i znajomych. Mieszkaliśmy na ósmym piętrze, widoczność znakomita. Wynosili dzieci, brali je na ręce.

- Patrz! Zapamiętaj! - mówili.

I to ludzie, którzy tam pracowali. Inżynierowie, robotnicy, fizycy. Stali w czarnym pyle. Rozmawiali, oddychali, sycili się. Niektórzy dziesiątki kilometrów jechali samochodami, rowerami, żeby popatrzeć.

Nie wiedzieliśmy, że śmierć może być tak piękna.

Nie powiedziałabym jednak, że była pozbawiona zapachu. Nie była to woń wiosenna, jesienna, nie był to też zapach ziemi, ale coś całkiem innego. Piekło w gardle, w oczach, łzy same ciekły. Nie spałam całą noc i słyszałam, jak nad nami chodzili sąsiedzi, też nie spali. Coś przenosili, stukali, może się pakowali. Na ból głowy wzięłam cytramon.

Rano, kiedy się rozwidniało, spojrzałam wokół. Nie teraz to wymyśliłam, nie potem, ale wtedy przeczułam: coś tu nie tak, coś się zmieniło. Całkowicie. O ósmej rano po ulicach chodzili wojskowi w maskach przeciwgazowych. Kiedyśmy zobaczyli na mieście żołnierzy i wojenną technikę, nie zaniepokoiło nas to, a nawet uspokoiło. Skoro armia przyszła z pomocą, wszystko będzie dobrze. W głowie nie mieściło się jeszcze, iż pokojowy atom może zabijać. I że człowiek staje się bezsilny wobec praw fizyki.

W radiu przez cały dzień ogłaszali, żeby przygotowywać się do ewakuacji: wywiozą na trzy dni, a w tym czasie zmyją, przewietrzą. Dzieciom jednak nakazali wziąć z sobą podręczniki. Mąż schował do portfela dokumenty i ślubne fotografie. A jedyne, co ja chwyciłam, to chustkę na wypadek złej pogody.

Już w pierwszych dniach poczuliśmy, że jesteśmy czarnobylcami, teraz już odrębnym ludem. Autobus, którym nas wieźli, zatrzymał się na noc w jakiejś wsi. Ludzie spali na podłodze w szkole, w klubie. Nie sposób się wcisnąć. Pewna kobieta zapraszała nas do siebie:

- Chodźcie, pościelę wam na łóżku. Szkoda waszego chłopca.

A druga, co stała przy niej, odganiała ją od nas:

- Straciłaś rozum! To zarażeni.

Kiedyśmy już przesiedlili się do Mohylewa i syn poszedł do szkoły, pierwszego dnia wrócił do domu z płaczem. Posadzili go razem z dziewczynką, a ta nie chce siedzieć z napromieniowanym, bo od siedzenia z nim można umrzeć. Uczył się w czwartej klasie i tak się złożyło, że w tej klasie był jedynym z Czarnobyla. Wszyscy się go bali, nazywali „latarką". Martwiłam się, że tak szybko kończy się jego dzieciństwo.

Gdy wyjeżdżaliśmy z Prypeci, w stronę miasta ciągnęły wojskowe kolumny ze sprzętem ochronnym. Zrobiło się strasznie. Już wtedy nie opuszczało mnie osobiste odczucie, że wszystko to dzieje się nie tylko ze mną, ale i z innymi. Płakałam, szukałam jedzenia, noclegu, obejmowałam i uspokajałam syna, ale wewnątrz nurtowała mnie nawet nie myśl, lecz stałe odczucie: oto jestem obserwatorem.

W Kijowie dano nam pierwsze pieniądze, ale nic nie można było za nie dostać: setki tysięcy ludzi ruszyły się z miejsca, wszystko wykupili, zjedli. Wielu cierpiało na cukrzycę, miało zawały, zwłaszcza na dworcach, w autobusach. Wybawiła mnie mama. W ciągu długiego życia nieraz była pozbawiona domu, zdobytego majątku. Pierwszy raz represjonowali ją w latach trzydziestych, zabrali wszystko: krowę, konia, dom. Za drugim razem - pożar, tylko mnie z ognia wyniosła.

- Trzeba żyć - pocieszała się. - Najważniejsze, że żyjemy.

Wspominałam, że siedzimy w autobusie, płaczemy. Mężczyzna na pierwszym siedzeniu gromko ruga żonę:

- Co za idiotka! Wszyscy chociaż jakieś rzeczy wzięli, a my obłożyliśmy się trzylitrowymi słoikami.

Żona uspokajała go, że po drodze odda te puste słoiki matce na marynaty. Leżały przy nich też stulitrowe bańki, przez całą drogę natykaliśmy się na nie.

Śpiewam w chórze cerkiewnym. Ewangelię czytam. Chodzę do cerkwi, bo tylko tam mówią o życiu wiecznym. Pocieszają człowieka. Nigdzie więcej takich słów nie usłyszałam, a tak chciałam je słyszeć.

Często śni mi się sen, jak idę z synem po słonecznej Prypeci. Teraz to miasto-widmo. Idziemy i przyglądamy się różom. W Prypeci było wiele róż, wielkie klomby z różami. Byłam taka młoda. Syn maleńki. Zakochana.

A cały ten strach zapomniałam. Jakbym była tylko obserwatorem.

Nadieida Pietrowna Wyzowskaja,
wysiedlona z miasta Prypeć

Monolog o tym, jak łatwo stać się ziemią

Starałem się zapomnieć o tych dniach. Wiele było nowych odczuć. Strach. Wyrwałem się w nie zbadane, jak na Marsa. Jestem z Kurska, w sześćdziesiątym dziewiątym roku wybudowali u nas elektrownię atomową. W mieście Kurczatow. Z Kurska jeździliśmy tam na zakupy. Po kiełbasę. Atomowców[1] zaopatrywali wedle wyższej kategorii. Zapamiętałem wielki staw, w którym łowiliśmy ryby. Niedaleko od reaktora. Po Czarnobylu często o tym wspominam.

Było to więc tak: wręczają mi wezwanie i ja, jako człowiek zdyscyplinowany, tego samego dnia zjawiam się w komendanturze wojskowej. Dowódca wyznacza mi „zadanie":

- Ani razu - powiada - nie byłeś z nami na ćwiczeniach. A nam potrzebni chemicy. Nie chciałbyś do obozu pod Mińskiem na dwadzieścia pięć dni?

Dlaczego by nie odetchnąć od rodziny, od pracy? - pomyślałem. - Pochodzę sobie po świeżym powietrzu.

Dwudziestego drugiego lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku z rzeczami, menażką i szczoteczką do zębów o jedenastej przybyłem do punktu zbornego. Zdziwiło mnie, że trochę nas wielu jak na czas pokoju. Zamajaczyły jakieś wspomnienia z filmów wojennych. Z tego wynikało, że na dwudziestego drugiego lipca przypadł początek wojny. To zbierać się każą, to rozejść. I tak do wieczora. Wepchnęli do autobusów, kiedy zaczynało ciemnieć.

[1] Atomowcy - w oryginale: *atomszczziki* - na terenie byłego ZSRR potoczna nazwa fizyków jądrowych oraz pracowników elektrowni atomowych.

- Kto wziął alkohol, wypić - brzmi komenda. - Nocą wsiądziemy do pociągu, a rano będziemy w jednostce. Macie wyjść czyści jak ogóreczki i bez zbędnego bagażu.

Zrozumieliśmy. Piliśmy całą noc.

Rankiem odnaleźliśmy w lesie swoją jednostkę. Zebrali nas i wyczytują wedle alfabetu. Odebranie specjalnej odzieży. Dali jeden komplet, drugi, trzeci, no, myślę, poważne zadanie. A do tego dają szynel, czapkę, materac, poduszkę - wszystko na zimę. A na dworze - lato. Obiecali, że wypuszczą za dwadzieścia pięć dni.

- Cóż to, chłopaki - śmiał się kapitan, co nas wiózł. - Dwadzieścia pięć dni?! Zapadniecie w Czarnobyl na pół roku.

Nieporozumienie. Agresja. Więc dawaj nas ugadywać: komu wypadnie odległość dwudziestu kilometrów - podwójna gaża, komu dziesięć - potrójna, kto przy samym reaktorze - pomnożyć przez sześć. Jeden zaczyna liczyć, iż za sześć miesięcy wyjedzie do domu swoim samochodem, inny chciałby uciec, ale wojenna dyscyplina. Cóż to takiego radiacja? Nikt nie słyszał. Akurat przed „tym" przeszedłem kurs obrony cywilnej, przekazali nam informację sprzed trzydziestu lat: pięćdziesiąt rentgenów - dawka śmiertelna. Uczyli, jak padać, aby fala uderzeniowa przeszła nad tobą, nie poraziła. Promieniowanie jonizujące, promieniowanie termiczne. A o tym, co to radioaktywne skażenie terenu - najbardziej przerażający czynnik - ani słowa. I ci oficerowie kadrowi, którzy wieźli nas do Czarnobyla, nie tyle wyobrażali sobie, ile wiedzieli: wódki trzeba najwięcej, pomaga na radiację. Sześć dni staliśmy pod Mińskiem, sześć dni piliśmy. Kolekcjonowałem etykietki butelek z alkoholem. Początkowo piliśmy wódkę, potem, patrzę, jakieś obce napitki: nitchinol[2] i różne inne szkła. Ciekawiło to mnie jako chemika. Po nitchinolu nogi jak z waty, ale głowa trzeźwa, dajesz sobie komendę „powstań!" i padasz na ziemię.

Było to więc tak: jestem inżynierem chemikiem, kandydatem nauk; gdy mnie wezwali, pełniłem funkcję kierownika laboratorium wielkiego zakładu produkcyjnego. Jak mnie wykorzystywali? Dali do ręki łopatę, w praktyce był to jedyny mój instrument. Z tego urodził się aforyzm: na atom - z łopatą. Środki ochronne: pochłaniacze, maski przeciwgazowe, nikt się nimi nie posługiwał, bo upał był do trzydziestu stopni, nałożysz - udusisz się. Rozpisali jak uzupełniającą amunicję i zapomnieli. Jeszcze jedna kreska.

Z autobusów przesiedliśmy się do pociągu, siedzących miejsc w wagonie czterdzieści pięć, a nas siedemdziesięciu. Spaliśmy według kolejki.

[2] Nitchinol - najprawdopodobniej skażony alkohol.

Coś nagle mi się przypomniało. Cóż to takiego - Czarnobyl? Technika bojowa i żołnierze. Myjące posterunki. Wojenna sytuacja. Rozmieścili nas w namiotach, po dziesięciu ludzi. Ktoś zostawił w domu dzieci, ktoś rodzącą żonę, ktoś nie miał mieszkania. Nikt nie narzekał. Trzeba to trzeba. Ojczyzna wezwała, ojczyzna wiedziała. Taki nasz naród.

Wokół namiotów góry puszek po konserwach. Mount Everesty. Gdzieś tam chroniony w wojskowych magazynach zapas. Na wypadek wojny. Puszki po tuszonce, kaszy perłowej. Raj dla kotów, a tych tu jak much. Wysiedlone wsie. Furtka zaskrzypi od wiatru, natychmiast odwracasz się: wyglądasz człowieka. A zamiast niego wychodzi kot.

Zdejmowaliśmy skażony pierwszy sztych ziemi, nasypywaliśmy na ciężarówki i wywozili na cmentarzyska. Sądziłem, że cmentarzysko to jakaś wymyślna inżynierska koncepcja, a to zwyczajny kurhan. Ziemię zrywaliśmy wielkimi rulonami. Jak dywan. Zielona darń z trawą, kwiatami, korzeniami. Z owadami, pająkami, robakami. Praca dla wariatów. Trzeba by przesiać całą tę glebę, by wyjąć z niej wszystkie stworzenia. Gdybyśmy nie pili po kryjomu, każdej nocy, wątpię, czy wytrzymalibyśmy. Psychika by nie wytrzymała. Setki kilometrów obdartej ziemi, bezpłodnej. Domy, saraje[3], drzewa, szosy, przedszkola, studnie zostawały jak nagie.

Rankiem trzeba się ogolić, boisz się spojrzeć w lustro, popatrzyć sobie w oczy. Bo różne myśli się pojawiały. Trudno sobie wyobrazić, żeby wróciło tu życie ludzkie. Ale zmienialiśmy szyfer, myliśmy dachy. To, że odwalamy bezsensowną robotę, rozumieli wszyscy, tysiące ludzi. Ale wstawaliśmy każdego ranka i od nowa. Niepiśmienny dziad zagada:

- Porzućcie, synowie, durną robotę, usiądźcie za stołem, odpocznijcie z nami.

Wiatr wieje. Chmury płyną. Reaktor nie zamknięty. Zdjęliśmy sztych, za tydzień wracamy, można zaczynać od nowa. A zdejmować nie ma już czego. Piach się sypie. Sens zrozumiałem pewnego razu, kiedy ze śmigłowców rozpylali specjalny roztwór, żeby zrobiła się polimerowa błonka, nie pozwalająca przemieszczać się naruszonemu gruntowi. Było to logiczne, ale nadal kopaliśmy i kopaliśmy.

Wsie były już opuszczone, choć w niektórych zostawali starcy. Zajść do zwyczajnej chaty i siąść odpocząć. Taki rytuał. Pół godziny normalnego ludzkiego życia. Ale nie wolno tam niczego jeść. Skażone. A tak chciało się posiedzieć przy stole. W starej chacie.

[3] Saraje - zabudowania gospodarcze wokół domu na Białorusi, gdzie trzyma się bydło, świnie, drób itp., nierzadkie i w miastach.

Zostały po nas tylko kurhany. Potem wprawdzie powinni je obłożyć betonowymi płytami, ogrodzić szczelną powłoką. Zostawiliśmy tam spychacze, łaziki, dźwigi, na których pracowaliśmy, bo metal ma szczególną właściwość zbierania i wchłaniania promieniowania. Opowiadają, że wszystko to potem gdzieś zniknęło. Rozkradli. Wierzę, u nas wszystko jest możliwe.

Pewnego razu panika: dozymetryści zbadali i okazało się, że stołówka jest wybudowana na miejscu, gdzie radiacja jest silniejsza niż tam, gdzie jeździliśmy pracować. A byliśmy już tu dwa miesiące. Taki jest nasz naród. Słupy, na których położono deski na wysokości piersi, nazywało się stołówką. Tam jedliśmy. Myliśmy się obok. Toaleta - długa transzeja w gołym polu. W rękach łopata. I przed nami reaktor.

Po dwóch miesiącach zaczęliśmy cokolwiek rozumieć. Więc dawaj wypytywać:

- Nie jesteśmy straceńcami, pobyliśmy dwa miesiące, starczy. Kiedy nas zmienicie?

Generał major Antoszkim miał z nami pogawędkę, oznajmił otwarcie:

- Niezręcznie was zmieniać. Otrzymaliście trzy komplety odzieży. Nabraliście nawyków. Zmieniać was teraz to droga rzecz i kłopotliwa.

I stara gadka, żeśmy bohaterami.

Raz na tydzień tym, którzy dobrze kopali ziemię, przed szeregiem wręczali dyplom. Wspaniały grabarz Związku Sowieckiego. Coś bezrozumnie okropnego!

Opustoszałe wioski. Żyją kury i koty. Zajdziesz do saraju, pełno jaj. Żołnierze - prawie dzieci. Kurę złapią - ognisko, butla samogonu.

Każdego dnia wypijaliśmy w namiocie trzylitrową butelkę samogonu. Ten w szachy gra, ten brzdąka na gitarze. Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego. Jeden napije się - i do łóżka, drugi ma ochotę krzyczeć. Dwóch pijanych siadło za kierownicę. Rozbili się. Przywieźli ich na platformie, wydostali ze zgniecionego żelastwa.

Broniłem się tym, że pisałem do domu długie listy i prowadziłem dziennik. Naszedł mnie naczelnik oddziału politycznego, zaczął wypytywać: gdzie przechowuję, co piszę? Namawiał sąsiada, żeby mnie śledził.

- Co skrobiesz? - spytał mnie sąsiad.

- Kandydacką obroniłem, piszę doktorską.

- I tak przekażę pułkownikowi, a ty to dzieło schowaj. - Uśmiechnął się znacząco.

Dobrzy byli chłopcy. Ani jednego malkontenta, tchórza. Uwierzcie: nikt nigdy nas nie zwycięży. Nigdy!

Oficerowie nie wychodzili z namiotów. Wałęsali się w domowych kapciach.

Pili. Pluję na nich! Kopaliśmy, żeby mogli dostać na pagony nowe gwiazdki. Spluwam! Taki z nas naród.

Dozymetryści byli tam bogami! Wszyscy przypochlebiali się im.

- No, synku, jaką mam radiację? - pytali.

Pewien przemyślny żołnierz zorientował się w tym, wziął zwyczajną pałkę, namotał na niej powłokę. Postukał po pewnej chacie i wodzi tą pałką po ścianie.

- I co tam, synku? - pyta babcia.
- Tajemnica wojskowa, babciu.
- Powiedz, synku. Postawię ci szklankę samogonu.
- No, to dajcie!

Wypił.

- Wszystko w normie, babciu.

I poszedł dalej.

Gdzieś tak w połowie służby w końcu wydali nam dozymetry, takie maleńkie skrzyneczki, wewnątrz kryształ. Niektórzy zaczęli sobie wyobrażać: trzeba go rankiem odwieźć na cmentarzysko i zostawić, a pod koniec dnia zabrać. Im więcej radiacji, tym większy dadzą urlop. Albo więcej zapłacą. Inny na bucie umocował, żeby bliżej ziemi. Teatr absurdu. Te czujniki nie były naładowane, żeby mogły zacząć odczytywać, trzeba je było naładować wstępną dawką radiacji. Znaczy, te błyskotki, te wszystkie cacka dali dla mydlenia oczu. Psychoterapia. W gruncie rzeczy okazały się krzemowymi przyrządami, co walały się na składach od pięćdziesięciu lat. Na karcie wojskowej w końcu każdemu wpisali jednakową cyfrę: średnią dawkę promieniowania mnożyli przez liczbę dni pobytu. Zmierzyli średnią dawkę w namiotach, gdzie żyliśmy.

Ni to kawał, ni rzeczywistość. Dzwoni żołnierz do ukochanej.

- Co ty tam robisz? - niepokoi się dziewczyna.
- Tylko co wylazłem spod reaktora - zaczął chwalić się chłopak. - Zdążyłem umyć ręce...

W słuchawce zakłócenia, rozmowa przerwana. KGB słyszy.

Dwie godziny na odpoczynek. Drałujesz pod krzaczek, bo wiśnie już dojrzały, wielkie, słodkie, zerwiesz i do ust. I morwy, pierwszy raz je widziałem.

Kiedy nie było roboty, prowadzili nas na marsze. Oglądaliśmy indyjskie filmy o miłości. Do trzeciej, czwartej nad ranem. Kucharz prześpi, kasza surowa. Przywozili gazety. Pisali w nich, że jesteśmy bohaterami! Ochotnikami. Zamieszczali fotografie. Spotkać by tego fotografa!

Niedaleko kwaterowały jednostki międzynarodowe. Tatarzy z Kazania. Widziałem ich samosąd. Gonią przed szeregiem żołnierza, kopią go. Łaził po chałupach, plądrował, torbę barachła znaleźli. Byli Litwini. Po miesiącu zbuntowali się i zażądali powrotu do domu.

Kiedyś wydano rozkaz specjalny: jak najszybciej wymyć dom w pustej wsi.

- Dlaczego?
- Jutro odbędzie się tam wesele - brzmi odpowiedź.

Ze szlauchów obmyliśmy dach, drzewa, zeskrobaliśmy ziemię. Skosiliśmy łęciny ziemniaczane, ogród, trawę na podwórku. Wokoło *pustać*. Nazajutrz przywieźli państwa młodych. Przyjechał autobus z gośćmi, z muzyką. Prawdziwi, nie filmowi, młodzi. Mieszkali już gdzie indziej, przesiedlili się, ale namówili ich do przyjazdu tu, żeby filmować dla historii. Działała propaganda. Fabryka snów. Nawet tu broniła naszych mitów: wszędzie przeżyjemy, nawet na martwej ziemi.

Przed samym odjazdem wezwał mnie komendant.

- Coś tam wypisywał?
- Listy do młodej żony - odpowiedziałem.
- Popatrz tu... - Pokazał rozkaz o tajemnicy.

Cóż zostało w pamięci o tamtych dniach? Cień bezwiedzy. Kopanina. Gdzieś w dzienniku jest zapisane, co tam zrozumiałem. W tamte pierwsze dni. Pojąłem, że łatwo stać się ziemią...

Iwan Nikołajewicz Żmychow,
inżynier chemik

Monolog o symbolach wielkiego kraju

Już w końcu maja, jakoś miesiąc po awarii, zaczęły do nas nadchodzić do sprawdzenia produkty z trzydziestokilometrowej strefy. Instytut działał przez całą dobę. Jak w czasie wojny. W całej republice tylko my w tym momencie mieliśmy profesjonalną, specjalistyczną aparaturę. Przywozili wnętrzności zwierząt domowych i leśnych, sprawdzali mleko. Po pierwszych próbach stało się jasne, że nadchodzi do nas nie mięso, lecz odpady radioaktywne. W kołchozach paśli stada w sposób wartowniczy, pasterze przyjeżdżali i wyjeżdżali, dojarki przywozili tylko na dojenie. Wypełniali plan dla mleczarń. Sprawdziliśmy: nie mleko, lecz odpady radioaktywne. Suchy proszek mleczny i bańki zagęszczonego i skondensowanego mleka rogaczewskiej mleczarni długo przerabialiśmy na zajęciach jako wzorcowe źródło. A w tym czasie sprzedawano je w sklepach. Kiedy ludzie przeczytali na etykietkach, że mleko z Rogaczewa - nie brali go, zalegało w magazynach, wkrótce pojawiły się bańki bez etykiet. Myślę, iż powód był taki, że nie starczyło wyobraźni - okłamywali ludzi. Państwo oszukiwało.

Pierwsza wyprawa do zony: w lesie tło pięć-sześć razy wyższe niż w polu czy na drodze. Wszędzie wysokie dawki. Pracują traktory, wieśniacy kopią w swoich ogrodach. W niektórych wsiach zmierzyliśmy tarczycę u dorosłych i dzieci: od stu do tysiąca razy bardziej napromieniowana niż dopuszcza norma. Była z nami w grupie kobieta, radiolog. Dostała histerii, kiedy zobaczyła, że dzieci siedzą w piachu, bawią się. Sprawdziliśmy mleko u kobiet karmiących - radioaktywne. Działają sklepy i, jak to na wsi, artykuły przemysłowe i żywność razem: ubrania, płaszcze, a obok kiełbasa, margaryna. Leży to na wierzchu, nawet nie przykryte celofanem. Bierzemy kiełbasę, jajko, robimy zdjęcie rentgenowskie: to nie żywność, a odpady radioaktywne.

Zapytujemy zatem: jak żyć, co robić? Odpowiedzieli:

- Prowadźcie pomiary. Patrzcie w telewizor.

A w telewizji Gorbaczow uspokaja:

- Podjęto niezbędne środki.

Wierzyłem. Ja, inżynier z dwudziestoletnim stażem, dobrze obznajomiony z prawami fizyki. Wiedziałem wszak, iż z tych miejsc powinno ujść wszelakie stworzenie. Choćby na jakiś czas. Aleśmy w dobrej wierze robili pomiary i patrzyli w telewizor. Przyzwyczailiśmy się wierzyć. Jestem z powojennej generacji, co wyrosła w tej wierze. Skąd ta wiara? Zwyciężyliśmy w tak straszliwej wojnie, że cały świat się nam kłaniał. Stąd się to brało! Na skałach w Kordylierach wycięto wszak imię Stalina! Czyli co? Symbol. Symbol wielkiego kraju.

Oto odpowiedź na pytanie: czemuśmy wiedzieli i milczeli? Dlaczego nie wyszedłem na plac, aby krzyczeć? Referowaliśmy, sporządzaliśmy wyjaśniające mapy. A milczeliśmy i bez słowa sprzeciwu poddawaliśmy się nakazom z powodu dyscypliny partyjnej.

Byłem komunistą. Nie pamiętam, by ktokolwiek z naszych pracowników wymawiał się od delegacji do zony. Nie ze strachu zaufaliśmy legitymacji partyjnej, ale z wiary. Przede wszystkim wiara, iż żyjemy pięknie i sprawiedliwie, a człowiek jest u nas ponad wszystkim, stanowi miarę wszechrzeczy.

Tracenie tej wiary potem dla licznych kończyło się zawałem albo samobójstwem. Kula w serce, jak u profesora Legasowa[4]. Bo kiedy traci się wiarę i zostaje bez niej, nie jest się już uczestnikiem, lecz wspólnikiem, nie ma się usprawiedliwienia. Tak to rozumiem.

Oto symptom. W każdej elektrowni atomowej w byłym Związku leżał w sejfie plan likwidacji awarii. Typowy plan. Tajny. Bez takiego planu nie można było otrzymać zezwolenia na uruchomienie elektrowni. Na wiele lat przed awarią opracowali go dosłownie na przykładzie elektrowni czarnobylskiej: co i jak robić? Kto odpowiada? Gdzie się znajdzie? Do najmniejszych drobiazgów.

I oto tam, w tej właśnie elektrowni, następuje katastrofa. Czyżby zbieg okoliczności? Mistyka?

Gdybym był wierzący... Kiedy chcesz znaleźć sens, stajesz się człowiekiem religijnym. A ja jestem inżynierem. Człowiekiem innej wiary. Mam inne symbole.

Marat Filippowicz Kochanów,
były główny inżynier Instytutu Fizyki Jądrowej
Akademii Nauk Białorusi

Monolog o tym, że w życiu najstraszniejsze staje się cicho i naturalnie

Gdzieś coś się stało. Nawet nazwy nie dosłyszałam, gdzieś daleko od naszego Mohylewa. Przybiegł ze szkoły brat: wszystkim dzieciom rozdają jakieś tabletki. Widocznie naprawdę coś się stało. Wspaniale spędziliśmy świąteczny dzień 1 Maja. Wróciliśmy do domu późnym wieczorem, w moim pokoju okno pchnięte wiatrem. To przypomniało mi się później.

Pracowałam w inspekcji ochrony przyrody. Czekali tam na jakiekolwiek rozporządzenia, ale nie dostali ich. Tam w zasadzie nie było profesjonalistów. W kierownictwie pułkownicy w odstawce, byli aparatczycy, emeryci albo niewygodni. W innym miejscu podpadł, dali go do nas. Siedzą, szeleszczą świstkami. Zaszemrali, rozgadali się po wystąpieniu w Moskwie naszego białoruskiego pisarza Alesia Adamowicza[5], który zaczął bić we wszystkie dzwony. Jakże go nienawidzili! Coś okropnego. Tu mieszkają ich dzieci i wnuki, a ten pisarz krzyczy na cały świat: ratujcie!!! Wydawałoby się, że winien zadziałać

[4] Waleryj Legasow - pierwszy zastępca dyrektora Instytutu Energetyki Atomowej im. I. Kurczatowa, w związku z pełnieniem przez dyrektora instytutu, Anatolija Aleksandrowa, funkcji prezesa AN ZSRR, faktyczny zarządca naukowy (i nie tylko) sowieckiego „imperium atomowego". Wszedł w skład „czarnobylskiej" komisji rządowej i aktywnie w ZSRR oraz na świecie bronił dokonań sowieckiej fizyki jądrowej; atakowany w czasie zaczynającej się *pierestrojki,* popełnił samobójstwo dokładnie w pierwszą rocznicę wybuchu.

[5] Aleś Adamowicz (1924-1996) - pisarz białoruski, jako jeden z pierwszych zaalarmował opinię publiczną o katastrofie w Czarnobylu i głośno domagał się ujawnienia przyczyn i rozmiarów katastrofy.

instynkt samozachowawczy. A na zebraniach partyjnych - wszyscy o pismakach. Włażą w nie swoje sprawy! A to się rozpuścili! Obowiązuje instrukcja! Subordynacja! Co on tam wie? Nie jest fizykiem! Jest KC, jest sekretarz generalny! Wtedy, być może, pierwszy raz zrozumiałam, co to takiego trzydziesty siódmy rok.

W tamtym czasie moje wyobrażenie o elektrowni atomowej było przede wszystkim ideologiczne. W szkole, na studiach uczyli nas, że to bajkowe „fabryki energii z niczego", gdzie siedzą ludzie w białych chałatach i przyciskają guziki. Czarnobyl wybuchł na takiej wiedzy.

Na dodatek żadnych informacji. Góry papierów z nadrukiem „ściśle tajne", „utajnić informacje o awarii", „utajnić informacje o rezultatach leczenia", „utajnić informacje o stopniu skażenia radioaktywnego personelu uczestniczącego w likwidacji wybuchu".

Chodziły tylko pogłoski. Ktoś przeczytał w gazetach, ktoś słyszał, komuś powiedzieli, ktoś słuchał zachodnich rozgłośni. Tylko one w tamtym czasie informowały, jakie brać tabletki, jak je zażywać. Ale najczęstszą reakcją było: wrogowie szerzą zło, u nas wszystko cacy. Dziewiątego maja weterani udadzą się na paradę. Nawet ci, którzy gasili reaktor, jak się potem okazało, także żyli wśród pogłosek. Okazuje się, że bezpiecznie brać rękami grafit. Okazuje się...

Skądś tam pojawiła się w mieście wariatka. Chodziła po bazarze i mówiła:

- Widziałam radiację. Jest taka siniuteńka, przelewa się.

Ludzie przestali kupować na rynku mleko, twaróg. Stoi babcia z mlekiem, nikt go od niej nie bierze.

- Nie bójcie się - przekonuje - nie wypędzam krowy na pastwisko, sama jej trawę przynoszę.

Wyjedziesz za miasto, jakieś cudactwo widnieje w oddali: to pasie się krowa obwiązana celofanem, a za nią babcia także w celofanie. Śmiać się czy płakać?

Zaczęli nas wysyłać na zwiady. Mnie wyprawili do leśnego kołchozu. Leśniczowie nie zmniejszyli dostaw drewna, jaki był plan, taki i został. Włączyli na składzie urządzenie, wskazówki pokazują czort wie co. Przy deskach prawie że normalnie, a przed rzędem ze zrobionymi miotłami przekracza czerwoną kreskę.

- Skąd te miotły?

- Z Krasnopola[6].

Jak się potem okazało, najbardziej skażony rejon w naszym obwodzie mohylewskim.

- Ostatnia partia została. Wszystkie już wysłaliśmy.

I jak je teraz odnaleźć w różnych miastach?

[6] Krasnopolie - miasto rejonowe na Mohylewszczyźnie, rejon skażony.

Czegóż jeszcze wtedy doświadczyłam po raz pierwszy? Nowego, nieoswojonego uczucia, że każdy z nas ma swoje życie, że dotąd było ono jakby niepotrzebne. A tu naraz ludzie zaczęli myśleć: co jedzą, czym karmią dzieci, co bezpieczne dla zdrowia, a co nie, wyjeżdżać w inne miejsce czy nie. Każdy musiał podjąć decyzję. A przywykli żyć całą wsią, społecznością, zakładem, kołchozem. Byliśmy ludźmi sowieckimi. Stadnymi. Byłam człowiekiem sowieckim. Bardzo. Studiowałam, każdego lata jeździłam z komoddziałem. To był ruch młodzieżowy - studenckie komunistyczne oddziały. Pracowaliśmy, a pieniądze przeznaczaliśmy dla jakiejkolwiek latynoamerykańkiej partii komunistycznej. Nasz oddział dla urugwajskiej.

Zmieniliśmy się. Wszystko się zmieniło. Potrzebny jest wielki wysiłek, żeby to zrozumieć. I do tego ta nieumiejętność wypowiadania się.

Jestem biologiem. Praca dyplomowa o zachowaniu się os. Siedziałam dwa miesiące na bezludnej wyspie. Miałam tam swoje gniazdo os. Po tygodniu przyglądania się mi przyjęły mnie do swojej rodziny. Bliżej niż na trzy metry nikogo nie dopuszczały, a mnie na dziesięć centymetrów już po tygodniu. Dokarmiałam je z zapałki syropem, wprost do gniazda.

- Nie ruszaj mrowiska, to dobra forma cudzego życia - ulubione powiedzonko naszego wykładowcy.

Gniazdo os jest związane z całym lasem, i ja stopniowo także staję się częścią ich pejzażu. Podbiega myszka i sadowi się na kraju moich adidasów, dzika, leśna, ale już przyjmuje mnie jako część pejzażu, wczoraj siedziałam, dziś siedzę, jutro będę siedzieć.

Na wystawie dziecięcych rysunków o Czarnobylu: po czarnym wiosennym polu brodzi bocian. I podpis: „Bocianowi nikt nic nie powiedział". Takie są moje odczucia.

A tamta praca? Jeździliśmy po obwodzie, pobieraliśmy próbki wody, ziemi i odwoziliśmy do Mińska. Dziewczyny burczały:

- Wozimy gorące pierożki.

Bez ochrony, odzieży specjalnej. Siedzisz na przednim siedzeniu, a za tobą próbki „świecą się".

Sporządzaliśmy akty o zasypaniu radioaktywnego gruntu. Ziemię grzebali w ziemi. Obce człowiekowi zajęcie. Według przepisu zasypanie powinno się dokonywać z geologicznym rozpoznaniem, żeby głębokość zalegania wód gruntowych nie przekraczała czterech-sześciu metrów, a głębokość wsypania nie była zbyt wielka, ściany zaś i dno wykopu należy wyścielić folią polietylenową. Tak w przepisach. A w rzeczywistości? Żadnego rozpoznania geologicznego. Pokażą palcem i nakażą:

- Kop tutaj.

I koparka kopie.

- Do jakiej głębokości kopałeś?

- A czort go tam wie! Woda się pojawiła, to przestałem.

Sięgali aż do wody gruntowej.

Powiadają: święty naród, przestępcze kierownictwo. Jeszcze powiem, co o tym myślę. O narodzie i o sobie.

Najtrudniejszą delegację miałam do rejonu krasnopolskiego, jak już mówiłam, najbardziej skażonego. Żeby zapobiec zmywaniu radionuklidów z pól i rzeki, należało znów postępować wedle instrukcji: przeorywać podwójne bruzdy - przerwa - jeszcze raz podwójne bruzdy i dalej w ten sposób. Trzeba przejechać w dół wszystkich małych rzek.

Do miasta wybrałam się kursowym autobusem, dalej potrzebny był samochód. Idę do przewodniczącego rajspołkomu. Siedzi w gabinecie, chwyta rękami za głowę: nikt nie zdjął planu, struktur siewu też nikt nie zmienił, jak siali groch, tak sieją, choć wiedzą, że groch bardziej wchłania radiację, jak wszystkie strączkowe. A tam miejscami czterdzieści kiurów i więcej. Nie ma do mnie głowy. Z przedszkoli pouciekały kucharki, pielęgniarki. Dzieci głodne. Chcąc zrobić operację wyrostka robaczkowego, trzeba wieźć człowieka karetką pogotowia do sąsiedniego rejonu, sześćdziesiąt kilometrów drogą jak roztrzaskana deska. Wszyscy chirurdzy wyjechali. Jaki samochód?!

Wtedy pobiegłam do wojskowych. Młodzi chłopcy, odpracowali tam pół roku. Teraz rozpaczliwie chorują. Dali na moje rozporządzenie amfibię z ekipą, nawet nie amfibię, auto zwiadowcze z kulomiotem. Bardzo żałuję, że nie sfotografowałam się na niej. Znowu romantyzm. Chorąży, który dowodził tą maszyną, cały czas łączył się z bazą:

- Sokół! Sokół! Kontynuujemy pracę.

Jedziemy naszymi drogami, przez nasze lasy, ale wojennym pojazdem. Stoją przy płotach kobiety. Stoją i płaczą. Ostatnim razem widzieli coś podobnego w czasach wojny ojczyźnianej[7]. Są w strachu, że zaczęła się następna.

Według instrukcji w traktorach, które miały zaorać te bruzdy, kabina powinna być osłonięta, hermetyczna. Widziałam taki traktor, kabina rzeczywiście hermetyczna. Stał, a traktorzysta leżał na trawie, odpoczywał.

[7] Wielka wojna ojczyźniana (w rosyjskim: *Wielikaja Otiecziestwiennaja wojna)* - w historiografii sowieckiej zawężenie II wojny światowej do czasu, kiedy hitlerowskie Niemcy napadły na ZSRR (22.06.1941 r.) oraz do obszaru, na jakim trwały sowiecko-hitlerowskie zmagania; toczyła się więc ona najpierw na terytorium ZSRR, a potem - wraz z cofaniem się Wehrmachtu przed Armią Czerwoną - na terenach Polski, Rumunii, Czechosłowacji, Austrii, Węgier i wreszcie Niemiec, gdzie armia sowiecka zdobyła w maju 1945 r. Berlin i doszła aż do Łaby.

- Rozum straciłeś? Czyżby nie uprzedzili?

- Przecież nakryłem głowę podkoszulkiem - odpowiada.

Ludzie nie rozumieli. Przez cały czas ich straszyli, przygotowywali do wojny atomowej. Ale nie do Czarnobyla.

Są tam nadzwyczaj piękne miejsca. Ocalał las, nie sadzony, prawdziwy, dawny. Kręte rzeczki, w których woda koloru herbaty i przeźroczysta. Trawa zielona. Ludzie przemykają się do lasu. Dla nich to naturalne, jakby wyjść rankiem do swojego sadu. Ale już wiedzą, że to wszystko zatrute.

Spotkaliśmy tam babcię.

- Dzieci, można pić mleczko od swojej krówki? - pyta.

My oczy w ziemię, mamy nakaz, aby zbierać dane, ale z ludnością nie obcować. Pierwszy znalazł się chorąży:

- Ile macie latek, babuleńko?

- A tak z osiemdziesiąt, a może i więcej. Dokumenty spłonęły w wojnę.

- No to pijcie.

Wiejskich ludzi żal przede wszystkim, bo niewinnie cierpieli, jak dzieci. Albowiem Czarnobyl nie wieśniak wymyślił, który ma z naturą swoje związki - sekretne, nie zaborcze, jak sto lat temu i tysiąc. Jak w boskim zamyśle. Oni nie rozumieli, co zaszło, chcieli wierzyć uczonym, znanemu oczytanemu człowiekowi, jak duchownemu. A ci zapewniali:

- Wszystko dobrze. Nic strasznego. Myjcie tylko ręce przed jedzeniem.

Zrozumiałam, nie od razu, ale po paru latach, że wszyscyśmy w tym uczestniczyli. W przestępstwie. W przekonywaniu. *(Milczy).*

Nie sposób sobie wyobrazić, w jakich ilościach samochodami z zony wywozili wszystko, co tu skierowano jako pomoc, by ulżyć jej mieszkańcom: kawę, wędzonki, wędliny, pomarańcze. Skrzynkami, furgonami. Takich dóbr nigdzie nie było. Żywili się więc miejscowi sprzedawcy, każdy kontroler, wszyscy, ci mali i średni urzędnicy. Człowiek okazał się gorszy, niż myślałam.

I ja też byłam gorsza. Teraz wiem to o sobie. *(Zastanawia się).* Oczywiście, przyznaję się. Dla mnie samej to bardzo ważne.

Oto następny przykład. W pewnym kołchozie jest, załóżmy, pięć wsi. Trzy „czyste", dwie „brudne". Z jednej do drugiej dwa-trzy kilometry. Dwóm płacą „grobowe"[8], trzem nie. W „czystej" wsi budują zwierzęcy kompleks hodowlany. Niby to mamy czystą karmę. A skąd ją wziąć? Wiatr niesie pył z jednego pola na drugie. Ta sama ziemia. Żeby wybudować kompleks, potrzebne zezwo-

[8] „Grobowe" - potoczna nazwa ulg, dopłat, odszkodowań itp. otrzymywanych w związku z następstwami awarii w Czarnobylu; termin ten pochodzi od rosyjskiego słowa *grob* (trumna).

lenia. Komisja podpisuje je, jestem w tej komisji, każdy wie, że nie wolno podpisać. Przestępstwo. Koniec końców znalazłam sobie usprawiedliwienie, że problem czystych karm nie jest sprawą inspektora ochrony przyrody.

Każdy znajdował jakieś usprawiedliwienie, wyjaśnienie. Przeprowadziłam taki rachunek ze sobą. I ogólnie biorąc, zrozumiałam, że w życiu najstraszniejsze staje się cicho i naturalnie.

Zoja Daniłowna Bruk,
inspektor ochrony przyrody

Monolog o tym, czy Rosjanin zawsze chce wierzyć w cokolwiek

Czyżbyście nie zauważyli, że nawet między sobą nie mówimy o „tym"? Przez dziesiątki lat, przez stulecia - to będą mityczne lata.

Boję się deszczu - oto Czarnobyl. I śniegu. I lasu. To nie abstrakcja, nie zaćmienie mózgu, ale dosłowne odczucie. Czarnobyl jest w moim domu. W najdroższej mi istocie, w moim synu, co urodził się wiosną osiemdziesiątego szóstego. Jest chory.

Zwierzęta, nawet karaluchy, wiedzą, ile i kiedy rodzić. Ludzie tak nie mogą, Stwórca nie dał im daru przeczuwania. Niedawno w gazetach opublikowali, że w dziewięćdziesiątym trzecim roku tylko u nas, na Białorusi, było dwieście tysięcy aborcji. Szczególną przyczyną jest Czarnobyl. Żyjemy z tym strachem. Przyroda jakby wstrzymała się, oczekując. Przeczekując. *Górze! Gdzie się podziały tamte czasy?* - zawołałby Zaratustra.

Wiele rozmyślałem. Szukałem sensu. Czarnobyl jest katastrofą rosyjskiej mentalności. Oczywiście, zgadzam się, kiedy piszą, że to nie reaktor wybuchł, ale cały poprzedni system wartości. Ale w tym wyjaśnieniu czegoś mi brak.

Powiedziałbym o tym, o czym pierwszy mówił Czaadajew[9] - o naszej wrogości wobec postępu. O naszej antytechnologiczności, antyinstrumentalności. Przypatrzcie się Europie. Poczynając od czasów Odrodzenia, żyje ona pod znakiem instrumentalnego stosunku do świata, który jest rozumny, racjonalny. To szacunek dla twórczości człowieka, dla narzędzi w jego rękach. Jest znamienne opowiadanie Leskowa - *Żelazny charakter. Cóż* to takiego? Rosyjski charakter można streścić w powiedzeniu: jakoś to będzie. To lejtmotyw rosyjskiego tematu. Charakter niemiecki stawia na narzędzia, na maszyny.

Z jednej strony - próba przekształcenia, opanowania chaosu, z drugiej - nasza ojczysta żywiołowość. Pojedźcie, gdzie się wam podoba, no, choćby do Kiży. I cóż usłyszycie, o czym z dumą zakrzyknie przewodnik? Że ten *chram*[10] wybudowano za pomocą topora, bez jednego gwoździa! Zamiast wybudować dobrą drogę, robimy podkowy pchle[11]. Koła furmanki toną w błocie, ale w rękach trzymamy ognistego ptaka[12]. Po wtóre - to cena za szybką industrializację. Za ten przeskok.

Wróćmy na Zachód - przędzalnicza, manufakturowa epoka, maszyna i człowiek podnosili się razem i zmieniali. Formowała się wiedza technologiczna, myślenie. A u nas? Cóż ma nasz chłop oprócz rąk? Do tej pory! Siekierę, kosę, nóż - to wszystko. Na tym trzyma się jego świat. No, jeszcze łopata. Jak Rosjanin rozmawia z maszyną? Klnąc. Albo kopniakiem. Nie lubi jej, nienawidzi, pogardza w gruncie rzeczy, do końca nie rozumie, co ma w rękach.

Czytałem gdzieś, iż personel elektrowni atomowych nazywa reaktor rondlem, samowarem, piecykiem naftowym, fajerką. Dziś już jest pycha: usmażmy jajecznicę na słońcu! Wśród tych, co pracowali w czarnobylskiej elektrowni, jest wielu ludzi ze wsi. Za dnia na reaktorze, a wieczorem w swoich ogrodach albo u rodziców w sąsiedniej wiosce, gdzie ziemniaki jeszcze sadzą łopatą, nawóz roztrząsają widłami. Ich mózgi funkcjonowały w dwóch epokach - ka-

[9] Piotr J. Czaadajew (1794-1856) - rosyjski filozof, zdecydowany - obok m.in. I. S. Turgieniewa, W. G. Bielińskiego, A. I. Hercena, T. N. Granowskiego, S. M. Sołowjowa i in. - zwolennik okcydentalizmu (historiozoficznego kierunku rosyjskiej myśli społecznej lat 40 i 50. XIX w., postulującego zniesienie poddaństwa chłopów i przebudowę Rosji na gruncie krytycznego wykorzystania doświadczeń ustrojów konstytucyjno-monarchicznych Europy Zachodniej, w związku z czym jego zwolenników nazywano *zapadnikami,* a kierunek *zapadniczestwo),* przeciwnik słowianofilów (uważających, iż Rosja, jako największy ze słowiańskich narodów, ma prawo przewodzić innym ludom słowiańskim, głoszących m.in. teorię „oficjalnej ludowości", po rosyjsku *narodnosti,* zwanych więc także *narodnikami),* idealizujący katolickie Średniowiecze, kiedy to w Europie był jeden, nie podzielony jeszcze Kościół, Rosję zaś uważający za kraj nie mający historii (tradycji), co według niego było dla niej szansą na budowanie racjonalnej przyszłości.

[10] *Chram* - rosyjski termin na określenie świątyni; tu chodzi o znany zespół muzealny na wyspie, na jeziorze Onega.

[11] Podkowy pchły - znana osobliwość (autorstwa Mykoły Siadrystego) w ekspozycji pod nazwą „Mikrominiatury" na terenie Historyczno-Architektonicznego Kompleksu Muzealnego „Kijowsko-Pieczarska Ławra", pokazywana obok napisów na włosie ludzkim itp. wyrobów, mogących być widzianymi przez szkło powiększające.

[12] Ognisty ptak (w oryginale: *żarptica)* - często występujący w rosyjskich baśniach motyw „żarptaka", mającego wiele cudownych właściwości; bardzo trudno go złapać, a to jest warunkiem skorzystania z jego mocy.

miennej i atomowej. Człowiek chybotał się ciągle jak wahadło. Wyobraźcie sobie kolej żelazną, kładzioną przez wykształconych inżynierów-drogowców, pędzi pociąg, ale zamiast maszynistów ma furmanów.

Oto los Rosji - poruszać się w dwóch kulturach. Między atomem i łopatą. A dyscyplina technologiczna? W naszym narodzie część z nosidłami, kopytami, cepami. Naród żywiołowy, chory. Zawsze marzył nie o wolności, ale o szpitalu. Jest coś swoistego w naszej niewiedzy, coś bliskiego wschodniej nieświadomości.

Jestem historykiem. Wcześniej wiele zajmowałem się lingwistyką, filozofią języka. Nie tylko my myślimy językiem, ale i język myśli nami. W wiek osiemnastu lat, i nieco wcześniej, kiedy zacząłem czytać *somizdaty*[13], odkryłem Szałamowa[14], Sołżenicyna i nagle zrozumiałem, że całe moje dzieciństwo, dzieciństwo mojej ulicy, a wzrastałem w rodzinie inteligenckiej (pradziad duchowny, ojciec profesor petersburskiego uniwersytetu), jest naznaczone lagrową wiedzą. I cały słownik mojego dzieciństwa to język zeków. Dla nas, podrostków, było to całkiem oczywiste: ojca nazywali oraczem[15], matkę cwaną[16]. *Na chytrą żonę jest ch... z wkrętem*[17] - przyswoiłem to sobie jako dziewięciolatek. Żadnego cywilnego słowa. Nawet zabawy, pogaduszki, zagadki były zeczne[18]. Zeki - to nie był oddzielny świat, który istniał gdzieś tam w więzieniach, daleko. To wszystko było tuż obok. Jak pisała Achmatowa[19]: *pól kraju sadzało, pół kraju siedziało.* Myślę, że to nasze łagierne poznanie nieprzemijająco powinno było zderzyć się z kulturą. Z cywilizacją, z synchrofazotronem.

No i, oczywiście, byliśmy wychowani w odrębnym sowieckim mniemaniu: człowiek - władca, miara wszechrzeczy. I ma prawo zrobić ze światem wszystko, co zechce. Formuła miczurinowska: „Nie możemy oczekiwać miłości od przyrody, ale wziąć ją od niej jest naszym zadaniem". Usiłowaniem jest zaszczepić narodowi te wartości, te cechy, których nie ma. Psychologia ciemiężcy. Wyzwanie historii, wyzwanie przyrody.

Dziś nagle wszyscy zaczęli mówić o Bogu. Czemuż nie szukali Go w GUŁagu, w celach trzydziestego siódmego, na partyjnych zebraniach czterdziestego ósmego, kiedy gromili kosmopolitów[20], za Chruszczowa, kiedy burzyli świątynie[21]? Znamienny podtekst rosyjskiego poszukiwania Boga kłamstw. Bombardujemy spokojne domy w Czeczenii, zwęglonych rosyjskich czołgistów zgrzebują łopatami i widłami. Oto co z nich zostało. Ale w tym czasie idziemy ze świeczką do cerkwi. Na Boże Narodzenie.

Co trzeba robić? Odpowiedzieć na pytanie: czy naród rosyjski jest zdolny do takiego zasadniczego przeglądu całej swojej historii, jak okazali się do tego zdolni po II wojnie światowej Japończycy, Niemcy? Starczy nam intelektualnej odwagi? O tym jak dotąd nie mówią. Mówią o rynku, o wouczerach, czekach.

Kolejny raz przeżywamy. Cała energia idzie w gwizdek. A dusza pozostawiona. Dlaczego zatem to wszystko? Twoja książka? Moje bezsenne noce? A jeśli nasze życie jest jak błysk zapałki? Dziś może być niewiele odpowiedzi. Prymitywny fatalizm. Ale mogą też być odpowiedzi wielkie. Rosjanin chce uwierzyć w cokolwiek: w kolej żelazną, w żabę (nihilista Bazarów), w Bizancjum, w atom. A teraz - w rynek.

Bułhakow w *Zmowie świętoszków:* „Całe życie grzeszyłam. Byłam aktorką". Poczucie grzeszności tworzenia. Niemoralność jego natury. Zaglądanie w cudze życie. Ale ono, jak surowica skażonego, może stać się szczepionką cudzego doświadczenia.

Czarnobyl - to temat dla Dostojewskiego. Sposobność usprawiedliwienia człowieka. A może się zdarzyć także i to, że wszystko jest bardzo proste: wyjść do świata na paluszkach i zatrzymać się u progu?!

Aleksandr Rewalskij, historyk

[13] *Somizdaty* - wydawnictwa podziemne, nielegalne.

[14] Warłam T. Szałamow (1907-82) - pisarz rosyjski, długoletni więzień łagrów sowieckich. Autor głośnych opowiadań kołymskich.

[15] W oryginale: *pachan* (pług), co się kojarzy z ciężką, lecz bezmyślną i mało wydajną pracą, za jaką w propagandowej retoryce tamtych czasów miano m.in. zajęcia umysłowe.

[16] W oryginale: *machana* (od: machać, ruszać się, cwaniaczyć) - tu: epitet.

[17] W oryginale: *Na chitruju tonu jest' ch... s wintom.*

[18] W oryginale: *zecznyje* - przymiotnik od terminu „zek"; tu: kryminalne.

[19] Anna Achmatowa, właściwie Anna A. Gorienko (1889- 1966) - wybitna poetka rosyjska, autorka m.in. zbiorów liryków *Paciorki, Męstwo, Poemat bez bohatera,* eseistka *(Mój Puszkin),* tłumaczka na rosyjski poezji orientalnej, zachodnioeuropejskiej i polskiej.

[20] Chodzi o kampanię antysemicką.

[21] Chodzi o wszczętą przez Nikitę S. Chruszczowa - w latach 1954-64 I sekretarza KPZR, a w latach 1956-64 także premiera - kampanię wyburzenia świątyń, która to akcja (skromniejsza, w porównaniu z niszczeniem miejsc kultu w okresie Lenina i Stalina) odbiła się wielkim echem w ZSRR i w świecie.

Monolog o fizyku, którego wszyscy kochaliśmy

Od młodości przyzwyczaiłem się wszystko zapisywać. Kiedy umarł Stalin - co się działo na ulicach, o czym mówili. Czarnobyl zapisywałem od pierwszego dnia, wiedziałem, że minie czas i wiele się zapomni, bezpowrotnie zniknie. Tak się stało. Moi przyjaciele, którzy byli w centrum wydarzeń, fizycy jądrowi, zapomnieli, co wtedy czuli, o czym mówili ze mną. A ja mam wszystko zapisane.

Tego dnia, jako kierownik laboratorium Instytutu Energetyki Jądrowej Akademii Nauk Białorusi, przyjechałem do pracy, nasz instytut jest za miastem, w lesie. Cudowna pogoda! Wiosna. Otworzyłem okno. Powietrze czyste, świeże. Zdziwiłem się: czemu to dziś nie zleciały się sikorki, które podkarmiałem zimą, wieszając za oknem kawałeczki kiełbasy? Znalazły smaczniejsze pożywienie?

A w tym czasie w naszym instytutowym reaktorze panika: urządzenia dozymetryczne pokazywały wzrost aktywności, na wskaźnikach filtrów powietrznych radiacja podniosła się dwieście razy. Moc dawki obok przejścia - około trzech milirentgenów na godzinę. To bardzo poważne. Taka moc jest dopuszczalna w radiacyjnie chronionych pomieszczeniach przy pracy nietrwającej dłużej niż sześć godzin. Pierwsze przypuszczenie - w aktywnej strefie rozmagnetyzowała się błonka jednego z wydzielających ciepło elementów. Przejrzeliśmy - w normie. A może przewozili kontener z laboratorium radiochemicznego i tak ciągnęli po drodze, że uszkodzili wewnętrzną błonkę i skazili powierzchnię? Spróbuj teraz zdjąć plamę na asfalcie! Cóż się stało? A do tego jeszcze w radiu wewnętrzym nadali, że zatrudnionym nie radzi się wychodzić z budynku. Między korpusami zrobiło się pusto. Żadnego człowieka. Niesamowite, niezwyczajne.

Dozymetryści sprawdzili mój gabinet: „świeci" stół, „świeci" odzież, ściany. Wstaję, nie mam nawet chęci usiąść na krześle. Umyłem głowę nad zlewem. Popatrzyłem na dozymetr - efekt widoczny. Czyżby to wszystko u nas, alarm w naszym instytucie!? Ucieczka? Jak teraz dezaktywować autobusy, które roz| wożą nas po mieście? Pracowników? Przyjdzie łamać sobie głowę nad tym. Bardzo przejąłem się naszym reaktorem, znałem go co do milimetra.

Dzwonimy do najbliższej, ignalińskiej elektrowni atomowej. Tam także urządzenia alarmują, także panika. Dzwonimy do Czarnobyla. W elektrowni nie odpowiada żaden telefon. Koło obiadu sprawa się wyjaśnia. Nad całym Mińskiem tło radioaktywne. Określiliśmy, że to aktywność jodowa. Awaria jakiegoś reaktora.

Pierwsza reakcja: zadzwonić do żony, uprzedzić. Ale wszystkie nasze telefony w instytucie podsłuchują. Ten nasz wieczny, dziesięcioleciami hodowany strach! Ale oni tam nic nie wiedzą. Córka po zajęciach w konserwatorium biega z przyjaciółmi po mieście. Je lody. Zadzwonić?! Ale mogą być nieprzyjemności. Nie dopuszczą do tajnych prac. Aż wreszcie nie wytrzymuję, podnoszę słuchawkę.

- Posłuchaj mnie uważnie - zaczynam.
- O czym mówisz? - głośno pyta żona.
- Ciszej. Zamknij lufciki, wszystkie produkty włóż w polietylenowe torby. Włóż gumowe rękawiczki i przetrzyj mokrą ścierką wszystko, co można. Ścierkę weź potem schowaj do torby i odstaw. Schnącą na balkonie bieliznę znowu do pralki.
- Coś się u was stało?
- Ciszej. Rozpuść dwie krople jodu w szklance wody. Umyj głowę...
- Co takiego...

Nie daję żonie dopowiedzieć, kładę słuchawkę. Powinna zrozumieć, jest pracownicą naszego instytutu.

O piętnastej trzydzieści wyjaśnili: awaria czarnobylskiego reaktora.

Wieczorem wracamy do Mińska w służbowym autobusie. Pół godziny jazdy milczeliśmy albo mówiliśmy o czym innym. Boimy się głośno zagadać o tym, co się stało. Każdy ma legitymację partyjną w kieszeni.

Przed drzwiami mieszkania leżała mokra ścierka. Żona wszystko zrozumiała. Wchodzę, w przedpokoju ściągam z siebie ubranie, koszulę, rozbieram się do majtek. Nieoczekiwanie ogarnia mnie wściekłość. Po diabła ta tajność! Ten strach! Biorę swój notatnik telefoniczny, żony, córki i zaczynam do wszystkich po kolei dzwonić, że ja, pracownik Instytutu Energetyki Atomowej, mówię, że nad Mińskiem jest tło radioaktywne. I potem wyliczam, co trzeba przedsięwziąć: umyć głowę, zamknąć lufciki, mokrą bieliznę z balkonu znowu do pralki, wypić jod, jak go prawidłowo przyrządzić. Reakcja ludzi: dziękuję. Ani roztrząsań, ani strachu. Myślę, że nie uwierzyli mi albo nie potrafili pojąć wielkości zagrożenia. Nikt się nie przestraszył. Zadziwiająca reakcja.

Wieczorem dzwoni przyjaciel, fizyk jądrowy, doktor nauk. Zwyczajnie tak! Ile mieliśmy w sobie wiary. Teraz dopiero to rozumiem. Dzwoni więc i mówi między innymi, że chce wyjechać na pierwszomajowe święto do rodziców żony na Homelszczyznę. Stamtąd Czarnobyl na wyciągnięcie ręki! Wybiera się tam z małymi dziećmi.

- Wymarzone przedsięwzięcie! - krzyczałem. - Rozum postradałeś!

To o profesjonalizmie. I o naszej wierze. Darłem się. On z pewnością nie pamięta, że ocaliłem jego dzieci. *(Po oddechu).*

My, mówię o nas wszystkich, nie zapomnieliśmy o Czarnobylu, ale nie zrozumieliśmy go. Cóż dzikusy mogą zrozumieć w piorunie?

W książce Alesia Adamowicza jest jego rozmowa z Andriejem Sacharowem o bombie atomowej.

- Wie pan, jak pięknie pachnie ozonem po wybuchu atomowym? - pytał fizyk, ojciec bomby wodorowej.

Jest w tych słowach romantyzm. Dla mnie, mojego pokolenia, okazuje się to uniesieniem ponad wszelaki koszmar. Ale nie ponad czarnobylski gen. Tak, obecnie energia jądrowa jest upokorzona i skompromitowana. A moje pokolenie? W czterdziestym piątym, kiedy wybuchła bomba atomowa, miałem siedemnaście lat. Lubiłem fantastykę, marzyłem o locie na inną planetę, sądziłem, że energia jądrowa wyniesie nas w kosmos. Wstąpiłem do moskiewskiego Instytutu Energetycznego i tam dowiedziałem się, że jest utajniony fakultet fizyczno-energetyczny. W pięćdziesiątych i sześćdziesiątych latach fizycy jądrowi byli elitą. Humaniści zostali zepchnięci. W trzech kopiejkach, mówił nasz nauczyciel, jest tyle energii, że może pracować elektrownia. Dech zapierało! Zaczytywałem się w Amerykaninie Schmitcie, który opisywał, jak stworzono bombę atomową, jak prowadzili doświadczenia, w szczególności sam wybuch. U nas wszystko trzymano w tajemnicy. Czytałem, wyobrażałem sobie. Film o sowieckich atomowcach *Dziewięć dni jednego roku* cały kraj oglądał. Wysokie pensje, tajemnica dołożona do romantyzmu. Kult fizyki! Czas fizyki! Nawet kiedy już w Czarnobylu wybuchło. Wezwali uczonych. Przylecieli na reaktor rejsem specjalnym, ale liczni jednak nie wzięli z sobą przyborów do golenia, myśleli, że lecą na kilka godzin. Czas fizyki skończył się na Czarnobylu.

Wy już inaczej patrzycie na świat. U Konstantina Leontiewa wyczytałem niedawno myśl o tym, że rezultaty fizyczno-chemicznego zepsucia zastąpią kiedyś rozum kosmiczny, mieszając się do naszych ziemskich działań. A my, uwikłani w stalinowskie czasy, nie mogliśmy w myślach dopuścić uczestnictwa jakichkolwiek sił wyższych. Biblię przeczytałem już po tym. I żeniłem się z jedną i tą samą kobietą dwa razy. Uciekłem i wróciłem. Jeszcze raz spotkaliśmy się w tym świecie. Życie jest zadziwiającą sztuką! Zagadkową! Teraz wierzę. W co? Że trójwymiarowy świat jest już za ciasny dla współczesnego człowieka. Dlaczego obserwujemy dziś taki pęd do fantastyki? Człowiek odrywa się od Ziemi, operuje innymi kategoriami czasu, nie jednej Ziemi, a rozlicznymi światami. Apokalipsa, zima jądrowa. W zachodniej literaturze wszystko to już napisali, niejako wypróbowali. Przygotowywali się do przyszłości. Wybuch wszelkiej ilości broni jądrowej prowadzi do ogólnego pożaru. Atmosfera nasyca się dymem. Promienie słoneczne nie mogą przebić się ku Ziemi, więc ciepło uszło - zimno, coraz zimniej. Tę światową wersję „końca świata" zaszczepiają na czasach rewolucji przemysłowej XVIII wieku. Ale bomby atomowe nie znikną nawet wtedy, kiedy unicestwią ostatnią głowicę. Zostanie wiedza.

Wy tylko pytacie, a ja cały czas spieram się z wami. To spór między pokoleniami. Zauważacie? Historia atomu to nie tylko tajemnica wojskowa, sekret, przekleństwo, to także nasza młodość. I nasza religia.

Pięćdziesiąt lat minęło. Teraz i mnie czasem wydaje się, że światem rządzi ktoś inny, że my ze swoimi armatami i statkami kosmicznymi jesteśmy jak dzieci. Ale jeszcze się w tym nie utwierdziłem. Zadziwiająca sztuka życia! Kochałem fizykę, a myślałem: niczym oprócz fizyki nigdy nie będę się zajmował. A teraz chcę pisać. Wszystko mija, znika, zmieniają się nasze uczucia.

Przed operacją wiedziałem już, że mam raka. Myślałem, że życie mam już liczyć na dni, i straszliwie nie chciało się umierać. Nagle dostrzegam każdy listek, kolorowe kwiaty, jaskrawe słońce, lśniący, szary asfalt, szczeliny w nim, a w nich wschodzącą trawę. Nie, myślę, trzeba je obchodzić. Szkoda ich. Dlaczego mają umierać? Od zapachu lasu dostałem zawrotu głowy. Woń bardzo przypominała kwiaty. Lekkie brzozy. Ciężkie świerki. I tego wszystkiego nie zobaczę? Choć sekundę, minutę choć pożyć dłużej! Dlaczego tyle czasu, godzin, dni przesiedziałem przy telewizorze, wśród sterty gazet? Najważniejsze to życie i śmierć.

Walentin Aleksiejewicz Borisewicz,
były kierownik laboratorium Instytutu Energetyki Atomowej
Akademii Nauk Białorusi

Monolog o tym, co po Kołymie, Oświęcimiu i holocauście

W tamte dni miałam mieszane uczucia. Pamiętam dwa najsilniejsze - strachu i urazy. Stało się i żadnej informacji: władza milczy, lekarze nic nie mówią. W rejonie czekali na rozporządzenia z obwodu, w obwodzie z Mińska, a w Mińsku z Moskwy. Bardzo długi łańcuch, a w końcu decydowało niewielu ludzi. Okazaliśmy się bezbronni. To było najważniejsze odczucie w tamtych dniach. Niewielu ludzi stanowiło o naszym losie. O losie milionów ludzi. Tak jak niewielu ludzi mogłoby nas zabić. Nie maniacy i przestępcy, ale zwyczajni, niegłupi przecież operatorzy w elektrowni atomowej. Kiedy to zrozumiałam, poczułam silny lęk. Czarnobyl otworzył otchłań, coś takiego jak dalszy ciąg Kołymy, Oświęcimia i holocaustu. Człowiek z toporem i łukiem albo człowiek z granatnikiem i z komorami gazowymi nie mógł zabić wszystkich. Ale człowiek z atomem...

Nie jestem filozofem, nie potrafię filozofować. Może jeszcze raz o tym, co pamiętam.

Panika pierwszych dni: ktoś wdarł się do apteki i nakupił jodu, ktoś przestał chodzić na targ, kupować tam mleko, mięso, szczególnie wołowinę. W rodzinie w tym czasie staraliśmy się nie oszczędzać, kupowaliśmy drogą kiełbasę w nadziei, że jest z dobrego mięsa. A tu, powiadają, że do drogiej kiełbasy dodają skażone mięso, bo kupują ją nieliczni, więc potem przeceniają... Okazaliśmy się bezbronni. Ale to wszystko jest znane. Chcę napisać o czym innym. O tym, że byliśmy sowiecką generacją.

Moi przyjaciele to lekarze i nauczyciele. Miejscowa inteligencja. Mieliśmy swój krąg. Zebraliśmy się u mnie, pijemy kawę. Są dwie zaprzysięgłe przyjaciółki, z których jedna jest lekarzem. Obie mają małe dzieci.

- Jutro jadę do rodziców. Wywiozę dzieci - mówi pierwsza. - Gdyby zachorowały, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła.

- W gazetach piszą, że za kilka dni sytuacja wróci do normy - uspokaja druga. - Są tam wojska, śmigłowce, broń. Słyszałam w radiu.

- Tobie także radzę: zabierz dzieci! Wywieź! - unosi się pierwsza. - To nie zwykła wojna, nawet nie możemy sobie wyobrazić, co się stało.

Rozmowa nieoczekiwanie przybrała wysoki ton i zakończyła się kłótnią, wzajemnymi obwinieniami.

- Gdzie twój instynkt samoobronny? Fanatyczka!

- Cóż by się z nami stało, gdyby każdy postępował tak jak ty? Zwyciężylibyśmy na wojnie?

Tak się spierały dwie młode, piękne kobiety, kochające swoje dzieci. To coś przypomina, to skądś znajomy tekst.

I wszyscy, którzy tam byli, mieli odczucie: ona wnosi trwogę. Trzeba czekać, dopóki nie powiedzą, nie wyjawią. A przecież jako lekarz dobrze wiedziała.

- Wszystkich dzieci nie sposób obronić! Nic wam nie zagraża! A i tak się boicie!

Jakże jej w tamtym momencie nienawidziliśmy, zepsuła nam wieczór.

Następnego dnia wyjechała, a my wyszykowaliśmy swoje dzieci, by zaprowadzić je na pochód pierwszomajowy. Mogły iść, ale mogły też nie iść. Mieliśmy wybór. Nikt nam nie nakazywał ani nie zachęcał. Uważaliśmy to za swą powinność. A jakże! W takim czasie, w taki dzień wszyscy powinni być razem. Uciekaliśmy na ulicę, w tłum.

Na trybunie stali wszyscy sekretarze rajkomu, a wraz z pierwszym stała jego córka. Stała tak, żeby wszyscy ją widzieli. Ale miała na sobie płaszcz i czapkę, choć świeciło słońce. A on był w wojskowym płaszczu. Ale stali. Dobrze pamiętam.

Napisałam list, aby ostała się prawda o tamtych dniach i tamtych odczuciach. Tej pierwszomajowej demonstracji nie zapomnę.

Co się z nami stało? Cóż się otworzyło? Powtarzam: stało się z nami coś takiego, co jest dalszym ciągiem Kołymy, Oświęcimia, holocaustu. A gdzież się podziali nasi intelektualiści? Pisarze? Filozofowie? Dlaczego milczą?

Z listu Ludmiły Dmitriewny Polenskiej,
wiejskiej nauczycielki,
przesiedlonej ze strefy czarnobylskiej

Monolog o wolności i marzeniu o zwyczajnej śmierci

To była wolność. Czułem się tam wolnym człowiekiem. Nie zrozumiecie tego, to może pojąć tylko ten, kto był na wojnie. Piją ci mężni bojownicy, opowiadają, słyszałem ich, do dziś tęsknią. Do tamtej wolności, ku tamtym wzlotom. Ani kroku w tył! - stalinowski rozkaz. Oddziały zaporowe. Strzelasz, nie trafią w ciebie, otrzymujesz przynależne sto gramów, machorkę. Tysiąc razy możesz umrzeć, rozpaść się na kawałki, ale jeśli się postarasz, przechytrzysz czorta, diabła, sierżanta, wiarusa, tego co w obcym hełmie i z obcym bagnetem, samego Najwyższego - możesz przeżyć! Samotność wolności. Znam to, znają to ci, co byli na reaktorze. Jak w okopie na wysuniętym krańcu. Strach i wolność! Żyjesz na samej tarczy. Trudno to zrozumieć w zwykłym życiu. Pamiętajcie, że cały czas mówili nam: będzie wojna. Ale wiedza ta nie okazała się przydatna. Nie byłem przygotowany. Przyszło do zakładu dwóch wojskowych, wezwali mnie.

- Olej od benzyny odróżnisz?

- Dokąd wysyłacie? - spytałem.

- Jak to dokąd? Na ochotnika do Czarnobyla.

Moja wojskowa profesja to specjalista paliwa rakietowego. Poufna specjalność. Wzięli wprost z zakładu, w podkoszulku i szortach, nie dali zajrzeć do domu.

- Żonę chciałbym uprzedzić - prosiłem.

- Sami poinformujemy.

W autobusie zebrano nas piętnastu ludzi, oficerów rezerwy. Spodobali mi się. Trzeba - pojechali, trzeba - pracujemy, pogonili na reaktor - poleźli na dach energobloku.

Koło wysiedlonych wsi stały wieżyczki, na nich żołnierze z bronią. Szlabany, tabliczki: „Pobocze skażone. Wjazd i postój surowo wzbronione". Szare

drzewa oblane dezaktywacyjną cieczą. Mózgi od razu na bakier! W pierwszych dniach baliśmy się usiąść na ziemi, na trawie, nie chodziliśmy, a przebiegaliśmy, samochód przejedzie - naciągamy maski. Po zmianie siedzieliśmy w namiotach. Przez parę miesięcy. Teraz jest to już normalne, to przecież twoje życie. Rwaliśmy śliwki, łowiliśmy ryby, szczupaki tam, że hej! I leszcze, które suszyliśmy do piwa. W nogę graliśmy. Kąpaliśmy się. *(Śmieje się).* Zawierzyliśmy losowi, w głębi duszy wszyscy jesteśmy fatalistami, a nie aptekarzami. I nie racjonalistami. Słowiańska mentalność. Wierzyłem w swoją gwiazdę! Inwalida drugiej grupy. Od razu zachorowałem. Przeklęty „promyczek". W poliklinice nawet medycznej nazwy na to nie było. Czort z nim! Nie ja jeden. Mentalność...

Jestem żołnierzem, burzyłem obce domy, wchodziłem w cudze życie. Takie mam odczucie. Ziemia, na której nie wolno siać. Krowa ciągnie do zagrody, a tam zamknięte, na drzwiach kłódka. Mleko kapie na ziemię. Takie mam odczucie! We wsiach, których jeszcze nie wysiedlili, wieśniacy zajmowali się pędzeniem samogonu, to było ich utrzymanie. Sprzedawali nam, a pieniędzy mieliśmy w bród: potrójne pensje miesięczne i dobowe też potrójne. Potem wyszedł przepis: tego, kto pije, zostawiać na drugi okres. Tak więc pomaga wódka czy nie? Choćby psychologicznie. Tam święcie w to wierzyłem. Wiejskie życie toczyło się prosto: coś tam posadzili, wyrosło, zebrali, a cała reszta toczy się bez nich. Nie mają nic do cara, do władzy. Do statków kosmicznych i elektrowni atomowych, mityngów w stolicy. Nie mogli uwierzyć, że nie ma Czarnobyla, nigdy stamtąd nie wyjeżdżali. Ludzie umierali z tęsknoty. Drzewa ze sobą po cichu zabierali, zrywali zielone pomidory, kwasili. Słoiki pękały, jeszcze raz zagotowywali. Jak to ukryć, zakopać, schować w śmietniku? Oto - czym się zajmowaliśmy. Byliśmy więc dla nich wrogami. Rwałem się na reaktor.

- Nie martw się - powiadają. - W ostatnim miesiącu przed demobilem wszystkich pogonią na dach.

Służyliśmy sześć miesięcy. I oczywiście po pięciu miesiącach dyslokacja, teraz już pod sam reaktor. Żarty i poważne rozmowy, że oto przez dach przepuszczą. Że do pięciu lat po tym jeszcze pociągniemy. Do siedmiu, dziesięciu. Najczęściej padała liczba „pięć". Skąd się wzięła? Bez szumu, bez paniki.

- Ochotnicy, krok w przód!

I cały szereg - krok w przód. Przed dowódcą monitor, włącza - na ekranie dach reaktora: kawałki grafitu, roztopiony bitum.

- Tu, chłopaki, widać, leżą odłamki. Oczyścić. A tu, w tym kwadracie, przebijcie otwór.

Czas - czterdzieści-pięćdziesiąt sekund. Tam i z powrotem, przebieg, rzut. Jedni napełniali nosidła, drudzy strącali. Tam, do reaktora. Zrzucasz, ale w głąb

nie patrz, nie wolno. Zaglądali jednak. Gazety pisały: „Powietrze nad reaktorem czyste". Czytaliśmy, śmialiśmy się, bluzgaliśmy. Powietrze czyste, a ot, jakie dawki chwytamy. Wydali dozymetry. Jeden - do pięciu rentgenów, w pierwszej minucie przekraczał wskaźnik, drugi, jak długopis, do dwustu rentgenów, także przekraczał. Pięć lat, powiadali, dzieci nie wolno będzie mieć. Jeśli do pięciu lat nie umrzemy. *(Śmieje się).* Żarty takie. Ale bez szumu, bez paniki. Pięć lat. Przeżyłem już dziesięć. *(Śmieje się).* Wręczali nam dyplomy. Mam dwa. Z tymi wszystkimi obrazkami: Marks, Engels, Lenin. Czerwone flagi. Jeden chłopiec zniknął, myśleli, że uciekł. Po dwóch dniach znaleźli go w krzakach. Powiesił się. Odczucie u wszystkich takie, no, sami rozumiecie. Wtedy wystąpił politruk, że niby list z domu dostał, żona odeszła. Kto go tam wie? Za tydzień wracamy do cywila, a jego znaleźli w krzakach. Był z nami kucharz, co tak się bał, że nie mieszkał w namiocie, ale w magazynie, gdzie wyrył sobie niszę pod pojemnikami z masłem i tuszonką. Przeniósł tam materac, poduszkę. Żył pod ziemią. Przysyłają zlecenie: wybrać nowe komando i wszystkich na dach. A wszyscy już tam byli. Znajdź tu takich! No i jego zaliczyli. Tylko jeden raz poszedł i - druga grupa inwalidzka. Często dzwoni do mnie. Nie zrywamy kontaktu, trzymamy się razem tej wspólnej pamięci, która będzie żyć, dopóki nie umrzemy.

W gazetach bujdy. Nigdzie nie wyczytałem, jak szyliśmy sobie kolczugi, koszule ołowiane, majtki. Wydawali nam gumowe chałaty, napełnione ołowiem. Ale slipki odlewaliśmy sobie ołowiane. Bo za kobietami patrzyliśmy. W pewnej wsi pokazali nam dwa tajne domy schadzek. Mężczyźni oderwani od domu, sześć miesięcy bez kobiet, sytuacja ekstremalna. Wszyscy tam ciągnęli. A miejscowe dziewczyny hulały, czasem płakały, że wkrótce wszyscy umrzemy. Ołowiane slipki. Ubieraliśmy je na wierzch mundurów. Opowiadaliśmy kawały. Wysłali na dach amerykańskiego robota, popracował pięć minut i stop. Robot japoński podziałał pięć minut i stop. Rosyjski robot popracował dwie godziny. Komenda z radia: „Szeregowy Iwanow, możecie na dwie godziny spuścić się do wewnątrz reaktora". *(Śmieje się).*

Przed samym wejściem na reaktor dowódca instruuje, szereg stoi. Kilku chłopaków zbuntowało się:

- Już tam byliśmy, powinno się nas odesłać do domu.

Moja, przykładowo, sprawa - paliwo, benzyna, a też mnie na dach wysyłali. Ale milczałem. Sam chciałem. A ci się zbuntowali.

- Na dach pójdą ochotnicy, pozostali krok z szeregu, prokurator z wami pogada - na to dowódca.

I chłopcy postali, naradzili się i zgłosili. Przysięgę składał, znaczy ma plamy całować. Sądzę, że nikt z nas nie kierował się tym, że mogą posadzić i dać

okres. Chodziły słuchy, że dają dwa-trzy lata. Jeśli żołnierz otrzymał więcej niż dwadzieścia pięć rentgenów, dowódcę mogli posadzić za to, że napromieniował skład osobowy. U nikogo więcej niż dwadzieścia pięć rentgenów. U wszystkich mniej. Rozumiecie?

Ale ludzie mi się podobali. Dwóch zachorowało, znalazł się jeden, co sam powiedział:

- Idę.

A już raz był na dachu tego dnia. Zauważyli to. Premia - pięćset rubli. Drugi jamę na wierzchu wykuwał, czas uciekać - wykuwa. Machamy do niego.

- Wychodź!

A ten pada i wykuwa. Dach trzeba było przebić w tym miejscu, żeby wstawić rynnę, śmieci spuszczać. I nie wstał, aż przebił. Premia - tysiąc rubli. Za te pieniądze można było wtedy kupić dwa motocykle. A teraz ma pierwszą grupę inwalidzką. Ale za strach płacili od razu.

Demobil. Poupychali w samochody. Jak jechali po strefie, trąbili. Gdy oglądam się na tamte dni, to... byłem przy czymś fantastycznym. Słów nie starcza. A oto i te słowa: „gigantyczne", „fantastyczne" - nie oddają wszystkiego. Było to takie uczucie... Jakie? Takiego uczucia nie znalazłem nawet w miłości...

Aleksandr Kubrjaz.icz, likwidator

Monolog o tym, że do zwykłego życia trzeba co nieco dołożyć, aby je pojąć

Chcecie znać fakty, szczególnie z tamtych dni? Czy moją historię? Nigdy nie zajmowałem się fotografią, a tam nagle zacząłem pstrykać. Wziąłem ze sobą zwykły aparat fotograficzny. Ot, myślałem, dla siebie. A teraz to jest mój zawód. Nie zdołałem uwolnić się od nowych przeczuć. Nie były to krótkie przeżycia, lecz cała wewnętrzna historia. Rozumiecie?

(Rozmawiamy i rozkładamy na stole, krzesłach, parapecie okiennym fotografie: gigantyczne, majestatyczne, na kole od furmanki bocianie gniazdo w opustoszałej wsi, samotny wiejski cmentarz z tabliczką u wejścia: „ Wysoka radiacja, wejście i wjazd zabronione", dziecięcy wózek na podwórzu domu z zabitymi oknami, na nim siedzi wrona, jak w swoim gnieździe, klucz Żurawi nad zdziczałymi polami...).

- Czemu nie na kolorowej kliszy? - pytają. - Rób w kolorach!

Wszak to Czarnobyl. Czarna przeszłość . Inne barwy nie pasują. A moja historia? Komentarz do tego? *(Pokazując na fotografie).* Dobrze, spróbuję. Wszystko to dziś jest... *(Znów wskazując na zdjęcia).* W tamtym czasie pracowałem w zakładzie, a zaocznie studiowałem nauki historyczne na uniwersytecie. Byłem ślusarzem drugiej kategorii. Zebrali nas w grupę, wysłali w szybkim tempie. Jak na front.

- Dokąd jedziemy?
- Dokąd każą.
- Co będziemy tam robić?
- Co każą.
- Ale jesteśmy budowniczymi.
- To i będziecie budować. Odbudowywać.

Budowaliśmy pomieszczenia pomocnicze: pralnie, magazyny, szopy. Mnie kazano lać cement. Jaki cement, skąd - nikt nie wiedział. Zalewaliśmy. W dzień mieszasz łopatą, a ku wieczorowi tylko zęby błyszczą. Człowiek w cemencie. Szary. Odzież specjalna przesiąkła na wylot. Wieczorem ją ściągasz, a rankiem znowu wkładasz. Prowadzili z nami rozmowy polityczne: bohaterowie, zryw, na samym przodzie i cały ten wojenny żargon. Co to takiego ber? Kiur? Milirentgen? Pytamy, dowódca nie może wyjaśnić, w akademii wojskowej go nie uczyli. Mili-, mikro- to chińszczyzna.

- A po co wam wiedzieć? Róbcie, co każę. Tu jesteście żołnierzami.

Żołnierzami, ale nie zekami. Zjechała komisja.

- Tu - uspokajają - wszystko w normie. Tło w normie. Ale o cztery kilometry stąd nie da się żyć, będzie się wysiedlać ludzi. A tu spokojnie.

Jest z nimi dozymetrysta, wyciąga i włącza skrzyneczkę, która wisiała mu na plecach, i długim tym czujnikiem - po naszych butach. I jak odskoczy w inną stronę - odruchowa reakcja.

I tu właśnie zaczyna się najbardziej interesujące dla ciebie, szczególnie jako pisarki. Jak długo, pomyśl, wspominaliśmy ten moment? Góra kilka dni. Tak, nie potrafimy myśleć tylko o sobie, o własnym życiu, zamknąć się w takim systemie. Nasi politycy nie umieją myśleć o cenie życia, ale i sami ludzie także. Rozumiesz? Nie tak jesteśmy ukształtowani. Z innej gliny. Oczywiście, piliśmy tam, i to zdrowo. Do nocy nie było trzeźwych. Po pierwszych dwóch pełnych ktoś zakąsza, wspomni o żonie, dzieciach, o swej pracy opowie, naklnie na kierownictwo. Ale potem, po jednej - dwóch butelkach, rozmowy schodzą na losy

[22] W oryginale: *Czernaja byl,* od: *czernaja* (czarna) i *byl* (w znaczeniu współczesnym: prawda, prawdziwe znaczenie; w dawnym znaczeniu: przeszłość).

kraju i na budowę wszechświata. Spory o Gorbaczowa i Ligaczowa [23]. O Stalina. Jesteśmy wielkim państwem, zwyciężymy Amerykanów czy nie? Osiemdziesiąty szósty rok. Czyje samoloty lepsze, a statki kosmiczne bardziej niezawodne? Wprawdzie Czarnobyl wybuchł, ale nasz człowiek pierwszy wdarł się w kosmos! I tak do zachrypnięcia, do rana. A to, że nie mamy dozymetrów i nie dają nam jakichkolwiek proszków na wszelki wypadek, nie ma sterylnych maszyn, żeby odzież specjalną prać każdego dnia, a nie dwa razy w miesiącu - wszystko to odsuwało się na dalszy plan. Cóż, tak jesteśmy ulepieni. Do diabła!

Wódka była droższa od złota. Nie można było dostać. W okolicznych wsiach wypili wszystko: wódkę, samogon, denaturat, dobrali się do lakierów, aerozoli. Na stole - trzylitrowa bańka z samogonem albo setka z wodą kolońską „Szypr". I niekończące się rozmowy. Byli wśród nas nauczyciele, inżynierowie. I pełno narodów: Rosjanie, Białorusini, Kazachowie, Ukraińcy. Filozoficzne rozmowy o tym, że jesteśmy plemnikami materializmu, a materializm sprawia, że jesteśmy przedmiotem świata, a nie podmiotem dziejów. Czarnobyl -wyjście w bezkres. Pamiętam, jak dyskutowaliśmy o losach kultury rosyjskiej, ojej ciągotach do tragizmu. Bez cienia śmierci niczego nie sposób zrozumieć. Tylko na kanwie kultury rosyjskiej można będzie przemyśleć katastrofę. Tylko ona jest do tego przygotowana. Baliśmy się bomby, grzyba atomowego, a oto jak się obróciło. Wiemy, jak płonie dom od zapałki albo pocisku. No, ale od czegoś takiego, co nie jest podobne do niczego?! Krążyły pogłoski, że to nieziemski ogień, nawet nie ogień, a światło. Migotanie, blask. Nie błękit. I nie dym. Uczeni wcześniej zasiedli na miejscu bogów, a teraz są tylko aniołami. Demonami! A ludzka natura, jak była, tak i została dla nich niewiadoma. Jestem Rosjaninem z Briańszczyzny. Siedzi u nas staruszek na progu, dom pochylił się, wkrótce się zawali, a on filozofuje, przebudowuje świat. A żyjemy pod samym reaktorem.

Zaglądali do nas reporterzy. Robili zdjęcia. Tematy wymyślone. Fotografują okno pozostawionego domu, kładą przed nim skrzypce. I tytułują: czarnobylska symfonia. A tam niczego nie trzeba było wymyślać. Chciało się zostawić w pamięci wszystko: rozwalony przez traktor globus na szkolnym boisku, poczerniałą, wypraną bieliznę, która wisi któryś już miesiąc na balkonie, porzucone wspólne mogiły. Trawa na nich równa z gipsowymi żołnierzami pomnikowymi, a na gipsowych automatach ptasie gniazda. Wyłamane drzwi domu, już go

[23] Jegor Ligaczow - w latach *pierestrojki* sekretarz KC KPZR do spraw ideologicznych, uważany za przeciwnika Michaiła Gorbaczowa, w odróżnieniu od Aleksandra Jakowlewa, sekretarza do spraw propagandy.

oszabrowali, choć firanki w oknach zasłonięte. Ludzie uciekli, zostały ich fotografie w chatach. Jak ich dusze. Nie było niczego nieważnego, drugorzędnego. Wszystko to chciało się zapamiętać w całości i drobiazgach: porę dnia, kiedy to zobaczyłem, kolor nieba, swoje odczucia. Człowiek wyjechał z tych miejsc na zawsze. Jesteśmy pierwszymi ludźmi odczuwającymi to „na zawsze". Nie wolno opuścić żadnego drobiazgu. Twarze starych wieśniaków, podobne do ikon. Mniej niż inni pojmują, co się stało. Nigdy nie opuścili swojego podwórka, swojej ziemi. Pojawili się na świecie, kochali się, dobywali chleb powszedni w pocie czoła, podtrzymywali ród, doczekiwali się wnuków i przeżywszy życie, opuszczali tę ziemię, kładąc się w nią, stając się nią. Białoruska chata! To dla nas, miastowych, dom - samochód przez życie. A dla nich cały świat. Kosmos. Jedziesz przez opuszczone wsie i... Tak chciałoby się spotkać człowieka. Rozgrabiona cerkiew. Zaszliśmy: pachniało woskiem. Zachciało się pomodlić.

Chciałem to wszystko zapamiętać. Zacząłem fotografować. To moja historia.

Niedawno pogrzebałem przyjaciela, z którym tam byłem. Zmarł na raka krwi. Po słowiańsku wypiliśmy, zakąsiliśmy. I znowu rozmowy do północy. Z początku o zmarłym, o minionym. A potem? A potem znowu o losie kraju i o budowie wszechświata. Wyjdą wojska rosyjskie z Czeczenii czy nie? Zacznie się druga wojna kaukaska czy już trwa? Jakie ma szanse na prezydenta Żyrinowski? A jakie Jelcyn? O Koronie brytyjskiej i księżniczce Dianie. O monarchii rosyjskiej. O Czarnobylu. Teraz już różne domysły. Jeden z nich, że istoty z innych planet wiedziały o katastrofie i pomogły nam. Inny, że to był kosmiczny eksperyment i za jakiś czas zaczną się rodzić dzieci z genialnymi umiejętnościami. A może Białorusini znikną, jak zniknęli Scytowie, Chazarowie, Sarmaci, Sumerowie, Aztekowie? Jesteśmy metafizykami. Żyjemy nie na ziemi, ale w marzeniach, w opowieściach. Do codziennego życia trzeba nam co nieco dorzucić, żeby je pojąć. Nawet wraz ze śmiercią.

Wiktor Latun, fotograf

Monolog o potworku, którego i tak przyjdzie kochać

Córka niedawno powiedziała:

- Mamo, jeśli urodzę potworka, i tak będę go kochać.

Wyobrażasz sobie?! Jest w dziesiątej klasie, a już ma takie myśli. Jej koleżanki także o tym mówią. Znajomym urodził się chłopczyk. Czekali na niego, pierwsze dziecko. Piękna młoda para. A u chłopca usta od ucha do ucha, a uszu

nie ma. Nie chodzę do nich, nie odwiedzam jak wcześniej, nie mogę, ale córka zachodzi. Chce tam iść, żeby przyglądać się i porównywać.

Moglibyśmy stąd wyjechać, ale po namyśle z mężem odstąpiliśmy od tego. Boimy się. Wszyscy tutaj to czarnobylcy. Nie straszymy się wzajemnie, jeśli ktoś ugości jabłkami albo ogórkami ze swojego sadu i ogrodu, bierzemy je i jemy, nie chowamy wstydliwie do kieszeni, teczki, żeby potem wyrzucić. Jesteśmy z tą samą pamięcią. Z tym samym losem. A w innym miejscu bylibyśmy obcy. Skażeni.

Wszyscy przywykli do słów „czarnobylcy", „czarnobylskie dzieci", „czarnobylskie przesiedlenie". Ale nic o nas nie wiecie. Boicie się nas. Zapewne, gdyby nas nie wypuszczali stąd, postawili kordony milicyjne, wielu z was by się uspokoiło. *(Zastanawia się).* Nie udowadniajcie, że jest odwrotnie, nie przekonujcie. Przeżyłam już to. W tamtych dniach chwyciłam córeczkę i przybyłam do Mińska, do siostry. Moja rodzona siostra nie wpuściła nas do domu, bo miała maleńkie dziecko, karmiła piersią. Wyobrażacie sobie? I nocowaliśmy na dworcu. Wariackie myśli przychodziły do głowy. Dokąd mamy uciec? Może lepiej skończyć ze sobą, żeby się nie męczyć?

To w pierwszych dniach. Wszyscy wyobrażali sobie jakieś straszne choroby. Niewyobrażalne. A przecież jestem lekarzem. Można się tylko domyślać, co się działo z innymi. Patrzę na nasze dzieci: dokądkolwiek pojadą, czują się obce wśród swoich rówieśników. Na obozie pionierskim, gdzie moja córka któregoś roku odpoczywała, bali się podejść do niej.

- Czarnobylski jeżyk. Świetlik. W ciemności się świeci - mówili.

Wieczorem wywoływali na dwór, aby się przekonać - świeci czy nie.

Powiadają - wojna, wojenne pokolenie. Cóż, ono jest szczęśliwe! Odnieśli zwycięstwo! Dało to ich życiu wiele energii, jeśliby posługiwać się dzisiejszymi terminami, silniejszą chęć do przeżywania. Niczego się nie bali. Chcieli żyć, uczyć się, rodzić dzieci. A my? My boimy się wszystkiego. Boimy się o dzieci, o wnuki, których jeszcze nie ma. Nie ma ich jeszcze, a my już w lęku o nie. Ludzie mniej się kochają, nie śpiewają, jak wcześniej śpiewali na uroczystościach. To tylko obraz się zmienia, kiedy zamiast pól, znowu podnoszą się lasy, zarośla.

No i charakter narodowy. Wszyscy w depresji. Poczucie przemijalności. Czarnobyl - metafora. Symbol. I nasz byt, obraz myślenia.

A innym razem myślę, że lepiej, gdyby o nas nie pisali. Wtedy mniej by się nas bali. Nie mówi się w domu chorego na raka o jego strasznej chorobie. W celi odsiadującego dożywocie nikt nie wspomina o terminie wyjścia.

Nadieżda Afanasiewna Burakowa,
mieszkanka miejskiego osiedla Chojniki

Monolog o niemym żołnierzu

Do zony więcej nie pojadę, a wcześniej mnie ciągnęło. Jeśli będę to widziała, myślała o tym, zachoruję i umrę. Pamiętacie film *Idź i patrz*[24]. Nie mogłam go obejrzeć do końca, straciłam rozeznanie. Tam zabijali krowę. Jej oczy na całym ekranie. Jak zabijali ludzi już nie widziałam. Nie!!! Twórczość to miłość, jestem o tym przekonana całkowicie! Nie chcę włączać telewizora, czytać dzisiejszych gazet. Tam wciąż zabijają. W Czeczenii, Bośni. Tracę rozsądek, mąci mi się spojrzenie. Banalność zła. Dzisiejsze zło na ekranie ma być straszniejsze od wczorajszego. Inaczej już nie jest straszne. Przeszliśmy w tym diabła.

Jadę wczoraj w trolejbusie. Scenka: chłopczyk nie ustąpił miejsca staruszkowi. Ten go uświadamia:

- Będziesz stary, to także ci nie ustąpią.
- Nigdy nie będę stary - odpowiada chłopiec.
- Dlaczego?
- Wszyscy szybko umrzemy.

Wokół rozmowy o śmierci. Dzieci myślą o śmierci. A nad tym rozmyśla się w końcówce życia, a nie na początku.

Widzę świat w scenkach. Ulica jest dla mnie teatrem, dom także. Nigdy nie pamiętam całości wydarzeń, lecz w detalach, gestach.

Wszystko przesunęło się w pamięci, przemieszało. Coś z kina, coś z gazet, coś gdzieś tam widziałam, słyszałam, podpatrzyłam.

Widzę: brnie po porzuconej wiejskiej ulicy ogłupiały lis. Cichy, nieśmiały, jak dzieciak. Łasi się do zdziczałych kotów, kur.

Cicho. I nagle wśród tej ciszy dziwaczna ludzka rzecz: „Gosza dobry. Gosza dobry". To na starej jabłoni kołysze się porzucona klatka z otwartymi drzwiczkami. Papuga rozmawia ze sobą.

Dlaczego to zbieram? Nigdy nie wystawię spektaklu o Czarnobylu, tak jak nie wystawiłam żadnego o wojnie. Nigdy u mnie nie będzie na scenie martwego człowieka. Nawet martwego jeżyka ani ptaka. W lesie podeszłam do sosny, coś szarego. Myślałam, że grzyby, a to martwe wróble z łapkami do góry. Tam, w zonie. Nie rozumiem śmierci. Wstrzymuję się z myśleniem o niej, żeby nie postradać zmysłów. Wojnę trzeba pokazywać w sposób tak straszny, żeby człowieka odrzucało. Żeby się rozchorował. To nie widowisko.

[24] *Idź i patrz* - głośny, szokujący scenami okrucieństwa film w reż. Elema Klimowa z 1985 r. o niemieckiej okupacji Białorusi; zagłada wsi rodzinnej widziana oczyma kilkunastoletniego chłopca.

W tamte pierwsze dni, kiedy jeszcze nie pokazali ani jednego ujęcia, a już sobie wyobrażałam: zawalone pokrycia, zburzone ściany, dym, rozbite szkło. Gdzieś wywożą przycichłe dzieci. Warczenie aut. Dorośli płaczą, a dzieci nie. Nie zamieścili jeszcze żadnej fotografii. Zapewne, jeśli zapytać ludzi, innego obrazu apokalipsy nie mamy: wybuch, pożar, trupy, panika. Ja to znam z dzieciństwa. *(Milknie).* Ale o tym potem, oddzielnie. Stało się co innego. Inny strach. Nie widać go i nie słychać, nie ma zapachu, koloru, a fizycznie i psychicznie się zmieniamy. Zmienia się struktura krwi, kod genetyczny, zmienia się obraz, bez względu na to, co byśmy myśleli, czynili. Oto wstaję rankiem, piję herbatę, idę na próby do studentów. I jest im potrzebne to moje przyjście. Jak znak. Jak pytanie. Nie mogę tego do niczego porównać. Od dzieciństwa pamiętam coś takiego niepodobnego do niczego.

Widziałam raptem jeden dobry film o wojnie. Zapomniałam tytułu. Film o niemym żołnierzu. Milczał przez cały film. Niemka w ciąży, brzemienna od rosyjskiego żołnierza. I urodziło się dziecko, w drodze, na furmance. Podniósł je na rękach i trzyma, i noworodek sika na jego automat. Mężczyzna śmieje się. Ten jego śmiech. Patrzy na maleństwo, na swój automat i śmieje się. Koniec filmu.

W filmie nie ma Rosjan i Niemców. Jest okropność - wojna. Ale teraz, po Czarnobylu, wszystko się zmieniło. I to także. Zmienił się świat, odtąd nie wydaje się wieczny, jaki był do niedawna. Ziemia nagle stała się mała. Straciliśmy nieśmiertelność - oto co się z nami stało. I widzę w telewizorze, jak ubywa nam każdego dnia. Strzelają. Dziś strzelają ludzie bez nieśmiertelności. Jeden człowiek zabija drugiego. Po Czarnobylu!

Miałam trzy lata, kiedy mnie z matką wywieźli do Niemiec, do obozu koncentracyjnego. Pamiętam wszystko - piękne. Możliwe że mam już taką naturę. Wysoką górę pamiętam. Ciągle ni to deszcz, ni śnieg, ogromnym czarnym półkolem stali ludzie, wszyscy mieli numery. Numery na bucikach. Na plecach. Wszędzie numery, numery. Kolczasty drut. Na wieży stoi człowiek w hełmie, biegają psy, szczekają głośno, bardzo głośno. I żadnego strachu. Dwóch Niemców, jeden wielki, tłusty, w czerni, a drugi mały, w szarym mundurze. Ten, co w czerni, pokazuje gdzieś ręką. Z ciemnego półkola wyłania się czarny cień i staje się człowiekiem. Niemiec w czerni zaczyna go bić.

Pamiętam wysokiego, pięknego Włocha. Cały czas śpiewał.

Miałam etiudy o wojnie. Próbowałam. Nic nie zaliczyłam. Nigdy nie wystawię spektaklu o wojnie. Nie sprawdzi się.

Do czarnobylskiej zony zawieźliśmy wesołe przedstawienie *Studnio, daj wody*. Bajkę. Przyjechaliśmy do miasta Chotimsk[25], gdzie jest dom dziecka. Nigdzie ich nie wywieźli. Antrakt. Nie reagują, nie wstają, milczą. Druga odsłona. Kończy się spektakl, znowu nie reagują, nie wstają, milczą. Studenci moi w płacz, zebrali się za kulisami: co się dzieje? Potem zrozumieliśmy: uwierzyli we wszystko, co się działo na scenie, gdzie przez cały spektakl czekają na cud. Zwyczajne dzieci zrozumiałyby, że to teatr. A tamte czekały na cud.

U nas, Białorusinów, nigdy nie było niczego wiecznego. Nie mieliśmy nawet odwiecznej ziemi, cały czas ktoś ją zabierał, zamiatał ślady po nas. I nie mogliśmy żyć czymś odwiecznym, jak w Starym Testamencie napisano: ten urodził tego, ten tego. Nie wiemy, co z tą odwiecznością robić, nie potrafimy z nią żyć. Nie potrafimy jej przemyśleć. I, koniec końców, darowano ją nam. Naszą odwiecznością jest Czarnobyl. Oto objawił się nam. A co my? Śmiejemy się. Ludzie współczują człowiekowi, któremu spalił się dom, saraj, wszystko pogorzało. A on w odpowiedzi:

- Ale ile myszy zniknęło! - i czapką o podłogę.

W tym jest cały Białorusin!

A nasi bogowie się nie śmieją. Są męczennikami. To starożytni Grecy mieli śmiejących się bogów. A cóż z fantazją, snami, kawałami - to także teksty. O tym, kim jesteśmy. Ale nie potrafimy ich czytać. Wszędzie słyszę jedną melodię, jak się ciągnie. Ni to melodia, ni pieśń, ni mówienie. To zaprogramowanie naszego narodu do kochania biedy. Nieprzemijające oczekiwanie biedy. A szczęście? Szczęście - rzeczą tymczasową, przemijającą. Powiadają ludzie: „Jedna bieda to nie bieda", „Od biedy kijem się nie obronisz", „Gdziekolwiek się ruszysz, zawsze bieda", „Nie do kolędy, kiedy chata pełna biedy". Oprócz utraty nie ma u nas nic innego. Ani innej historii, ani innej kultury.

A moi studenci kochają się, rodzą dzieci. Słabe i ciche. Po wojnie wróciłam z obozu koncentracyjnego. Przeżyłam. Wtedy trzeba było tylko przeżyć. Mogłam zamiast wody jeść śnieg, latem nie wyłazić z rzeki, nurkować po sto razy. Ich dzieci nie mogą jeść śniegu. Nawet najczystszego, białego śniegu.

Lilja Michajlowna Kuzmienkowa,
wykładowca Mohylewskiej Szkoły Kultury, reżyser

[25] Chotimsk - miasto rejonowe w obwodzie mohylewskim.

Monolog o wiecznym i przeklętym:
cóż robić i kto zawinił?

Jestem człowiekiem swojego czasu. Modnie i bezpiecznie nas teraz obwiniać. Wszyscy komuniści to teraz przestępcy. Teraz odpowiadamy za wszystko, nawet za prawa fizyki. Wtedy byłem pierwszym sekretarzem partii rajkomu. Piszą w gazetach, że podobno winni są komuniści, bo budowali złe, przestarzałe elektrownie atomowe, oszczędzali, nawet nie liczyli czarnobylskich żywotów. Człowiek był dla nich piaskiem, nawozem historii. Bierzcie ich! Bierzcie! Przeklęte pytania: cóż robić i kto zawinił? Odwieczne i niezmienne. Wszystko w cierpieniu, w żądzy zemsty, krwi. Bierz ich! Bierz!

Inni milczą, ale ja powiem. Napiszcie. Nie wy konkretnie, ale w gazetach piszą, że komuniści oszukiwali lud, ukrywali przed nim prawdę. Powinniśmy byli... Telegramy z KC, z komitetu obwodowego, mieliśmy wykonać zadanie, aby nie dopuścić do paniki. Panika to naprawdę straszna rzecz. Tylko w czasie wojny tak śledzili wieści z frontu jak wtedy doniesienia z Czarnobyla. Strach. Pogłoski. Ludzie zginęli nie od radiacji, ale wypadków. Powinniśmy byli... Trzeba przypominać, że wtedy wszystko ukrywali, nikt nie rozumiał następstw nadchodzącego. Kierowali się wyższymi racjami. Ale jeśli odrzucić emocje, trzeba odrzucić politykę. Przyznać, że nikt nie wierzył w to, co się stało. Nawet uczeni nie mogli uwierzyć! Żadnego na to przykładu. Nie tylko u nas, na całym świecie. Uczeni tam, w elektrowni, rozpoznawali sytuację. I tam podejmowali decyzje. Niedawno oglądałem program „Chwila prawdy" z Aleksandrem Jakowlewem[26], członkiem politbiura, głównym ideologiem partii za Gorbaczowa. Co mówił? Oni tam, na górze, także nie mieli pełnego obrazu. Na posiedzeniu politbiura ktoś z generałów wyjaśniał:

- Radiacja? Na poligonie, po wybuchu atomowym. Wieczorem wypiliśmy po butelce czerwonego wina. Nic więcej.

Mówił o Czarnobylu jak o zwyczajnej awarii.

I powiedz wtedy, że ludzi nie wolno wywoływać na ulice. („Co ty, chcesz przerwać Pierwszego Maja?"). Sprawa polityczna. Legitymacja partyjna na stół. *(Nieco uspokaja się).* To nie żart, to prawda. Tak było. Opowiadają, że przewodniczący Komisji Rządowej Szczerbyna[27], przybywszy do elektrowni w pierwszych dniach po wybuchu, chciał, żeby go natychmiast zaprowadzono do miejsca wypadku. Wyjaśniają mu, że tam zwały grafitu, szalone pola radiacji, wysoka temperatura.

- Muszę wszystko zobaczyć na własne oczy! - krzyczał na podwładnych. - Mam wieczorem referować na politbiurze.

Wojenny stereotyp zachowania. Innego nie znali. Nie rozumieli, co to fizyka. Reakcja wiązana. I że żadne rozkazy ani postanowienia rządowe nie zmienią tego. No więc powiedz coś im wtedy! Spróbuj odwołać demonstrację pierwszomajową! *(Znowu się zapala).* W gazetach piszą, jakoby naród był na ulicach, a my siedzieliśmy w bunkrach podziemnych! Stałem na trybunie dwie godziny pod tamtym słońcem. Bez nakrycia głowy, bez płaszcza. I 9 maja też. W Dzień Zwycięstwa szedłem z weteranami. Grano na harmoszce, tańczyliśmy, piliśmy. Wszyscyśmy byli cząstką tamtego systemu. Wierzyliśmy! Wierzyliśmy w wyższe ideały! W zwycięstwo! Zwyciężymy i Czarnobyl! Zachłystywaliśmy się heroicznym bojem o poskromienie reaktora, który wyrwał się spod ludzkiej władzy. Człowiek bez ideałów? To takie straszne. Co się dziś porobiło? Rozpad, bezwład. Ideały są potrzebne. Tylko wtedy będzie silne państwo. Wyższe ideały! Mieliśmy je.

W gazetach, w radiu i w telewizji krzyczeli: prawdy, prawdy!!! Na mityngach nawoływali: prawdy! Jakiej? Że jest źle, bardzo źle?! Że szybko wszyscy umrzemy! Komu potrzebna taka prawda? Kiedy do Konwentu dorwały się tłumy i żądały kaźni Robespierre'a, czyżby miały rację? Poddać się woli tłumu, stać się tłumem. Obejrzyjcie się wokół. Popatrzcie, co następuje teraz? *(Milczy).* Jeśli jestem przestępcą, to kim jest moja wnuczka, dzieciątko moje? Także jest chora. Córka urodziła ją tej wiosny, przywiozła ją nam do Sławgarodu w pieluszkach, w wózku. Przyjechały po kilku tygodniach od wybuchu w elektrowni. Krążą śmigłowce, na drogach wojskowe samochody. Żona prosiła:

- Trzeba ich wysłać do krewnych, wywieźć stąd.

Byłem pierwszym sekretarzem partii rajkomu. Zabroniłem kategorycznie:

- Cóż ludzie pomyślą, jeśli swą córkę z dzieckiem wywiozę? Wszak ich dzieci zostaną tutaj.

Tych, co zwiewali, ratowali swoją skórę, wzywałem do rajkomu, do gabinetu.

- Jesteś komunistą czy nie? - pytałem.

I ludzie kontrolowali się. Jeśli jestem przestępcą, to dlaczego zabijałem własne dziecko? *(Dalej chaotycznie).*

Chcieliście, bym opowiadał o tamtych dniach. Na Ukrainie trwoga, a u nas na Białorusi spokojnie. Szczyt wiosennych siewów. Nie chowałem się, nie przesiadywałem w gabinetach, kręciłem się po polach, łąkach. Orali, siali. Za-

[26] Aleksandr Jakowlew - sekretarz KC do spraw propagandy w czasach *pierestrojki,* uważany za jej zwolennika, opowiadający się m.in. za ujawnieniem przyczyn i skutków czarnobylskiej katastrofy.

[27] Borys J. Szczerbyna - wicepremier rządu ZSRR w czasie awarii, przewodniczący komisji rządowej powołanej dla wyjaśnienia przyczyn i oceny skutków awarii.

pomnieliście, że aż do Czarnobyla nazywali atom pomocnikiem pokoju, pysznili się: żyjemy w erze atomowej. Nie pamiętam atomowego strachu. No, cóż to takiego - pierwszy sekretarz partii w rajonie? Zwyczajny człowiek, ze zwykłym dyplomem ukończenia studiów, najczęściej inżynier albo agronom. Niektórzy ukończyli jeszcze wyższą szkołę partyjną. Wiedziałem o radiacji to, co zdołali nam opowiedzieć na kursach obrony cywilnej. Nie słyszałem tam ani słowa o cezie w mleku, o stroncie. Woziliśmy mleko z cezem do mleczarń. Oddawaliśmy mięso. Kosiliśmy trawę z czterdziestoma kiurami skażenia. Wypełnialiśmy plany. Wyduszałem je. Nikt ich z nas nie zdjął.

Jeden rys o tym, jacy wtedy byliśmy. W tamte pierwsze dni ludzie doświadczali nie tylko strachu, ale i entuzjazmu. Jestem człowiekiem, u którego nie występuje instynkt samozachowawczy. *(Zamyślił się).* Silnie rozwinięte poczucie długu. Miałem na stole dziesiątki podań z prośbą: „Proszę mnie wysłać do Czarnobyla". Ochotnicy. Cokolwiek byście tam nawypisywali, ale to był ten sowiecki charakter. I był sowiecki człowiek.

Przyjeżdżali do nas uczeni, kłócili się głośno, do zachrypnięcia. Podchodzę do jednego.

- Nasze dzieci bawią się w radioaktywnym piasku? - pytam.

A ten mi w odpowiedzi:

- Panikarze! Dyletanci! Cóż wiecie o radiacji? Jestem fizykiem jądrowym. Ot, nastąpił wybuch atomowy. Przez dwadzieścia minut łazikiem jechałem do epicentrum. Po gołej ziemi. Czemu wzniecacie panikę?

Wierzyłem im. Wzywałem do swego gabinetu ludzi.

- Bracia! Ucieknę, to i wy uciekniecie. Cóż ludzie o nas pomyślą? Powiedzą, że komuniści zdezerterowali?

Jeśli nie przekonywałem słowami, uczuciami, działałem inaczej.

- Jesteś patriotą czy nie? Jeśli nie - legitymacja partyjna na stół. Rzucaj!

Niektórzy rzucali.

Coś zacząłem podejrzewać. Zawarliśmy umowę z Instytutem Fizyki Jądrowej w sprawie obserwacji naszych ziem. Biorą trawę, biorą płaty czarnoziemu i wiozą do siebie, do Mińska. Tam przeprowadzają analizy. I potem dzwonią do mnie.

- Zorganizujcie, proszę, transport, żeby wziąć z powrotem swoją glebę - mówią.

- Żartujecie? Do Mińska czterysta kilometrów - omal nie wypuściłem słuchawki z rąk. - Wieźć ziemię z powrotem?

- To nie żarty - odpowiadają. - Takie próbki według instrukcji podlegają zasypaniu w mogilniku, w podziemnym bunkrze z żelazobetonu. Zwożą nam je z całej Białorusi. W ciągu miesiąca całą pojemność zapełniliśmy do cna.

Słyszeliście? A my na tej ziemi orzemy, siejemy. Nasze dzieci bawią się na niej. Domagają się planów na mleko i mięso. Z ziarna pędzili spirytus. Jabłka, gruszki, wiśnie szły na soki.

Ewakuacja. Gdyby ktokolwiek spojrzał z lotu ptaka, pomyślałby, że zaczęła się trzecia wojna światowa. Jedną wieś wywożą, a drugą uprzedzają: ewakuacja za tydzień! I przez cały ten tydzień układają słomę w sterty, koszą trawę, grzebią w ogrodach, rąbią drwa. Życie jak życie. Ludzie nie rozumieją, co się dzieje. A po tygodniu wywożą ich samochodami wojskowymi. Obwieszczenia, delegacje, sztorcowanie, noce bezsenne. Tyle tego było. Koło gorkomu[28] w Mińsku stoi człowiek z plakatem: „Dajcie narodowi jodu". Gorąco, a on w płaszczu.

(Wraca do początku rozmowy).

Wtedy... Elektrownie atomowe to przyszłość. Nieraz występowałem, propagowałem. Byłem w jednej: cicho, uroczyście, czysto. W kącie czerwone znaki i proporce „Zwycięzca socjalistycznego współzawodnictwa". Nasza przyszłość...

Jestem człowiekiem swojego czasu. Nie jestem przestępcą...

Władimir Matwiejewicz Iwanow,
były pierwszy sekretarz rajpołkomu partii w Sławgarodzie

Monolog obrońcy władzy sowieckiej

Cóż tam zapisujesz? Kto ci pozwolił? Fotografujesz? Zabierz to swoje cacko. Schowaj. Ja to zdemaskuję. O żeż ty, przyjechała... Żyjemy. Żniwa. Mącisz ludziom w głowie. Buntujesz. Wypytujesz nie o to, co trzeba. Dziś nie ma porządku! Nie ma! O żeż ty, przyjechała... Z magnetofonem.

Tak, bronię. Bronię władzy sowieckiej. Naszej władzy. Ludowej! Pod władzą sowiecką byliśmy silni, wszyscy się nas bali. Cały świat patrzył na nas! Jednych trzęsło ze strachu, drudzy biedowali. K...! A teraz co? Dziś? Za demokracji. „Snikersy" i zleżałą margarynę przywożą, znoszone dżinsy, jak tubylcom, co niedawno zeszli z drzewa. Z palmy. To uwłacza państwu! O żeż ty, przyjechała... A takie było państwo! K...! Dopóki nie nastał Gorbaczow i jego carstwo. Czort ze znamieniem na łysinie! Gorbi, Gorbi! A Gorbi działał według ich planów, planów CIA... Cóż mi tu udowadniasz? O żeż ty... To oni

[28] Górkom (skrót od: *Gorodskij komitet)* - Komitet Miejski partii.

zrobili wybuch w Czarnobylu. CIA i demokraci. Czytałem w gazetach. Gdyby nie wybuchł Czarnobyl, państwo by nie runęło. Wielkie państwo! K...! O żeż ty... Bochen chleba kosztował za komunistów dwadzieścia kopiejek, a teraz dwa tysiące. Za trzy ruble kupowałem butelkę, a jeszcze zostało na zakąskę. A za demokratów? Wszystko rozprzedali! Zastawili! Nasze wnuki się nie rozliczą.

Nie jestem pijany, jestem za komunistami! Byli dla nas, dla prostych ludzi. Bajek mi nie trzeba! Demokracja... Wolny człowiek... K...! Gdy umrze ten wolny człowiek, nie ma go za co pochować. Zmarła babcia. Samotna, bezdzietna. Dwa dni biedaczka leżała w chałupie. W starej kufajce. Pod obrazami. Trumny nie mogli kupić. A kiedyś była stachanówką, brygadzistką. Dwa dni nie wychodziliśmy na pole. Demonstrowaliśmy. K...! Dopóki przewodniczący kołchozu nie wystąpił. Przed narodem. I nie obiecał, że teraz kiedy umrze człowiek, kołchoz wydzieli bezpłatnie: trumnę drewnianą, cielaka albo prosiaka i dwie skrzynki wódki na stypę. Za demokratów... Dwie skrzynki wódki. Bezpłatnie! Butelka na jednego chłopa - na przepicie, pół litra - na leczenie. Nas. Z radiacji.

Czemuż tego nie zapisujesz? A zapisujesz tylko to, co wam wygodne. Mącisz ludziom w głowach. Buntujesz. Potrzebny polityczny kapitał? Nabijać kieszenie dolarami? Tu żyjemy. Cierpimy. A winnych nie ma! Nazwij ich po imieniu. A ja za komunistami! Wrócą tu i znajdą winnych. K...! O żeż ty, przyjechała... Zapisuje...

(Nazwiska nie podał)

Monolog o tym, jak dwaj aniołowie spotkali małą Oleńkę

Mam materiały. Siedem lat zbierałam - wycinki z gazet, zapiski, liczby. Wszystko oddam. Nigdy już nie odejdę od tego tematu, ale sama napisać nie umiem. Mogę dobijać się: organizować demonstracje, pikiety, zdobywać lekarstwa, odwiedzać chore dzieci - ale nie mogę pisać. Weźcie. Mam tyle odczuć, że nie daję sobie z nimi rady, paraliżują mnie. Czarnobyl ma już swoich Stalkerów[29]. I swoich pisarzy. Nie chcę wejść do kręgu tych, którzy eksploatują ten temat. Jeśli pisać, to uczciwie! *(Zamyśla się).*

[29] Stalker - tytułowy bohater filmu Andrieja Tarkowskiego z 1979 r. (wg adaptacji powieści Arkadija i Borysa Strugackich); film o wyprawie do strefy zakazanej przedstawiający wizję świata zdegradowanego, z filozoficzną refleksją o potrzebie wiary i nadziei.

Tamten ciepły deszcz kwietniowy. Dobrze go pamiętam. Deszczyki padały jak rtęć. Powiadają, że radiacja jest bezbarwna, ale kałuże stawały się zielone albo jaskrawożółte. Sąsiadka szeptem oznajmiła, że w Radiu „Swoboda" ogłosili o awarii w czarnobylskiej elektrowni atomowej. Nie przywiązywałam do tego żadnej wagi. Absolutnie ufałam, że gdyby to było coś poważnego, powiadomiliby nas. Działa przecież technika specjalna, specjalna sygnalizacja na wypadek wybuchu. Uprzedziliby nas. Byliśmy tego pewni! Wszyscy przechodziliśmy kursy obrony cywilnej. Prowadziłam tam nawet zajęcia. Wieczorem tegoż dnia sąsiadka przyniosła jakieś proszki. Dał je jej krewny, wyjaśnił, jak zażywać (pracował w Instytucie Fizyki Jądrowej), ale kazał jej zaręczyć słowem, że będzie milczeć jak ryba. Jak kamień! Szczególnie bał się rozmów i pytań przez telefon.

W tym czasie mieszkał u mnie mały wnuczek. A ja? A ja jednak nie uwierzyłam. Nikt z nas nie zażył tych proszków. Ufaliśmy władzy. Nie tylko starsi, młodzi też.

Wspominam pierwsze wrażenia, pierwsze pogłoski. Przechodzę z jednego czasu w drugi, z jednego stanu w drugi. Stamtąd - tutaj. Jako człowiek piszący rozmyślałam nad tymi przejściami, nurtowały mnie. Jest we mnie dwóch ludzi - przedczarnobylski i czarnobylski. Ale to „przed" trudno wyodrębnić z pełną dokładnością. Spojrzenie zmienia się przecież.

Jeździłam do zony od pierwszych dni. Pamiętam, zatrzymaliśmy się w jakiejś wsi i co mnie poraziło? Cisza! Idziesz ulicą - cisza. Chaty wymarłe, ludzi nie ma, wszystko wokół zamilkło, ni głosu ptaka.

Przyjechaliśmy do wsi Czudziany - sto czterdzieści dziewięć kiurów. We wsi Malinowka - pięćdziesiąt dziewięć kiurów. Ludności zagrażały dawki dziesiątki tysięcy razy większe od tych, jakich doznają żołnierze strzegący rejonów przechowywania bomb jądrowych na poligonach. Dziesiątki tysięcy razy więcej! Dozymetr trzeszczy, wskazówki przekraczają czerwoną kreskę. A w kołchozowych kantorach wiszą obwieszczenia podpisane przez rejonowych radiologów, że cebulę, sałatę, pomidory, ogórki - wszystko to można jeść. Wszystko, co rośnie, jedzą.

Cóż oni na to teraz, ci rejonowi radiologowie? Sekretarze rajkomów partii? Czym się usprawiedliwiają?

We wszystkich wsiach spotykaliśmy wielu ludzi pijanych. Chodzili na rauszu, nawet kobiety, szczególnie dojarki, cielętniczki[30].

[30] Cielętniczki (w oryginale: *tieljatnicy)* - pracownice zatrudnione w cielętniku, wydzielonej części obory, w której hoduje się bydło rogate.

W tejże wsi Malinowka (rejon czirikowski[31]) zaszliśmy do przedszkola. Dzieci biegają na dworze. Bawią się w piasku. Dyrektorka wyjaśnia, że piasek zmieniają co miesiąc. Skądś tam przywożą. Można sobie wyobrazić, skąd mogli go przywieźć... Dzieci osowiałe. Żartujemy, ale nie śmieją się. Hospitowana rozpłakała się.

- Nie starajcie się, nasze dzieci się nie uśmiechają. A przez sen płaczą.

Spotkaliśmy na drodze kobietę z noworodkiem.

- Kto doradził teraz rodzić? Pięćdziesiąt dziewięć kiurów... - mówię.

- Lekarz radiolog przyjeżdżała. Radziła tylko nie suszyć pieluch na powietrzu.

Ludzi przekonywali, aby nie wyjeżdżali. Niech zostaną. Plany trzeba wypełnić. Nawet gdy wieś wysiedlili, nadal przywozili ludzi do prac polowych, zbierania ziemniaków.

Co oni na to teraz? Ci sekretarze rajkomów i obkomów? Czym się usprawiedliwiają?

Zachowałam wiele instrukcji. Ściśle tajnych. Wszystkie przekazuję. Napisz uczciwą książkę. Instrukcję do obróbki skażonych kurzych tuszek. W hali przy ich oprawianiu należało być odzianym jak na zagrożonym terytorium przy kontakcie z pierwiastkami radioaktywnymi: w gumowych rękawiczkach i gumowych chałatach, butach i wszystkim innym też z gumy. Jeśli tam mniej kiurów, trzeba wyparzyć w solonej wodzie, wylać wodę do kanalizacji, a mięso przemielić na pasztety, kiełbasy. Jeśli kiurów było więcej - w mączkę kostną, na paszę dla zwierząt. Tak wypełniano plany mięsne. Ze skażonych rejonów cielęta sprzedawali w inne miejsca po zaniżonej cenie. Kierowcy, co je wozili, opowiadali, że były dziwaczne - sierść do samej ziemi, a tak wygłodniałe, że zjadały wszystko - i szmaty, i papier. Karmić je było łatwo. Sprzedawali do kołchozów, ale jeśli kto chciał, mógł je sobie wziąć. Do swego gospodarstwa. Kryminalne sprawy! Kryminalne!!!

Spotkaliśmy na drodze auto. Ciężarowy samochód jechał powoli, jak na pogrzebie z nieboszczykiem. Stanęli. Za kierownicą młody chłopiec.

- Jest ci niedobrze, że tak powoli jedziesz? - pytam.

- Nie, wiozę radioaktywną ziemię.

A upał i pył!

- Zwariowałeś! - krzyczę. - Przed tobą ożenek, płodzenie dzieci.

[31] Czirikow - miasto rejonowe w obwodzie mohylewskim, jeden z sześciu rejonów na Mohylewszczyźnie dotkniętych radiacją.

- A gdzie indziej zarobię pięćdziesiąt rubli za jeden przejazd?

Za pięćdziesiąt rubli można było wtedy dostać dobry garnitur. I o pensjach mówili częściej niż o radiacji. O zarobkach i jakichś mizernych premiach. Mizernych w porównaniu z ceną życia.

Tragiczne i śmieszne zarazem.

Siedzą babcie na ławkach przy domu. Dzieci biegają. Zmierzyliśmy - siedemdziesiąt kiurów.

- Skąd te dzieci? - pytam.

- Z Mińska przyjechały na lato.

- Przecież u was wielka radiacja!

- Co ty tam wiesz o tej radiacji? Myśmy ją widziały.

- Przecież nie można jej zobaczyć.

- To patrz! Dom nie skończony, ludzie porzucili i wyjechali. Poszłyśmy tam wieczorem i zaglądamy w okno. A ona siedzi sobie pod belką, ta cała radiacja. Zła taka i oczy się błyszczą. Czarna, bardzo czarna.

- To niemożliwe!

- Przysięgniemy ci. Znakiem krzyża zaświadczymy!

I żegnają się. Wesoło tak. Śmieją się z siebie czy z nas?

Po wyjazdach zbieramy się w redakcji.

- No i jak się sprawy mają? - pytamy jeden drugiego.

- Wszystko normalnie!

- Normalnie? Spójrz na siebie w lustrze. Przyjechałeś siwy.

Pojawiły się czarnobylskie kawały. Najkrótszy:

- Dobry to był naród ci Białorusini.

Opowiadano wam, że fotografowanie w pobliżu reaktora było surowo wzbronione. Tylko ze specjalnym zezwoleniem. Zabierali aparaty fotograficzne. Przed odjazdem żołnierzy, którzy tam służyli, obszukiwali, jak w Afganie, żeby nie daj Boże żadnego zdjęcia. Żadnego dowodu. Kamerzystom zabierali klisze na KGB. Zwracali prześwietlone. Wiele dokumentów zniszczyli, świadectw. Przepadły dla nauki i dla historii.

Odnaleźć by tych, którzy nakazywali to robić! Cóż by oni dziś na to? Czym by się usprawiedliwiali?

Nigdy ich nie usprawiedliwię. Nigdy! Choćby za tę jedną dziewczynkę, co tańczyła w szpitalu poleczkę. Miała dziewięć lat. Tak pięknie tańczyła. Po dwóch miesiącach zadzwoniła jej mama.

- Oleńka umiera! - krzyknęła.

I nie starczyło mi sił pójść tego dnia do szpitala. A potem było już za późno. Oleńka miała młodszą siostrzyczkę. Obudziła się rankiem i mówi:

- Mamusiu, widziałam we śnie, jak przyleciały dwa anioły i wzięły naszą

Oleńkę. Powiedziały, że będzie jej tam dobrze. Nic jej nie będzie bolało. Mamusiu, naszą Oleńkę zabrali dwaj aniołowie...

Nikogo nie mogę usprawiedliwić.

Irina Kisielewa, dziennikarka

Monolog o nieograniczonej władzy jednego człowieka nad drugim człowiekiem

Nie jestem humanistą, jestem fizykiem. Dlatego fakty, tylko fakty.

Przyjdzie kiedyś odpowiedzieć za Czarnobyl. Nadejdzie taki czas, że przyjdzie odpowiedzieć jak za rok trzydziesty siódmy. Choćby po pięćdziesięciu latach! Niechby najstarsi. A nawet martwi. Są przestępcami. *(Chwilę milczy).* Trzeba zestawiać fakty. Fakty! Tych potrzeba najbardziej.

Tego dnia, dwudziestego szóstego kwietnia, byłem w Moskwie. Służbowo. Tam dowiedziałem się o awarii.

Dzwonię do Mińska do pierwszego sekretarza KC Białorusi, Sljuńkowa. Dzwonię raz, drugi, trzeci, ale mnie nie łączą. Znajduję jego sekretarza (ten dobrze mnie zna).

- Dzwonię z Moskwy. Połączcie z Sljuńkowem, mam pilną informację. Nadzwyczajną!

Dzwonię kanałem rządowym, ale tu już wszystko zataili. Jak tylko zaczynam mówić o awarii, rozmowa się urywa. Oczywiście, podsłuchują! Wiadomo kto. Specjalne organy. Państwo w państwie. Do kogo dzwonię? Do pierwszego sekretarza KC. Kto dzwoni? Dyrektor Instytutu Energetyki Atomowej Akademii Nauk Białorusi, profesor, członek plenum. Ukryli go przede mną.

Dwie godziny zajęło mi, żeby jednak słuchawkę podniósł sam Sljuńkow. Referuję:

- Awaria jest poważna. Wedle mojego rozeznania (a już z tym i tamtym w Moskwie pogwarzyłem, dowiedziałem się) radioaktywny słup nadciąga ku nam, na Białoruś. Należy niezwłocznie zacząć jodową profilaktykę wśród ludności i wysiedlić wszystkich, co żyją w pobliżu elektrowni. Do stu kilometrów należy zabrać ludzi i zwierzęta.

- Już mi referowali - mówi Sljuńkow - był tam pożar, ale już go ugasili.

- To kłamstwo! - nie wytrzymuję. - Oczywiste kłamstwo! Każdy fizyk wam powie, że grafitu spala się około pięciu ton na godzinę. Wyobraźcie sobie, ile on będzie się palił!

Pierwszym pociągiem wyjeżdżam do Mińska. Bezsenna noc. Rankiem w domu. Mierzę synowi tarczycę - sto osiemdziesiąt mikrorentgenów na godzinę! Tarczyca była wtedy idealnym dozymetrem. Potrzebny byl jod (kalija). To zwyczajny jod, na pół szklanki kisielu dwie-trzy krople dzieciom, a dla dorosłego - trzy - cztery krople. Reaktor płonął dziesięć dni i dziesięć dni trzeba było tę czynność powtarzać. Ale nikt nas nie słuchał! Uczonych, medyków, naukę, medycynę wciągnęli w politykę. Mało tego! Nie wolno zapominać, na jaką świadomość wszystko to się nakładało, jacy sami byliśmy w tamtym momencie, dziesięć lat temu. Działało KGB, tajne służby. Zagłuszali zachodnie rozgłośnie. Tysiące tabu, partyjnych i wojskowych tajemnic. Na dodatek wszyscy byli wychowani w wierze, że pokojowy sowiecki atom nie jest tak niebezpieczny jak torf i węgiel. Byliśmy ludźmi skutymi strachem i przesądami. Zabobonem wiary. Ale fakty, tylko fakty.

Tegoż dnia, dwudziestego siódmego kwietnia, postanawiam wyjechać do obwodu homelskiego, graniczącego z Ukrainą. Do miast Bragin, Chojniki, Narowią[32], z których do elektrowni jest po kilkadziesiątków kilometrów. Potrzebna mi była pełna informacja, trzeba było wziąć przybory, pomierzyć tło. A tło było następujące: w Braginie - trzysta tysięcy mikrorentgenów na godzinę, w Narowli - dwieście osiem tysięcy. Sieją, orzą, przygotowują się do Wielkanocy, malują pisanki, pieką kołacze. Jaka znowu radiacja? Cóż to takiego? Żadnego rozkazu nie dostali. Ci z góry chcą informacji: jak idzie siew, w jakim tempie? Ci w rejonach patrzą na mnie jak na idiotę.

- O czym wy, profesorze?

Dla nich rentgeny, mikrorentgeny to język przybysza z innej planety.

Wracamy do Mińska. Na prospektach zwyczajnie handlują pierożkami, lodami, mięsnym farszem, bułkami. Pod radioaktywnym obłokiem.

Dwudziestego dziewiątego kwietnia, bardzo dobrze pamiętam, o ósmej rano siedziałem już w sekretariacie Sljuńkowa. Czekam, czekam, nie przyjmuje. I tak do wpół do szóstej wieczorem. Wtedy z gabinetu Sljuńkowa wychodzi pewien znany poeta. Znamy się.

- Z towarzyszem Sljuńkowem ocenialiśmy problemy kultury białoruskiej.

- Niebawem nie będzie komu rozwijać tej kultury! - wybucham - czytać waszych książek, jeśli teraz nie wysiedlimy ludzi spod Czarnobyla!

- Co wam?! Mówili mi, że tam już wszystko ugasili.

[32] Bragin, Chojniki, Narowią - miasta, siedziby rejonów w obwodzie homelskim, rejony najbardziej dotknięte skażeniem na Homelszczyźnie.

Przedzieram się jakoś do Sljuńkowa. Zarysowuję mapę, którą wziąłem wczoraj. Trzeba ratować ludzi! Na Ukrainie (tam już dzwoniłem) zaczęła się ewakuacja.

- A czemuż to wasi dozymetryści (z mojego instytutu) biegają po mieście i sieją panikę! Naradzałem się z Moskwą, z akademikiem Iljinem[33]. U nas wszystko normalnie. Tam pracuje komisja rządowa, prokuratura, armia rzucona na pomoc, sprzęt wojenny.

Na naszej ziemi leżały już tysiące ton cezu, jodu, ołowiu, cyrkonu, kadmu, berylu, boru, nieznana ilość plutonu (w uranowo-grafitowych RBMK wariantu czarnobyłskiego wytwarzano pluton służący do produkcji bomb atomowych) - wszystkiego czterysta pięćdziesiąt typów radionuklidów. Ich liczba była równa trzystu pięćdziesięciu bombom zrzuconym na Hiroszimę. Trzeba było mówić o fizyce. O prawach fizyki. A mówili o wrogach, szukali ich.

Wcześniej czy później, ale przyjdzie za to odpowiadać.

- Zaczniecie się usprawiedliwiać - mówiłem Sljuńkowowi - że jesteście budowniczym traktorów (był byłym dyrektorem fabryki traktorów) i na radiacji się nie znacie, ale ja, jako fizyk, mam wyobrażenie o następstwach.

Jakże to! Jakiś tam profesor jakiejś tam fizyki ośmiela się uczyć KC? Nie, oni nie byli szajką bandytów. Gorzej - było to sprzysiężenie niewiedzy i korporacyjnego charakteru stada. Naczelną zasadą ich życia, nawykiem aparatczyków było - nie wychylać się. I dogadzać wyższemu szczeblowi. A Sljuńkowa wtedy mieli wziąć do Moskwy, awansować. Tuż-tuż!!! Myślę, że był telefon z Kremla, od Gorbaczowa, w rodzaju: wy tam, Białorusini, nie wszczynajcie paniki, Zachód niech sobie szumi. A prawidła tej gry są takie: jeśli nie spełnisz oczekiwań wyższego kierownictwa, nie tu cię awansujemy, nie tam dostaniesz skierowanie, nie tę daczę przydzielą. Gdybyśmy nadal żyli w odciętym systemie, za żelazną kurtyną, ludzie do tej pory mieszkaliby koło samej elektrowni. Zatailiby! Przypomnijcie sobie: Kysztym, Semipałatyrisk[34]. Stalinowski kraj. Ciągle jeszcze stalinowski.

W instrukcjach na wypadek wojny jądrowej przewiduje się, iż w razie zagrożenia awarią jądrową, jądrowym napadem, niezwłocznie należy zarządzić

[33] Leonid A. Iljin - w czasie awarii szef Instytutu Biofizyki, wchodził w skład komisji rządowej, do dziś aktywnie występuje na rzecz rosyjskiej energetyki jądrowej, m.in. w głośniej książce *Czarnobyl: mit i rzeczywistość*.

[34] Kysztym, Semipałatyńsk - miejscowości, od których wzięły nazwę słabo zaludnione terytoria-poligony doświadczalne, gdzie w ZSRR przeprowadzano próbne eksplozje wybuchów jądrowych i termojądrowych. Po rozpadzie ZSRR wyszło na jaw, iż wśród okolicznej ludności dramatycznie wzrosła liczba zachorowań wywołanych promieniowaniem, pełnych ich następstw (m.in. zmian genetycznych) nie da się jeszcze ustalić.

jodową profilaktykę wśród ludności. W razie zagrożenia. A tu?! Trzy tysiące mikrorentgenów w ciągu godziny. Tu boją się nie o ludzi, ale o władzę. To kraj władzy, a nie ludzi. Bezsporny priorytet państwa, natomiast cena ludzkiego życia sprowadza się do zera. Ale szukali sposobów! Bez wyjaśnienia, bez paniki. Najprościej wprowadzić preparaty jodowe w ujęcia wody, z których czerpią wodę pitną, albo dodawać do mleka. Ale wtedy mogliby wyczuć, że smak wody nie ten i smak mleka się zmienił. W mieście trzymali przygotowane siedemset kilogramów preparatów. Wszelako zostały w magazynach. Gniewu góry bali się bardziej niż atomu. Każdy czekał na sygnał, nakaz, a sam niczego nie przedsiębrał. Nosiłem w portfelu dozymetr. Dlaczego? Nie wpuszczali mnie, obrzydłem im. Do wielkich gabinetów wchodziłem z dozymetrem i przykładałem go do gruczołów tarczycy sekretarzy, wielu kierowników, siedzących w sekretariatach. Dali się przestraszyć, co czasem pomagało, wpuszczano więc mnie.

- Czemuż tak histerycznie, profesorze, załatwiacie? Nie wy jeden martwicie się o naród białoruski. Od czegoś człowiek musi umrzeć: od palenia, w wypadku samochodowym, popełniając samobójstwo.

Śmiali się z Ukraińców, że na klęczkach pełzają po Kremlu, o pieniądze żebrzą, o medykamenty, aparaturę dozymetryczną (nie starczało jej), a nasz (to Sljuńkow) w ciągu kwadransa zreferował sytuację:

- Wszystko w normie. Wystarczą nam własne siły.
- Chwaty, ci bracia Białorusini! - pochwalili go.

Ile istnień kosztowała ta pochwała?!

Mam informację, iż oni sami (kierownictwo) przyjmowali jod. Kiedy ich badali pracownicy naszego instytutu, wszyscy mieli czystą tarczycę. Bez jodu byłoby to niemożliwe. Także po cichu wywieźli swoje dzieci jak najdalej od zła. Sami, kiedy wyjeżdżali służbowo, mieli maski, specjalną odzież, wszystko to, czego inni nie mieli. Od dawna nie jest tajemnicą, że pod Mińskiem trzymano specjalne stado. Każda krowa z numerem i oznakowana indywidualnie. Specjalne ziemie, specjalne parniki, specjalna kontrola. To jest najbardziej odrażające. *(Chwilę milczy).* Za to nikt jeszcze nie odpowiedział.

Przestali mnie przyjmować, wysłuchiwać. Zarzucałem ich pismami, odbitkami referatów. Rozsyłałem mapy i wyliczenia do wszelakich instancji. Cztery teczki po dwieście pięćdziesiąt listów. Fakty, tylko fakty. Na wszelki wypadek skopiowałem dwa egzemplarze, jeden znajdował się w moim służbowym gabinecie, a drugi chowałem w domu. Żona gromadziła. Dlaczego robiłem kopie? W takim kraju żyjemy. Zawsze sam zamykałem gabinet. Wracam z jednej delegacji - teczki zniknęły, ale wychowałem się na Ukrainie, moi dziadowie byli Kozakami. Mam kozacki charakter. Moją powinnością było pisać, występować:

trzeba ratować ludzi! Natychmiast wysiedlać! Nie nadążaliśmy z podróżami służbowymi. Nasz instytut stworzył pierwszą mapę „zagrożonych" rejonów. Całe południe kraju w czerwonym kolorze.

To już historia. Historia przestępstwa.

Z instytutu zabrali wszelką aparaturę do kontroli radiacji. Skonfiskowali. Bez żadnych wyjaśnień. Dzwonili do mnie do domu z pogróżkami:

- Przestańcie, profesorze, straszyć ludzi, bo ześlemy tam, gdzie Makary krów nie pasł[35]. Nie domyślacie się? Tak szybko zapomnieliście?!

Wpływanie na pracowników instytutu. Zastraszanie.

Napisałem do Moskwy. Wezwał mnie przewodniczący naszej Akademii, Platonów, i mówi.

- Lud białoruski kiedyś przypomni sobie o tobie, wieleś dla niego uczynił, ale źle, żeś napisał do Moskwy. Bardzo źle! Chcą, żebym zdjął cię ze stanowiska. Dlaczegoś to napisał? Czyżbyś nie rozumiał, na kogo się porwałeś?

- Mam mapy, wyliczenia, a oni?

A oni mogli skierować na obserwację psychiczną. Grozili. Mogłem ulec wypadkowi samochodowemu. Ostrzegali, że mogą skazać za czyn przestępczy. Choćby antysowieckość. Albo za skrzynkę gwoździ niezaksięgowanych w papierach instytutu.

Czyn przestępczy wynaleźli. I dopięli swego. Powalił mnie zawał. *(Milczy).*

Wszystko zapisałem. Wszystko mam w teczce. Fakty, tylko fakty.

Badamy dzieci we wsiach, chłopców, dziewczynki. Tysiąc pięćset, dwa tysiące, trzy tysiące mikrorentgenów. Ponad trzy tysiące. Te dziewczynki! Nie urodzą już. Mają skazy w genach. Orze traktor, pytam więc aparatczyka rajkomu, który nas oprowadza:

- Czy traktorzysta jest osłonięty choćby maską?

- Nie, pracują bez masek.

- Nie przywieźli ich wam?

- Co też wy! Przywieźli tyle, że starczy do roku dwutysięcznego, ale nie wydajemy, bo zacznie się panika i wszyscy się rozpierzchną!

- Cóż wy robicie?

- Łatwo wam, profesorze, oceniać! Wyrzucą was z pracy, znajdziecie sobie drugą. A gdzie ja się podzieję?

Taka władza! Nieograniczona władza jednego człowieka nad drugim. To nawet nie kłamstwo, to wojna z niewinnymi.

[35] W oryginale: *gdie Makar tieljat nie pas* - przysłowie rosyjskie, odpowiednik polskiego porzekadła: „tam gdzie diabeł mówi dobranoc".

Oto jedziemy w dół biegu Prypeci. Nad nią namioty, odpoczywają całe rodziny, kąpią się, opalają. Nie wiedzą, że od kilku tygodni kąpią się i opalają pod radioaktywnym obłokiem. Surowo zabrania się z nimi obcować. Ale widzę dzieci, podchodzę więc i zaczynam wyjaśniać. Nieporozumienie:

- To dlaczego radio i telewizja o tym milczą?

A sprawozdawca? Zwykle jeździł z nami ktoś taki z miejscowej władzy, z rajkomu, taki porządek. A sprawozdawca milczy. Mogę po jego twarzy prześledzić, jakie uczucia nim miotają: donieść czy nie? W takim czasie szkoda ludzi! Jest wszak normalnym człowiekiem. Ale nie wiem, co powie, kiedy wyjedziemy. Zamelduje czy nie? Każdy postępował wedle swego sumienia. *(Jakiś czas milczy).*

I cóż mamy dziś uczynić z tą prawdą? Teraz? Jak postąpić? A jeśli jeszcze raz wybuchnie, powtórzy się to samo? Wszyscy jeszcze żyjemy w stalinowskim kraju. I wciąż żyje w nas stalinowski człowiek.

Wasilij Borisowicz Niestierienko,
były dyrektor Instytutu Energetyki Jądrowej
Akademii Nauk Białorusi

Monolog o ofierze i pasożytach

Wstaje człowiek wcześnie rano i raczej nie rozmyśla o wieczności. Jego myśli są przy chlebie powszednim. A pani chce zmusić ludzi, aby rozmyślali o wieczności. Pomyłka wszystkich humanistów.

Cóż to takiego Czarnobyl?

Przyjeżdżamy na wieś. Niewielkim niemieckim autobusem (podarowanym naszej fundacji), dzieci nas oblegają.

- Ciociu! Wujku! Jesteśmy czarnobylcami. Co przywieźliście? Dajcie nam cokolwiek - proszę.

Dajcie! Oto Czarnobyl.

Po drodze do zony spotykamy babcię w wyszywanej spódnicy, fartuchu, tobołek na plecach.

- Dokąd to, babciu? W gości?

- Idę do Marek. Na swoje podwórko.

A tam sto czterdzieści kiurów! Dwadzieścia pięć kilometrów drogi. Dzień idzie tam i dzień z powrotem. Przynosi trzylitrową bańkę, która dwa lata wisiała na jej płocie. Ale pobyła na swoim podwórzu. Oto Czarnobyl.

Co pamiętam z pierwszych dni? Jak to było? Zacząć trzeba byłoby od tam tych chwil. Żeby opowiedzieć swoje życie, trzeba zacząć od dzieciństwa. Tak i w tym przypadku. Mam swój punkt odliczania. Podobnie jak inni. Pamiętani czterdziestolecie Zwycięstwa. Wówczas były pierwsze fajerwerki w naszym Mohylewie. Po oficjalnej uroczystości ludzie nie rozeszli się, jak bywało, lecz zaczęli śpiewać. Całkiem nieoczekiwanie. Pamiętam to powszechne uczucie. Przez czterdzieści lat o wojnie zagadali wszystko, przyszła refleksja. Aż dotąd jakoś tam żyli, odbudowywali, rodzili dzieci. Tak i z Czarnobylem. Wrócimy jeszcze do niego, otworzy się przed nami głębiej. Stanie się świątynią. Ścianą płaczu. Bo, jak dotąd, nie ma reguły. Nie ma reguły! Nie ma idei. Kiury, bery - to nie refleksja. To nie filozofia. Nie światopogląd. U nas człowiek - albo ze strzelbą, albo z krzyżem. Przez całą historię. Innego człowieka, jak dotąd, nie było.

Mama moja pracowała w sztabie obrony cywilnej miasta i dowiedziała się jedna z pierwszych. Uruchomili wszystkie urządzenia. Według instrukcji, które wisiały u nich w każdym gabinecie, należało natychmiast powiadomić ludność, wydać pochłaniacze, maski przeciwgazowe itp. Otworzyli tajne magazyny, opieczętowane, zalakowane, a tam wszystko było w straszliwym stanie, niedopasowane, nie do wykorzystania. W szkołach były wojskowe maski przeciwgazowe, nawet rozmiary nie pasowały na dzieci. Wskazania urządzeń przewyższały wszelkie normy, ale nikt nic nie mógł zrozumieć, nic takiego nigdy się nie przytrafiło. Po prostu je wyłączyli. Opowiadała mama:

- Jeśliby nastała wojna, wiedzielibyśmy, co robić. Jest instrukcja. A w tym wypadku?

Któż u nas brał pod uwagę obronę cywilną? Generałowie w stanie spoczynku, pułkownicy, dla których wojna zaczyna się tak: w radiu podają oświadczenia, rządowe komunikaty, alarm powietrzny. Nie docierało do nich, że zmieniło się stulecie. Potrzebny był przełom psychologiczny. I nastąpił. Teraz wiemy: będziemy siedzieć, pić herbatę przy świątecznym stole, rozmawiać, śmiać się, a wojna już będzie trwała. Nie wiemy nawet, kiedy sczeźniemy.

A obrona cywilna to taka gra, w którą bawią się dorośli. Odpowiedzialni za narady, za szkolenie. Odrywali nas od pracy na trzy dni. Bez żadnych wyjaśnień, na ćwiczenia wojenne. Gra nazywała się „Na wypadek wojny atomowej". Mężczyźni - żołnierze i strażacy, kobiety - z drużyn sanitarnych. Wydawano kombinezony, buty, teczki sanitarne, paczki bandaży, jakieś lekarstwa. A jakże! Naród radziecki powinien przyjąć wroga dostojnie! Tajne mapy, plany ewakuacji, wszystko to przechowywano w przeciwogniowych sejfach pod zalakowanymi pieczęciami. Według nich, po upływie minuty od alarmu powinno

się zebrać ludność i wywieźć do lasu, w strefę bezpieczeństwa. Wyje syrena. Uwaga! Wojna.

Potem nagradzali pucharami, sztandarami. I, oczywiście, bankiet! Mężczyźni piją za nasze przyszłe zwycięstwo! I, naturalnie, zdrowie pań!

A niedawno, już teraz, ogłoszono w mieście alarm. Uwaga! Obrona cywilna! Było to tydzień temu. W ludziach strach, ale inny strach. To nie Amerykanie napadli, nie Niemcy, lecz coś tam w Czarnobylu. Czyżby znowu?

Osiemdziesiąty szósty rok. Kim jesteśmy? Jakich zastała nas ta technologiczna wersja wybuchu światła? Mnie? Nas? Miejscową inteligencję, mieliśmy swój krąg. Żyliśmy swoim życiem, stroniliśmy od wszystkiego, co wokół. Taka forma protestu. Mieliśmy swoje normy: nie czytaliśmy gazety „Prawda", a dziennik „Ogoniok" przekazywaliśmy sobie z rąk do rąk. Co tylko zelżały cugle, upajaliśmy się tym. Czytaliśmy samizdaty, wreszcie trafiły do nas, w naszą głębinkę. Czytaliśmy Sołżenicyna, Szałamowa. Chodziliśmy jedni do drugich w gości, toczyliśmy niekończące się rozmowy w kuchni. Za czymś tęskniliśmy. Za czym? Że gdzieś żyją aktorzy, gwiazdy filmowe. Oto zostanę kiedyś Catherine Deneuve. Wdzieję na siebie zwariowaną chlamidę, włosy ułożę. Tęsknota za wolnością. Jest inny świat. Cudzy świat. Jakaś forma wolności. Taka była ta zabawa, gra. Ucieczka od realności. Ktoś z naszego kręgu złamał się, ktoś zapił się, ktoś wstąpił do partii, zrobił karierę. Nikt nie wierzył, że można przełamać tę kremlowską ścianę. Że się rozwali. A jeśli tak, to pluć na to, co gdzie indziej, my będziemy żyć tu. W naszym iluzyjnym świecie.

Czarnobyl. Z początku taka sama reakcja. Cóż nas obchodzi? Niech się władze martwią. To ich Czarnobyl. I daleko. Nawet na mapę nie spojrzeliśmy. Nic ciekawego. Nie potrzebowaliśmy prawdy. Ale kiedy na butelkach z mlekiem ukazały się etykietki: „mleko dla dzieci" i „mleko dla dorosłych"... Wtedy już tak! Coś nadchodzi. Nie byłam członkiem partii, jednak, jak wszyscy, człowiekiem radzieckim. Pojawił się strach:

- Coś liście rzodkiewki w tym roku jak u ćwikły...

Ale gdy wieczorem włączamy telewizor, słyszymy: „Nie ulegajcie prowokacji". I wątpliwości się rozwiewają. A pierwszomajowa demonstracja? Nikt nas nie przymuszał, żeby iść na nią, mnie nikt nie zobowiązywał. Mieliśmy wybór. Ale nie uczyniliśmy go. Nie pamiętam tak tłumnej, tak radosnej pierwszomajowej demonstracji jak w tamtym roku. Był strach, więc chciało się, naturalnie, do stada. Żeby razem z wszystkimi. Chciało się komukolwiek nawymyślać. Kierownictwu, rządowi, komunistom. Tak teraz myślę. Stoję nad urwiskiem. Co i gdzie się oberwało? I ten obryw na samym początku. Ta nasza niewola. Nam nie była potrzebna prawda. Szczyt wolnomyślności: „Można jeść rzodkiewkę czy nie?". Ta nasza niewola. Wewnątrz nas.

Pracowałam jako inżynier w fabryce „Chimwołokno"[36] z grupą niemieckich specjalistów. Zakładali nowe urządzenia. Zobaczyłam, jak sobie radzą inni ludzie, inny naród, kiedy dowiedzieli się o awarii. Zgłosili, że powinien być przy nich lekarz, muszą mieć dozymetry, trzeba zrobić pomiary jodu. Słuchali swojego radia, wiedzieli, co trzeba robić. Naturalnie, niczego im wtedy nie dano. To spakowali walizki i zebrali się do wyjazdu. Kupcie nam bilety! Idźcie do domu! Wyjeżdżamy, nie możecie zapewnić nam bezpieczeństwa. Strajkowali, wysyłali telegramy do swego rządu. Drżeli o żony, dzieci (mieszkali u nas z rodzinami). O swoje życie! A my? Jak sobie radziliśmy? Ach, ci Niemcy, zawsze tacy dokładni, wykrochmaleni - to histerycy! Tchórze! Mierzą radiację w barszczu, w kotletach. Pocieszni! Nasi mężczyźni to mężczyźni! Rozpaczliwie rosyjscy! Walczą gołymi rękami (tegośmy się już naoglądali w telewizorze)! Nasze dzieci z chorągiewkami idą na demonstrację! I weterani wojny. Stara gwardia! *(Zamyśla się)*. Tak, to także obraz barbarzyństwa - nieobecność strachu za sobą. Przecież zawsze mówimy „my", a nie „ja": „zademonstrujemy radziecki heroizm", „pokażemy radziecki charakter". Całemu światu! A „ja?" Ja nie chcę umierać. Ja się boję.

To ciekawe dziś spojrzeć za siebie. Na swoje odczucia. Jak się one rozwiewały, zmieniały. Przeanalizować je. Już dawno złapałam się na tym, że uczę się obserwować świat wokół. Wokół siebie. Po Czarnobylu sama siebie w tym utwierdzam. Zaczęliśmy uczyć się mówić „ja". Ja nie chcę umierać. Ja się boję. A wtedy? Włączam głośno telewizor: czerwone dyplomy wręczają dojarkom, zwycięzcom w socjalistycznym współzawodnictwie. I to u nas? Pod Mohylewem? We wsi, która znalazła się w centrum cezowej plamy? Wkrótce ją przesiedlą. Głos spikera: „Ludzie harują z samozaparciem, nie oglądając się na nic", „cuda męstwa i heroizmu". Po nas choćby potop! Rewolucyjnym krokiem! Tak, nie byłam członkinią partii, ale cokolwiek by myśleć, człowiekiem radzieckim. „Towarzysze, nie poddawajcie się prowokacji!" - dzień i noc gromi telewizor. Wątpliwości rozwiewa. *(Milczy)*.

Jeszcze kawy? Trzeba odetchnąć. Pozbierać myśli.

Przed nami pojmowanie Czarnobyla jak filozofii. Dwa państwa rozdzielone drutem kolczastym: jedno - zona, drugie - cała reszta. Na podgniłych słupach wokół zony, jak na krzyżach, wiszą białe ręczniki. Ludzie chodzą tam jak na cmentarz. Tam pogrzebano nie tylko ich dom, lecz całą epokę. Epokę wiary! W naukę! W sprawiedliwą ideę społeczną! Wielkie imperium rozeszło się w szwach. Rozwaliło się. Najpierw - Afganistan, potem - Czarnobyl. Kiedy

[36] „Chimwołokno" - fabryka włókien sztucznych w Mohylewie, największy zakład produkcyjny w tym 450-tysięcznym białoruskim mieście.

rozsypało się, zostaliśmy sami. Boję się powiedzieć, że lubimy Czarnobyl. To znowu odnaleziony sens naszego życia. Naszego cierpienia. Jak wojna. O nas, Białorusinach, świat dowiedział się po Czarnobylu. To było okno do Europy. Jesteśmy jednocześnie i jego ofiarami, i jego pasożytami. Przykro mówić.

Kiedy w zonie zajdziesz do jakiegoś domu, masz poczucie, jakbyś wszedł do śpiącej królewny. Jeśli jeszcze nie rozgrabiono: fotografie, lalki, meble. Powinni być gdzieś tu ludzie. Niekiedy znajdujemy ich. Ale nie mówią o Czarnobylu, mówią, że ich oszukano. Gnębi ich tylko: dostaną wszystko, co im się należy, czy więcej? Naród nasz ma ciągle poczucie, że go oszukują. Na wszystkich etapach wielkiej drogi. Z jednej strony nihilizm, negacja, a z drugiej - fatalizm. Władzom nie wierzą, uczonym, lekarzom nie wierzą, ale sami też niczego nie przedsięwezmą. Niewinni i bezczynni tacy. W samym cierpieniu znajdują sens i usprawiedliwienie, a cała reszta jakby nieważna.

Wzdłuż pól tabliczki: „wysoka radiacja". Na polach orka. Trzydzieści kiurów, pięćdziesiąt. Traktorzyści siedzą w odkrytych kabinach (dziesięć lat minęło, ale do tej pory nie ma traktorów z hermetycznymi kabinami), oddychają pyłem radioaktywnym. Od przeszło dziesięciu lat! Kim więc jesteśmy? Żyjemy na skażonej ziemi, orzemy, siejemy. Rodzimy dzieci. Jakież więc znaczenie naszego cierpienia? Po cóż ono? Czemuż go tyle? Obecnie wiele o tym dyskutujemy z przyjaciółmi. Że ta zona to nie bery, kiury, mikrorentgeny. To nasz naród. Czarnobyl „pomógł" - tak! - ginącemu systemowi. A dziś znów nadzwyczajność. Rozdawnictwo. Zasiłek. Jak wcześniej wbijano w mózgi: „gdyby nie wojna", tak teraz pojawiła się możliwość zwalania wszystkiego na Czarnobyl. „Gdyby nie Czarnobyl". Od razu z zamkniętymi oczami skowyczemy. Dajcie! Dajcie nam! Żeby było co dzielić. Koryto!

Czarnobyl to już symbol. Obraz. Ale to jeszcze nie moja praca, czy mówiąc inaczej, nie mój byt.

Jeżdżę, widzę białoruską wieś patriarchalną. Białoruską chatę. Bez toalety, ciepłej wody, ale z ikoną, studnią drewnianą, wyszywanymi ręcznikami, pościelą. Z gościnnością. Zaszliśmy do takiej chaty napić się wody, a gospodyni wydostaje ze starego kufra, starego jak ona, ręcznik i przekazuje mi:

- By pamiętać o moim podwórku.

Był las, pole. Wieś chroniła społeczność i ostatki wolności: ziemia koło domu, sad i ogród, swoja krówka. A z Czarnobyla zaczęto ich przesiedlać do „Europy", do osiedli typu europejskiego. Można zbudować dom, lepszy, komfortowy, ale nie można postawić na nowym miejscu całego tego ogromnego świata, z którym byli związani. Pępowiną! Kolosalny cios w psychikę człowieka. Zerwanie tradycji, całej wielowiekowej kultury. Kiedy podjeżdżasz ku tym nowym osiedlom, są jak miraże na horyzoncie. Malowane, niebieskie, sine. Od

razu wyobrażasz je sobie jako cudo. Nazwali je Majskij, Sołniecznyj[37]. Europejskie domy, znacznie wygodniejsze niż chatki. Toż to gotowa przyszłość. Ale w przyszłość nie można spaść na spadochronie. Ludzi zmienili w Etiopczyków. Siedzą na ziemi i czekają, kiedy przyleci samolot, przyjedzie autobus i przywiezie humanitarną pomoc. Nie, żeby ucieszyć się szansą: wyrwałem się z piekła, mam dom, czuję ziemię i powinienem dziękować swoim dzieciom, u których Czarnobyl już w krwi, w genach, że już będę wolny.

Żyją w tych apartamentach jak w bojlerach. Poruszą się, domy się rozsypią. Tam żyje zniewolony człowiek. Oblężony. W krzywdzie i strachu. Chce komunizmu. Czeka nań. Zonie potrzebny komunizm. Na wszystkich wyborach głosują tam za twardą ręką, tęsknią do stalinowskiego porządku, wojennego ładu. To dla nich synonim sprawiedliwości. Tam żyją po wojennemu: milicyjne posterunki, ludzie w wojskowych mundurach, system przepustek, czujki. Urzędnicy rozdysponujący pomoc humanitarną. Na pudełkach po niemiecku, po rosyjsku napisane: „Nie zamieniać. Nie sprzedawać". A obok sprzedają. W pierwszym kiosku komercyjnym.

I znowu jak gra, show reklamowy. Wiozę konwój z pomocą, obcych, cudzoziemców, którzy zjeżdżają tu w imię Chrystusa, w imię czegoś tam jeszcze. A w błocie, w brudnych kufajkach i waciakach stoją moi rodacy.

- Nic nam nie trzeba! Wszystko obok rozkradają! - wołają.

To samo mówi ich spojrzenie. A oprócz tego pożądanie, by chwycić skrzynkę, pudło, cokolwiek zagranicznego. Wiemy już, gdzie jaka babcia mieszka. Jak w rezerwacie. I wtedy ogarnia mnie przeciwne, bezrozumne pragnienie, zawołać nagle:

- My wam pokażemy! Znajdziemy coś takiego, czegoście nawet w Afryce nie widzieli. Nigdzie w świecie nie ma! Dwieście kiurów, trzysta!

Marzę, że babcie przeobrażają się, niektóre wprost stają się „gwiazdami filmowymi". Wyuczyły się monologów i łzy przywołują w tych chwilach, kiedy należy. Kiedy przyjeżdżali pierwsi cudzoziemcy, milczały, czasem płakały. A teraz oto nauczyły się mówić. Może dzieciom guma do żucia, a pudło ze zbędną odzieżą oddają. A wszystko to wraz z głęboką filozofią, z dogłębnym stosunkiem do śmierci, upływającego czasu. Nie opuszczą przecież swoich chat, rodzinnych progów za niemiecką czekoladę, gumę do żucia.

Otrząsam się i pokazuję wokół.

- Jakaż piękna ziemia!

Słońce opadło niziutko. Zalało blaskiem las, pole. Na pożegnanie nam.

[37] Majskij, Sotniecznyj - dosłownie: Majowy, Słoneczny.

- Tak - odpowiada ktoś z niemieckiej grupy, mówiący po rosyjsku - piękna, ale zatruta.

Ma w rękach dozymetr.

Rozumiem, że ten zachód drogi jest tylko mnie. To moja ziemia.

Natalia Arsieniewna Rostowa,
przewodnicząca Mohylewskiego Komitetu „Dzieci Czarnobyla[38]

[38] Mohylewski Komitet „Dzieci Czarnobyla" został wiosną 1998 r. wyeksmitowany z lokalu przy ul. Pierwomajskiej w Mohylewie.

Chór dziecięcy

Alosza Bielskij - 9 lat, Ania Bozusz - 10 lat, Natalia Dworieckaja - 16 lat, Lena Zubro - 15 lat, Jura Zuk - 15 lat, Ola Zwonak - 10 lat, Snieżana Ziniewicz -16 lat, Ira Kudriaczewa - 14 lat, Julia Kaśko -11 lat, Wania Kowarów -12 lat, Wadim Krasnopolnyszko - 9 lat, Wasia Mikulicz - 15 lat, Anton Naszi-wankin - 14 lat, Marat Tatarciew - 16 lat, Julia Taraskina - 15 lat, Katia Szewczuk -14 lat, Boris Szkirmankow -16 lat.

Leżałam w szpitalu. Bolało mnie. Prosiłam mamę:

- Mamusiu, nie mogę cierpieć. Lepiej mnie zabij!

*

Taka ciemna chmura. Ulewa taka. Kałuże stały się żółte, zielone. Jakby nalali w nie farby. Mówili, że to pyłek z kwiatów. Nie biegaliśmy po kałużach, a tylko patrzyliśmy na nie. Babcia zamykała nas w piwnicy, a sama upadła na kolana i modliła się. Nas też uczyła:

- Módlcie się! To koniec świata. Kara boska za nasze grzechy.

Braciszek miał osiem lat, a ja sześć. Zaczęliśmy przypominać sobie swoje grzechy: on rozbił słoik z sokiem malinowym, a ja nie przyznałam się mamie, że zaczepiłam się o płot i porwałam nowy płaszczyk, i schowałam go do szafy.

Mama często ubiera się na czarno. Czarna chustka. Na naszej ulicy cały czas kogoś grzebią. Jak usłyszę muzykę, to zaraz biegnę do domu i modlę się, odmawiam „Ojcze nasz". Modlę się za mamę i tatę.

*

Przyjechali po nas żołnierze w samochodach. Pomyślałem, że zaczęła się wojna. Używali nieznanych słów: „dezaktywacja", „izotopy". W drodze przyśniło mi się, że nastąpił wybuch, a ja jestem żywy! Nie ma domu, nie ma rodziców, nie ma nawet wróbli i wron. Ze strachu rozsypywałem się, gdzieś wskakiwałem. Patrzę w okno: czy nie ma tego koszmarnego grzyba?

Pamiętam, jak żołnierz gonił kotka. Na tym kotku dozymetr pracował jak automat: trach-trach. Za nim chłopczyk i dziewczynka. To ich kotek. Chłopiec nic, ale dziewczynka krzyczała:

- Nie oddam!

Biegała i krzyczała:

- Uciekaj, maleńka! Uciekaj!

A żołnierz miał wielki celofanowy worek.

*

W domu zamknęliśmy i zostawiliśmy mojego chomika. Takiego bielutkiego. Zostawiliśmy mu jedzenia na dwa dni. I wyjechaliśmy na zawsze.

*

Wepchnęli nas do eszelonu. Malcy płaczą, mażą się. Jedna wychowawczyni na dwadzieścioro dzieci, a wszystkie płaczą:

- Mamo! Gdzie mama? Chcę do mamy!

Miałam dziesięć lat, takie dziewczynki jak ja pomagały uspokajać malców. Po drodze obce kobiety witały nas z peronów i znak krzyża czyniły za pociągiem. Przynosiły domowe wypieki, mleko, ciepłe ziemniaki.

Wieźli nas do obwodu leningradzkiego. A tam, kiedy przejeżdżaliśmy przez stacje, ludzie żegnali się i patrzyli z daleka. Bali się naszego pociągu, na każdej stacji długo go myli. Kiedy w czasie jednego postoju wyskoczyliśmy z wagonu i pobiegliśmy do bufetu, nikogo więcej tam nie wpuścili:

- Czarnobylskie dzieci jedzą u mnie lody - mówiła komuś przez telefon bufetowa. - Jak wyjadą, zmyjemy podłogę chlorem i sparzymy wrzątkiem szklanki.

Słyszeliśmy to.

Badali nas lekarze. Byli w maskach przeciwgazowych i gumowych rękawiczkach. Zabrali nam odzież, wszystkie rzeczy, nawet bomboniery, ołówki i obsadki, zebrali do celofanowych toreb i zakopali w lesie.

Tak się przestraszyliśmy. Długo potem czekaliśmy, jak zaczniemy umierać.

*

Mama z tatą pocałowali się i urodziłam się ja.

Wcześniej myślałam, że nigdy nie umrę. A teraz wiem, że umrę. Razem ze mną leżał w szpitalu chłopiec, Wadik Korinkow. Ptaszki mi rysował, domki. Umarł. Umierać nie jest strasznie. Będziesz długo, długo spać, nigdy się nie przebudzisz.

Śni mi się, jak umarłam. We śnie słyszałam, jak mama płakała. I wtedy się przebudziłam.

Chcę opowiedzieć, jak żegnała się z naszym domem babcia. Prosiła ojca, aby wyniósł ze spiżarni mieszek kaszy i rozsypała ją po sadzie.

- Ptaszkom bożym! - mówiła.

Zebrała w rzeszoto jajka i wysypała na podwórze.

- Kotu naszemu i psu - tłumaczyła.

Ukroiła im słoniny. Wytrząsnęła ze wszystkich swoich woreczków nasiona marchewki, dyni, ogórków, cebuli-czarnuszki, różnych kwiatów i rozsypała po ogrodzie.

- Puszczajcie w ziemi korzenie.

A potem pokłoniła się domowi, pokłoniła się sarajowi. Na koniec obeszła i pokłoniła się każdej jabłonce.

*

Byłem mały, miałem sześć lat, nie, raczej osiem. Tak, osiem. Policzyłem dziś.

Pamiętam wiele strachów. Bałem się biegać boso po trawie. Mama postraszyła, że umrę. Kąpać się, nurkować - wszystkiego się bałem. Rwać w lesie orzechy. Wziąć do ręki owada. Pełza po ziemi, a ziemia skażona. Mrówki, motyle, trzmiele - wszystko zarażone. Biały sad, jak za szkłem.

Czekaliśmy na wiosnę: wyrośnie rumianek, jak przedtem? Wszyscy u nas mówili, że świat się zmieni. I w radiu, i w telewizji. Rumianek się przemieni. Ale w co? W coś innego. A lisom wyrasta drugi ogon, jeże rodzą się bez igieł, róże bez płatków. Pojawią się ludzie podobni do humanoidów. Bez włosów, bez rzęs, jednoocy.

Byłem mały, miałem osiem lat.

Wiosna. Wiosną z pączków, jak zawsze, rozwinęły się liście. Zielone. Zakwitły jabłonie. Białe. Zapachniała czeremcha. Odkryły się rumianki. Wszystko było takie samo. Wtedy pobiegliśmy nad rzeczkę do rybaków: jest u płotek jak przedtem głowa i ogon? A u szczupaków? Sprawdzaliśmy domki dla szpaków: przyleciały? Pojawią się jajeczka, wylęgną się szpaczki?

*

Słyszałem, jak dorośli szeptali, jak płakała babcia. Z roku mojego urodzenia (z osiemdziesiątego szóstego) nie ma ani chłopców, ani dziewczynek w naszej wsi. Jestem sam. Lekarze nie radzili mnie urodzić. Ale mama uciekła ze

szpitala i ukryła się u babci. I w jej domu się urodziłem. Wszystko to podsłuchałem.

Braciszka i siostrzyczki nie mam. A bardzo chcę mieć.

Jesteś pisarką, ciociu? Powiedz, jak to mogło mnie nie być? Gdzie bym był? Gdzieś wysoko, w niebie? Na innej planecie?

*

Do naszego miasta przybyła wystawa artystyczna. Fotosy o Czarnobylu. Źrebię, co biegnie po lesie, zamiast czterech nóg ma osiem-dziesięć. Cielę z trzeba głowami. W klatce siedzą łyse króliki, jak z masy plastycznej. Ludzie spacerują w skafandrach po łące. Drzewa wyższe od cerkwi, a kwiaty jak drzewa. Nie widziałam w całości. Natknęłam się na malowidło: malec wyciąga ręce, może za dmuchawcem, może do słońca, ale ten malec ma zamiast nosa... trąbę. Zachciało mi się płakać, krzyczeć:

- Nie trzeba nam takich wystaw! Nie przywoźcie! Wszyscy wokół i tak mówią o śmierci. O mutantach. Nie chcę!

Pierwszego dnia przyszło trochę ludzi, ale potem nie zjawił się ani jeden człowiek. W Moskwie, Petersburgu, jak pisali w gazetach, przychodziły na nią tłumy. A u nas - pusta sala.

Jeździłam do Austrii na leczenie. Są tam ludzie, którzy mogą powiesić sobie w domu taką fotografię. Malca z trąbą. I patrzeć na nią każdego dnia, żeby nie zapomnieć o tych, którym ciężko. Ale kiedy tu mieszkasz, wśród tego? Prędzej powieszę w swoim pokoju piękny pejzaż. Nie chcę myśleć o śmierci.

W naszym osiedlu zniknęły wróble. W pierwszym roku po awarii. Walały się wszędzie: w sadach, na asfalcie. Zagrabiali je i wywozili w kontenerach z liśćmi. A tego roku nie pozwalali liści palić, były radioaktywne. Zasypywali je.

Po dwóch latach pojawiły się wróble. Cieszyliśmy się, krzyczeliśmy jeden do drugiego:

- Wczoraj widziałam wróbla! Wróciły!

Przepadły chrabąszcze. Do tej pory nie ma ich u nas. Może wrócą za sto albo tysiąc lat, jak mówi nasz nauczyciel. Już tego nie zobaczę.

*

Pierwszego września, początek roku szkolnego, ale bez jednego bukietu. W kwiatach, już to wiedzieliśmy, wiele radiacji. Przed rozpoczęciem roku szkolnego w szkole pracowali nie stolarze i malarze, jak wcześniej, ale żołnie-

rze. Wycinali kwiaty, zdejmowali i wywozili gdzieś ziemię samochodami z przyczepami. Wyrąbali wielki stary park. Stare lipy. Była we wsi babka Nadia, którą zawsze wołali do domu, kiedy ktoś umarł, żeby polamentować, odmówić modlitwy: „Piorun nie uderzył, nie dopadła susza, morze nie zalało, leżą czarne trumny..."[39]. Teraz płakała nad drzewami jak nad ludźmi.

A po roku wszystkich nas ewakuowali, wieś zasypali. Tato jest szoferem, jeździł tam i opowiadał. Na początek wykopują wielką jamę. Na pięć metrów głębokości. Przyjeżdżają strażacy, z pomp myją dom od komina po fundamenty, żeby nie podnosić radioaktywnego pyłu. Okna, dach, próg - wszystko myją. A potem dźwig ściąga dom z miejsca i stawia w jamie. Walają się lalki, książki, słoiki. Spychacz to zasypuje. A potem wszystko zasypują piaskiem, gliną, ubijają. I zamiast wsi - wyrównane pole. Naszą zasiali żytem. Tam leży nasz dom, i szkoła, i rada wiejska. Tam mój zielnik i dwa albumy ze znaczkami, które chciałam zabrać. Miałam też rower.

Mam dwanaście lat, jestem inwalidą. W naszym domu listonosz przynosi rentę mnie i dziadkowi. Dziewczynki w klasie, kiedy dowiedziały się, że mam raka krwi, boją się siedzieć ze mną. Dotknąć nawet.

Lekarze powiedzieli: zachorowałam, bo mój tato pracował w Czarnobylu. A ja urodziłam się potem.

Kocham tatę.

Żołnierze myli drzewa, domy, dachy. Myli krowy kołchozowe.

- Biedne zwierzęta w lesie! - myślałam. - Nikt ich nie umyje. Wszystkie zginą. I lasu nikt nie myje. On także umrze.

Nauczycielka powiedziała:

- Narysujcie radiację.

Narysowałam, jak pada żółty deszcz. I jak płynie czerwona rzeka.

Po tatę przyszli nocą. Nie słyszałem, jak się zbierał. Spałem. Rano zobaczyłem, że mama płacze.

- Wasz tato w Czarnobylu - powiedziała.

[39] W oryginale: *Mołnia nie udarila... Susz' nie napala... Morie nie żaliło... Leżat czornyje groby...* - pieśń-lamentacja, śpiewana w czasie czuwania przy zmarłym na wsi na Białorusi i w Rosji.

Czekaliśmy na niego, jakby miał wrócić z wojny.

Wrócił i znowu zaczął chodzić do pracy. O niczym nie opowiadał. A w szkole wszystkim się chwaliłem, że tato przyjechał z Czarnobyla, że był likwidatorem, a likwidatorzy to ci, co pomagali zlikwidować awarię. Bohaterowie! Chłopaki mi zazdrościły.

Po roku tato zachorował.

Chodziliśmy po szpitalnym skwerze, to było po drugiej operacji. I pierwszy raz powiedział o Czarnobylu.

Pracowali niedaleko od reaktora. Cisza i spokój, wspominał, pięknie. A w tym czasie coś następuje. Sady kwitną. Dla kogo? Ludzie uciekli ze wsi. Jechali przez miasto Prypeć: na balkonie wisi bielizna, skrzynki z kwiatami. Pod krzakiem stoi rower z brezentową teczką listonosza, nabity gazetami i listami. A w niej ptasie gniazdo. Jak w filmie widziałem.

Jedni „oczyszczali" z tego, co trzeba było porzucić. Zdejmowali grunt, skażony cezem i strontem. Myli dachy. Nazajutrz wszystko znowu „dźwięczało".

*

Na pożegnanie podali nam ręce i wręczyli pisma z „podziękowaniem za ofiarność". Ojciec wspominał i wspominał. Ostatnim razem, kiedy wrócił ze szpitala:

- Jeśli przeżyję, żadnej chemii, żadnej fizyki. Ucieknę z fabryki. Zostanę pastuchem.

Zostaliśmy we dwójkę z mamą. Nie pójdę na studia techniczne, jak marzy mama. Choć uczelnia jest na naszej ulicy.

*

Mam małego brata. Lubi bawić się „w Czarnobyl". Buduje schrony przeciwbombowe, zasypuje piaskiem reaktor.

Nie było go jeszcze, kiedy to się stało.

*

Nocami unoszę się. Latam nad jasnym światem. To ani rzeczywistość, ani nieziemskość. To jest i tym, i tamtym, i czymś jeszcze innym. We śnie wiem, że mogę wejść do wnętrza tego świata, pobyć w nim albo i zostać. Język mój staje się niepowtarzalny, oddech nieprawdopodobny, ale nie wolno mi tam z nikim rozmawiać. Coś podobnego działo się ze mną w dzieciństwie. Rozpiera mnie pragnienie złączenia się, ale nie widzę nikogo. Tylko świat. Odczucie takie, że mogę go dotknąć. Jakiż jestem ogromny! Jestem wszystkim, ale już od-

dzielnie, samotnie. W dzieciństwie widziałem niektóre kolorowe odbicia, jak widzę je teraz. W tym śnie.

Nieraz wracają do mnie, następuje moment, kiedy o niczym innym nie mogę już myśleć. Tylko o tym śnie. Wtem otwiera się okno, nieoczekiwany powiew wiatru. Co to? Skąd? Dokąd? Między mną i tym czymś tworzy się więź. Współodczuwanie. Ale jak mi przeszkadzają te szare, szpitalne ściany. Jaki jeszcze jestem słaby. Światło zasłaniam głową, bo przeszkadza widzieć. Ciągnąłem tak, ciągnąłem. Próbowałem zobaczyć. Zacząłem patrzeć wyżej.

I nadeszła mama. Wczoraj powiesiła w sali ikonę. Żeby szeptać tam w kącie, klękać. Wszyscy milczą: profesor, lekarze, pielęgniarki. Myślą, że nie podejrzewam, nie domyślam się, że umrę. Nie wiedzą, że po nocach uczę się latać.

Kto powiedział, że łatwo jest latać?

Kiedyś pisałem wiersze. Zakochałem się w dziewczynce. W piątej klasie. W siódmej odkryłem, że jest śmierć.

Przeczytałem Garcii Lorki: *Ciemny koniec krzyku.* Zacząłem uczyć się latać. Nie podoba mi się ta zabawa, ale co robić?

Miałem przyjaciela. Miał na imię Andriej. Zrobili mu dwie operacje i skierowali do domu. Za pół roku czekała go trzecia operacja. Powiesił się na swoim pasku. W pustej klasie, kiedy wszyscy wyszli na lekcję wychowania fizycznego. Lekarze zabronili mu biegać, skakać.

Julia, Katia, Wadim, Oksana, Oleg... A teraz - Andriej.

- Umrzemy i staniemy się nauką - mówił Andriej.
- Umrzemy i zapomną o nas - tak myślała Katia.
- Umrzemy... - płakała Julia.

Teraz niebo jest dla mnie żywe, kiedy patrzę w nie. Tam są oni...

Samotny głos człowieczy

Niedawno byłam taka szczęśliwa. Dlaczego? Zapomniałam. Wszystko tamto zostało w jakimś innym życiu. Nie rozumiem. Nie wiem, jak mogłam zacząć żyć od nowa. Zachciało się żyć. Oto śmieję się, opowiadam. A tak tęskniłam. Byłam jak sparaliżowana. Chciało się z kimkolwiek rozmawiać, ale ten ktokolwiek nie powinien być człowiekiem. Zajdę do cerkwi, tam cichutko, jak bywa w górach. Cichuteńko. Tam można zapomnieć o życiu. I rankiem obudzić się. Szukam ręką. Gdzie on? Jego poduszka, jego zapach. Maleńki nieznany ptaszek biega po parapecie z maleńkim dzwoneczkiem i budzi, nigdy wcześniej takiego dźwięku, takiego głosu nie słyszałam. Gdzie on? Nie wszystko potrafię przekazać, nie wszystko wypowiedzieć. Nie pojmuję, jak mogę żyć. Wieczorem córka podejdzie.

- Mamo, odrobiłam już lekcje.

Tu wspomnę, że mam dzieci. A gdzież on?

- Mamo, guzik mi się urwał. Przyszyj.

Jak mam iść za nim? Spotkać się. Zamknę oczy i myślę o nim, dopóki nie usnę. We śnie przychodzi, ale tak przelotnie, szybko. I od razu znika. Słyszę nawet jego kroki. Dokąd odchodzi? Gdzie jest? A tak nie chciało mu się umierać. Patrzy przez okno i patrzy. W niebo. Podłożę mu jedną poduszkę, drugą, trzecią. Żeby miał wysoko. Długo umierał. Cały rok. Nie mogliśmy się rozstać. *(Długo milczy).*

Nie, nie bój się, oduczyłam się płakać. Chcę mówić. Ale nie mogę jak inni powiedzieć sobie, że nie pamiętam. Jak mówi to sobie moja przyjaciółka. Nasi mężowie umarli tego samego roku, razem byli w Czarnobylu. Wybiera się już za mąż. Nie, nie osądzam. Samo życie. Trzeba przeżyć. Ma dzieci. Ale mnie nie opuszcza dziwna myśl, co męczy, jakby nie była moja, jakbym ją gdzieś przeczuwała: oto widziałam to, czego inni jeszcze nie widzieli. Coś strasznego otworzyło się nam wcześniej niż innym.

Wyjechał do Czarnobyla w dzień moich urodzin. Goście jeszcze siedzieli za stołem, przeprosił ich. Pocałował mnie. A samochód już czekał pod oknem.

Dziewiętnastego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku. Dzień moich urodzin. On - monter, jeździł po całym Związku Sowieckim, a ja czekałam na niego. Tak ciągnęło się latami. Żyliśmy, jak żyją zakochani - pożegnania i powitania. A wtedy? Strach owładnął tylko naszymi mamami, jego i moją. U mnie i u niego lęku nie było. Dlaczego? - myślę teraz. Czy wiedzieliśmy, dokąd jedzie? Ot, wziąć by od ucznia z sąsiedztwa podręcznik fizyki do dziesiątej klasy, choćby przekartkować. Chodził tam bez czapki. Jego podwładnym przez rok wszystkie włosy wypadły, a u niego, odwrotnie, czupryna stała się gęstsza. Nikogo z nich już nie ma. Cała brygada, siedmiu ludzi, wszyscy zmarli. Młodzi. Jeden za drugim. Pierwszy skończył po trzech latach. No, myśleli: trudno, los. Za nim drugi, trzeci, czwarty. Teraz każdy zaczął czekać, kiedy on. Oto, czym żyli! Mąż zmarł ostatni. Montażyści-wysokościowcy. Odłączali prąd w opuszczonych wsiach, łazili po słupach. Po wymarłych domach, ulicach. Cały czas na wysokości. Wzrostu miał prawie dwa metry, wagi - dziewięćdziesiąt kilogramów - cóż mogłoby takiego zabić? Długo nie lękaliśmy się. *(Nieoczekiwanie uśmiecha się).*

Jaka byłam szczęśliwa! Wraca - w domu święto, zawsze, kiedy wracał, było święto. Wkładałam długą, piękną koszulę nocną. Lubiłam drogą bieliznę, zawsze miałam dobrą, ale ta koszula była szczególna. Odświętna. Dla naszego pierwszego dnia. Nocy. Znałam całe jego ciało na pamięć, wszystko to całowałam. Bywało, nawet przyśni mi się sen, że jestem jakąś częścią jego ciała - tacyśmy byli nierozdzielni. Bez niego bardzo tęskniłam, fizycznie wręcz bolała mnie jego nieobecność. Kiedy rozstawaliśmy się, na jakiś czas traciłam orientację - gdzie jestem, na jakiej ulicy, jaki to czas.

Przyjechał z już powiększonymi węzłami chłonnymi na szyi, rękami je wymacałam, były niewielkie, ale spytałam:

- Pokażesz się lekarzowi?
- Przejdzie - uspokajał.
- I jak tam w Czarnobylu?
- Zwyczajna robota. Ani brawury, ani paniki. Jak wszędzie.

W stołówce na parterze dawano szeregowym kluski, konserwy, ale na piętrze dla kierownictwa, generałów były owoce, czerwone wino, woda mineralna. Czyste obrusy. Każdy miał dozymetr. A im na całą brygadę nie dali ani jednego.

Jaka byłam szczęśliwa! Jeździliśmy z nim nad morze. Zapamiętałam, że morza tak wiele jak i nieba było wszędzie. Przyjaciółka też jeździła z mężem i wspomina:

- Morze jest groźne. Wszyscy bali się zarazić cholerą.

O czymś takim pisano w gazetach. A ja pamiętam inaczej. W jaskrawym kolorze. Pamiętam, że morze było wszędzie, jak niebo. Niebieskie, niebieściutkie.

A obok on. Urodziłam się dla miłości. W szkole dziewczęta marzyły: która pójdzie na studia, która wyjedzie na komsomolską budowę, a ja chciałam wyjść za mąż. Kochać tak bardzo, najbardziej, jak Natasza Rostowa[40]. Tylko kochać. Ale nie mogłam nikomu przyznać się do tego, albowiem w tym czasie, powinniście pamiętać, wskazane było marzyć wyłącznie o komsomolskim placu budowy. To nam kładli do głowy. Rwali się na Syberię, w nieprzebytą tajgę. Na studia się nie dostałam, nie starczyło punktów, poszłam do pracy w centrali telefonicznej. Tam poznaliśmy się. I to ja sama, można powiedzieć, ożeniłam się z nim, prosiłam go:

- Ożeń się ze mną. Tak cię kocham!

Zakochałam się po uszy. Taki piękny chłopiec. Leciałam do siódmego nieba. Tak, sama go prosiłam:

- Ożeń się ze mną.

(Uśmiecha się).

To znowu zamyślam się i szukam pocieszeń: a może śmierć nie jest końcem, on tylko zmienił się i żyje gdzieś w innym świecie? Pracuję w bibliotece, czytam wiele książek, spotykam się z różnymi ludźmi. Chcę rozmawiać o śmierci. Pojąć. Szukam pocieszenia. W gazetach, w książkach wyczytuję. Idę do teatru, jeżeli tam o tym, o śmierci. Czuję fizyczny ból bez niego, nie mogę sama jedna.

Nie chciał iść do lekarza.

- Niczego nie czuję. Nic nie boli - mówił.

A węzły chłonne stały się już wielkie jak kurze jajo. Siłą zaciągnęłam do samochodu i odwiozłam do polikliniki. Skierowali do onkologa. Jeden z lekarzy popatrzył, wezwał drugiego.

- Oto jeszcze jeden czarnobylec.

I już go nie wypuścili. Za tydzień zrobili operację: wycięli całą tarczycę, krtań i zastąpili je takimi rurkami. Tak. *(Milknie).* Tak, teraz wiem, że to był jeszcze szczęśliwy czas. Boże! Jakimiż bzdurami zajmowałam się wtedy: biegałam po sklepach, kupowałam podarki lekarzom - pudełka cukierków, importowane alkohole, bomboniery. Brali. A on śmiał się ze mnie:

- Lekarze nie są bogami. A chemii i promieniowania tutaj starczy dla wszystkich. Dadzą i bez cukierków.

Ale pędziłam na koniec miasta po tort „ptasie mleczko" albo po francuskie perfumy. A wszystko w tamtych czasach tylko po znajomości, spod lady.

Wypisali. Jedziemy do domu! Dali mi specjalną szprycę, pokazali, jak się

[40] Natasza Rostowa - jedna z bohaterek powieści Lwa Tołstoja *Wojna i pokój.*

nią posługiwać. Miałam go karmić przez tę szprycę. Wszystkiego się nauczyłam. Cztery razy na dzień gotowałam coś świeżego, obowiązkowo świeżego, mieliłam to w maszynce do mięsa, przecierałam przez sitko i potem nabierałam w szprycę. Przekłuwałam jedną z rurek, największą, która szła do żołądka, lecz on przestał czuć zapachy, rozróżniać.

- Smakuje? - pytam.

Nie wie.

Pomimo wszystko co jakiś czas biegaliśmy do kina. I całowaliśmy się tam. Zawiśliśmy na cieniuteńkiej niteczce, a wydawało się nam, że znowu zaczepiliśmy się o życie. O Czarnobylu staraliśmy się nie mówić. Nie wspominać. Zaklęty temat. Nie dopuszczam go do telefonu. Przechwytuję. Jego ludzie umierają jeden po drugim. Zaklęty temat. Aż kiedyś rankiem budzę go, podaję chałat, a on nie może wstać. I powiedzieć nic nie może. Przestał mówić. Oczy wielkie, wielgachne. Wtedy się przeraził. Tak. *(Znowu milknie).*

Zostawał nam jeszcze rok. Przez cały ten rok umierał. Z każdym dniem było mu gorzej i gorzej, a przecież nie wiedział, że jego ludzie umierają. Wciąż żyliśmy nadzieją. Niemożliwe jest tak żyć. Także dlatego, że nikt nie wie, co takiego czeka nas po „tym". Mówią - Czarnobyl, piszą - Czarnobyl, ale nikt nie wie, co to. Coś strasznego objawiło się nam pierwszym. Teraz u nas wszystko inaczej niż u innych: rodzimy się nie tak, umieramy nie tak jak wszyscy. Spytasz: jak umierają po Czarnobylu? Człowiek, którego kochałam, kochałam tak, że nie mogłabym kochać go bardziej, jakbym go sama urodziła, na moich oczach się zmieniał. Wycięli węzły chłonne, ich brak naruszył krążenie krwi, i nos się przesunął, powiększył się trzykrotnie, i oczy już jakieś inne - rozeszły się w różne strony, nieznajomy blask pojawił się w nich. Mają wyraz, jakby to nie on, a ktoś inny stamtąd patrzył. Potem jedno oko całkiem się zamknęło. A czego ja się boję? Jednego, żeby siebie nie zobaczył. Nie zapamiętał takiego. Ale zaczął mnie prosić, pokazywać rękami, żeby przynieść lustro. A ja to wybiegam do kuchni, że czegoś zapomniałam, nie słyszałam, a to cokolwiek wymyślam. Dwa dni tak go oszukiwałam, trzeciego dnia pisze mi w zeszyciku wielkimi literami i z trzema wykrzyknikami: „Daj lustro!!!". Mieliśmy zeszycik, pióro, ołówek, z takim obrazem oswoiliśmy się już, bo nawet szeptem nie mógł mówić. Pełna niemota. To ja biegiem do kuchni, brzękam rondlami. Nie widziałam, nie słyszałam. Znowu pisze mi: „Daj lustro!!!" - i z tymi wykrzyknikami. Przyniosłam mu lustro, najmniejsze. Spojrzał, chwycił się za głowę i kołysze się, i kołysze na łóżku. Ja zagaduję do niego:

- Niedługo poprawisz się i pojedziemy z tobą gdziekolwiek w zapadłą wieś. Kupimy tam dom i będziemy żyć, jeśli nie chcesz w mieście, gdzie wielu ludzi. Będziemy żyć sami.

Nie oszukiwałam go, pojechałabym z nim gdzie bądź, żeby tylko był, a jaki - nieważne. Nie oszukiwałam go.

Nie wspominam o niczym, co chciałabym przemilczeć. A przeżyłam wszystko. Daleko zajrzałam, może dalej niż śmierć. *(Zastanawia się).*

Miałam szesnaście lat, kiedy się poznaliśmy. Był starszy ode mnie o siedem lat. Dwa lata się spotykaliśmy. Bardzo lubię w Mińsku rejon przed pocztą główną, ulicę Wołodarskiego, tam pod zegarem wyznaczył mi spotkanie. A mieszkałam naprzeciw kombinatu kombajnowego i jeździłam trolejbusem nr 5, który nie zatrzymywał się przed pocztą, ale trochę dalej, przy sklepie z odzieżą dziecięcą. Troszeczkę zawsze się spóźniam, żeby przemknąć obok i zobaczyć, westchnąć: jakiż piękny chłopiec czeka na mnie! Przez dwa lata nie odróżniałam zimy od lata. Prowadził na koncerty. Na moją ulubioną Edytę Piechę[41]. Nie biegaliśmy na tańce, na plac taneczny[42], nie umiał tańczyć. Całowaliśmy się i całowali. Nazywał mnie: „Maleńka moja".

Dzień urodzin, znów mój dzień urodzin. Dziwne, ale wszystko, co dla mnie najważniejsze, przypadało dosłownie na ten dzień, ot, i nie wierz po tym w los. Stoję pod zegarem: o piątej spotkanie, a jego nie ma. O szóstej roztrzęsiona, we łzach brnę na swój przystanek, przechodzę ulicę, oglądam się, jakbym poczuła - biegnie za mną na czerwonym świetle w podkoszulku. Pojechaliśmy do niego do domu, przebrał się i postanowiliśmy obchodzić moje urodziny w restauracji. Ale w restauracji nie udało się, był wieczór, nie ma wolnych miejsc, a wsuwać piątkę albo dziesiątkę (tamtych pieniędzy) portierowi, jak inni, ani on, ani ja nie umieliśmy.

- Wiesz co - poszedł na całego - kupimy w sklepie szampana, garść ciastek i pójdziemy do parku, tam poświętujemy.

Pod gwiazdami, pod gołym niebem! Taki był. Na ławce w parku Gorkiego przesiedzieliśmy do rana. Takich urodzin w życiu nie miałam. I wtedy powiedziałam mu:

- Ożeń się ze mną. Tak cię kocham!

- Jesteś jeszcze maleńka - roześmiał się.

A nazajutrz zanieśliśmy zgłoszenie do urzędu.

[41] Edyta Piecha - znana w latach 60. i 70., śpiewająca po rosyjsku piosenkarka polskiego pochodzenia.

[42] Plac taneczny (w oryginale: *tancpłoszczadka)* - często spotykane w większych miastach byłego ZSRR, z reguły w parkach lub koło nich, placyki do tańca, wyłożone płytami lub drewnianą podłogą, czynne od wiosny do jesieni. W ZSRR był chroniczny głód mieszkaniowy, mieszkania ciasne, zamieszkane przez kilka rodzin, trudno więc było tam tańczyć. Z kolei lokali tanecznych było niewiele, a wstęp do nich drogi. Z tych powodów wielu chętnych - zwłaszcza ze starszego i średniego pokolenia - do dziś ściąga na *tancpłoszczadki.*

Jakaż byłam szczęśliwa! Niczego bym nie zamieniła w życiu, nawet gdy ktokolwiek obok ostrzeże, że gwiazdy zapowiadały. W dzień ślubu nie znalazł swego paszportu, cały dom przetrząsnęliśmy. Zapisali nas w urzędzie na jakimś świstku.

- Córeczko, to zły znak - płakała moja mama.

Potem paszport odnaleźliśmy w jego starych spodniach na strychu. Miłość! To nawet nie była miłość, lecz długie zakochanie. Kiedy tańczyłam rankiem przed lustrem: jestem piękna, młoda, a on mnie kocha! Teraz zapominam swojej twarzy, tej twarzy, jaką miałam dla niego. Nie widzę jej w lustrze.

Można o tym mówić? Nazywać słowami. To tajemnica. Dotąd nie rozumiem, co to było. Do ostatniego naszego miesiąca. Wołał mnie nocą. Miał pragnienia. Kochał bardziej niż wcześniej. Za dnia, kiedy patrzyłam na niego, nie wierzyłam w to, co następowało nocą. Nie chcieliśmy się rozstawać. Pieściłam go, głaskałam. W tych chwilach wspominałam wszystko, co najradośniejsze i najszczęśliwsze. Jak przyjechał z Kamczatki z brodą. Moje urodziny w parku na ławce. „Ożeń się ze mną". Trzeba mówić więcej? Można? Sama szłam do niego, jak idzie mężczyzna do kobiety.

Cóż mogłam mu dać oprócz lekarstw? Jaką nadzieję? Tak bardzo nie chciał umierać. Tylko swojej mamie o niczym nie opowiadałam. Nie pojęłaby mnie. Odsądziła. Przeklęła. Wszak to nie zwyczajny rak, którego wszyscy także się boją, ale czarnobylski, jeszcze straszliwszy. Lekarze wyjaśnili mi: porażenia metastazy wewnątrz organizmu, szybko by umarł, lecz one podeszły wierzchem, po ciele, po twarzy. Coś czarnego na nim narosło. Zapodział się podbródek, zniknęła szyja, język wywaliło na wierzch. Pękały naczynia, zaczynały się krwotoki.

- Oj - krzyczę - znowu krew.

Z szyi, z ust, z uszu. Ze wszystkich stron. Niosę zimną wodę, kładę kompresy - nie pomaga. Coś strasznego. Cała poduszka zalana. Misę podstawiam, miednicę. Strumyki ciurkają.

I ten dźwięk. Spokojny taki i drewniany. Dotąd po nocach go słyszę. Dopóki jest świadom, klaska w dłonie - to nasz bezsłowny znak: woła! Wzywaj pogotowie. Nie chciał umierać. Miał czterdzieści pięć lat. Dzwonię na pogotowie, ale tam już nas znają, nie chcą jechać.

- W niczym nie możemy pomóc mężowi.

A choćby zastrzyk! Narkotyk. Sama dam, nauczyłam się, ale daję - siniak pod skórą, nie rozchodzi się. Jeden raz dobiłam się, przyjechali. Młody lekarz przybliżył się do niego i natychmiast odskoczył.

- Powiedz, czy on nie jest zwyczajnym czarnobylcem? Z tych, co tam przebywali?

- Tak - odpowiadam.

I on, nie przesadzam, wykrzyknął:

- Mileńka moja, oby to się jak najszybciej skończyło! Widziałem, jak umierają czarnobylcy.

A mąż świadom, słyszy to. Dobrze jeszcze, że nie wie, nie domyśla się, że już sam jeden został ze swojej brygady.

Innym razem przysłali z polikliniki pielęgniarkę, jednakże tylko postała w korytarzu, nawet do mieszkania nie weszła.

- Oj, nie mogę! - powiedziała.

A ja mogę? Wszystko mogę. Cóż mam wymyślić? Skąd pomocy? A on krzyczy. Boli go. Cały dzień krzyczy. Wtedy znalazłam wyjście: wlewałam w niego przez tę szprycę butelkę wódki. Odurzy się. Zapomni. Nie ja to wymyśliłam, inne kobiety podpowiedziały. Z takiej samej biedy. Przyjdzie jego matka.

- Dlaczegoś puściła go do Czarnobyla? Jak mogłaś? - czyni mi wyrzuty.

A mnie wtedy nie mogło przyjść do głowy, że trzeba było nie puścić, a jemu, na pewno, że mógł nie jechać. To już był inny czas niż wojenny. Kiedyś go spytałam:

- A teraz nie żałujesz, żeś tam pojechał?

Kręci głową, że nie. W zeszycie pisze:

- Umrę, sprzedaj auto, koła zapasowe, a za Tolika (to jego brat) za mąż nie wychodź.

Podobałam się Tolikowi.

Wyjawię małą tajemnicę. Siedzę kiedyś obok niego. Śpi. Ma takie piękne włosy. Wzięłam i cichutko ucięłam kosmyk. Otworzył oczy, zobaczył, co mam w rękach, uśmiechnął się. Został jego zegarek, książeczka wojskowa i medal czarnobylski.

(Po milczeniu).

A taka byłam szczęśliwa! W porodówce, pamiętam, dniami siedzę przy okienku, czekam na niego, wyglądam. Nic sensownego nie rozumiałam: co ze mną, kiedy? Ale gdy tylko spojrzę na niego! Nie mogłam napatrzeć się, gdy czułam, że to może się kiedyś skończyć. Rankiem karmię dziecko i lubuję się, że on jest przy mnie. Pamiętam, jak sunie, idzie ulicą. Jestem dobrą bibliotekarką, ale nie pojmuję, jak można kochać pracę. Kochałam tylko jego jedynego. I nie mogę bez niego. Krzyczę po nocach. W poduszkę, żeby dzieci nie usłyszały.

I ani na chwilę nie wyobrażałam sobie, że nie ma go w domu, że nie jesteśmy razem. Moja mama, jego brat - przygotowywali mnie, naciskali, że lekarze radzą, obiecują poprawę. Słowem: jest pod Mińskiem specjalny szpital, gdzie wcześniej umierali tacy tam beznadziejni. Afgańcy bez rąk, bez nóg. A teraz tam przywożą czarnobylców.

- Tam mu będzie lepiej - przekonywali. - Lekarz zawsze w pobliżu.

Nie chciałam o tym słyszeć. Wtedy jego przekonali i zaczął prosić:

- Zawieź mnie tam. Nie męcz się.

A ja to proszę o zwolnienie, to w pracy urlop na swój rachunek wypraszam, z uwagi na sytuację. Według prawa zwolnienie dają tylko do wyjścia z chorym dzieckiem, a urlop na swój rachunek nie więcej jak na miesiąc.

A on cały nasz zeszycik zapisał. Dałam mu słowo, że go tam odwiozę. Pojechałam samochodem z jego bratem. Na skraju wsi, co nazywa się Grebienka, stał wielki drewniany dom, obok rozwalająca się studnia. Toaleta przy drodze, jakieś staruszki w bogobojnej czerni. Nawet z samochodu nie wyszłam. Nocą całuję go.

- Jak mogłeś mnie o to prosić? Nigdy tego nie zrobię! Nigdy!

Całego go wycałowałam.

Najstraszniejsze były ostatnie tygodnie. Pół godziny sika w półlitrowy słoik. Oczu nie podnosi. Wstyd mu.

- Jak możesz tak myśleć?! - Całuję go.

W ostatnim dniu zdarzyła się taka minuta: otworzył oczy, usiadł, uśmiechnął się i powiedział:

- Waliuszka!

Umierał sam. Człowiek umiera sam.

Wcześniej zadzwonili z jego pracy.

- Przyniesiemy czerwony dyplom - powiedzieli.

- Twoi ludzie chcą przyjść - mówię mu. - Dyplom wręczyć.

Kręci głową: nie, nie! Ale odwiedzili. Jakieś pieniądze przynieśli, dyplom w czerwonym papierze z fotografią Lenina. Wzięłam to i myślę: Za co umiera? W gazetach piszą, że to nie tylko Czarnobyl, że to komunizm się skończył. A profil na czerwonym papierze ten sam.

Chcieli mu chłopcy jakieś dobre słowo powiedzieć, ale on nakrył się kołdrą, przykryłam mu twarz dwoma takimi płatkami z gazy. Gdy ktoś prosił, żeby pokazać, odkrywałam. Jedna z kobiet zemdlała. A kiedyś kochała się w nim, byłam o niego zazdrosna.

- Daj ostatni raz popatrzeć.

- Patrz.

Nie opowiedziałam, że kiedy umarł, nikt nie mógł do niego dojść, wszyscy się bali. A krewnym u nas nie wolno myć i ubierać. Takie są nasze słowiańskie zwyczaje. Przywieziono z kostnicy dwóch sanitariuszy, poprosili o wódkę.

- Widzieliśmy - przyznali - niejedno: porozbijanych, pociętych, trupy dzieci po pożarze, ale coś takiego pierwszy raz. Najstraszniej ze wszystkich umierają czarnobylcy.

(Cichnie).

Umarł i leżał gorący. Nie wolno było się do niego zbliżyć. Zatrzymałam w domu zegar. Siódma rano. I zegar nasz aż do dziś stoi, nie odzywa się. Zegarmistrza wezwaliśmy, rozłożył ręce.

- Tu nie mechanika i nie fizyka, ale metafizyka - oświadczył.

Pierwsze dni bez niego. Spałam dwa dni, nie mogłam zbudzić się, wstanę, popiję wody, nie mogę jeść i znów padam na poduszkę. Obecnie wydaje mi się to niezrozumiałe: jak mogłam usnąć? Gdy umierał mąż przyjaciółki, rzucał w nią naczyniami, że taka młoda, piękna. A mój tylko patrzył na mnie i patrzył. W naszym zeszyciku zapisał:

- Umrę, spal mój proch. Chcę, żebyś się nie bała.

Dlaczego tak postanowił? Chodzą słuchy, że czarnobylcy i po śmierci „świecą się". Sama czytałam, że mogiły czarnobylskich strażaków pod Moskwą w Mitino ludzie obchodzą z daleka, swoich zmarłych koło nich nie grzebią. Martwi martwych się boją, nie mówiąc o żywych. Dlatego że nikt nie wie, co to takiego Czarnobyl. Jedynie fragmenty. Przeczucia.

Przywiózł z Czarnobyla biały ubiór, w którym pracował. Spodnie, odzież ochronna. I tak ten jego ubiór leżał u nas na antresoli do jego śmierci. Potem mama postanowiła:

- Trzeba wyrzucić wszystkie jego rzeczy.

Bała się. A ja nawet tego jego ubrania strzegłam. Przestępczyni. Mam w domu dzieci. Córkę i syna. Wywieźli ubranie za miasto i zakopali. Wiele książek przeczytałam, żyję wśród książek, ale niczego nie mogę wyjaśnić. Przywieźli urnę. Nic strasznego, rękę tam włożyłam i coś miękkiego, jak muszelki na brzegu morza w piasku, to pewnie kostki miednicy. Dotykam jego rzeczy, nie słyszę, nie czuję, a jakbym obejmowała. Nocą, pamiętam, siedzę koło niego. I nagle jakiś dymek. Drugi raz zobaczyłam ten dymek nad nim w krematorium. Jego dusza. Nikt jej nie widział, a ja widziałam. Mam odczucie, że jeszcze raz się spotkaliśmy.

Jaka byłam szczęśliwa! On jedzie w delegację, a ja dni, godziny liczę do naszego spotkania. Fizycznie bez niego nie mogę. Pojedziemy z nim do jego siostry na wsi, wieczorem ona pokazuje:

- Tobie pościeliłam w tym pokoju, a jemu w tamtym.

Popatrzymy jedno na drugie i śmiejemy się. Nie wyobrażaliśmy sobie, że można spać oddzielnie, w różnych pokojach. Tylko razem. Nie mogę bez niego. Swatali. Brat jego oświadczał się. Są tacy podobni. Ale mnie się wydaje, że jeśli ktokolwiek inny dotknie mnie...

Kto go mi zabrał? Jakim prawem? Przynieśli wezwanie z czerwonym paskiem dziewiętnastego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku. Jak na wojnę.

(Pijemy herbatę. Oglądam rodzinne fotografie. Weselne. I kiedy już chcę się pożegnać, ona przygląda mi się).

Jak dalej żyć? Nie wszystko powiedziałam. Nie do końca. Byłam szczęśliwa. Do utraty rozumu. Może nie trzeba mojego imienia? Niech pozostanie tajemnicą. Modlitwy odmawia się w tajemnicy. Szeptem. Za siebie. *(Milknie).* Nie, nazwijcie mnie. Na Boga, nazwijcie. Chcę zrozumieć. Chcę pojąć: dlaczego daje cierpienia? Po co one są? W pierwszym okresie wydawało się, że po wszystkim zjawi mi się coś ciemnego. Obcego.

A co mi pomogło? Wyciągnęło ku życiu? Wróciło do niego? Mój syn. Mam jeszcze jednego syna. Nasz z nim syn. Od dawna choruje. Dorósł, ale widzi świat oczyma dziecka. Oczyma pięcioletniego malca. Chcę z nim być. Marzę, aby zamienić mieszkanie i żyć w pobliżu Nowinek, gdzie jest szpital psychiatryczny. Tam jest on, syn. To rada lekarzy: żeby żyć, musi być tam. Jeżdżę tam często. Spotyka mnie.

- A gdzie tato Misza? Kiedy przyjedzie?

Kto jeszcze mnie o to zapyta? On także czeka na niego.

Będziemy czekać razem. Będę odmawiać szeptem swoją czarnobylską modlitwę. On będzie patrzeć na świat oczyma dziecka.

Walentyna Timofiejewna Panasiewicz,
żona likwidatora

Zamiast epilogu

Kijowskie biuro podróży proponuje przejażdżki do miasta Czarnobyla i wymarłych wsi. Za pieniądze, rozumie się. Zwiedzajcie jądrową mekkę.

Gazeta „Nabat", luty 1996 r.

Leszek Wołosiuk

Świat po Czarnobylu

I. Białoruś - poletko Pana Boga

1. Przybyłeś ujrzeć humanoidów?

Natalia Rosłowa pytała z uśmiechem.

- Przykro mi, że u nas mutantów tyle, ile gdzie indziej - ironizowała szefowa Komitetu „Dzieci Czarnobyla" w Mohylewie. - Gdyby było ich więcej, świat by o nas pamiętał - brzmiał zjadliwy komentarz białoruskiej działaczki.

Natalia jest „dzieckiem Czarnobyla", jak się tam nazywa społeczników zajmujących się skutkami wybuchu. Pchała się w *zony smierti* (strefy śmierci), żeby ostrzegać, ratować, liczyć, zdawać sprawozdania. Obwoziła zagranicznych dziennikarzy, wiodła konwoje pomocy humanitarnej.

W skażonej strefie byłem wiosną 1998 roku, żeby napisać reportaż dla „Polityki". Na początek wyprawy rozmówczyni darowała mi swój referat sprzed dwóch lat. Przypomniała w nim, że „10 lat temu na południowo-zachodniej rubieży wszechpaństwa zajmującego 1/6 część powierzchni Ziemi nastąpił wybuch atomowy o nieznanej w cywilizacji sile". Dalej jest o jego straszliwych następstwach i próbach zatajenia ich przed narodem i opinią światową: w „czarnobylskich" stowarzyszeniach, fundacjach i komitetach są zdjęcia dzieci, które radośnie kroczą pięć dni po wybuchu w pochodach pierwszomajowych. O „jądrowych zabójcach" - reaktorach typu RBMK *(rieaktor bołszoj moszcznosti kanalnyj* - reaktor kanałowy wielkiej mocy), projektowanych w Moskwie, składanych w Leningradzie i Swierdłowsku, a montowanych w AES-ach *(atomnych elektrostancjach* - elektrowniach atomowych). O śmiercionośnych obłokach niesionych przez zmieniający się wiatr to na Rosję, to na Europę, a samolotami obrony powietrznej „osadzanych" na Białorusi z przyczyn „humanitarnych" (południowo-wschodnia część kraju jest słabo zaludniona). O tym, iż obszar klęski ekologicznej liczy 46 tys. km^2, a kataklizm dotknął 3326 miast i wsi.

Wiele w tym szlachetnej troski, by wstrząsnąć światem. I obawy, by świat nie zostawił Białorusinów ze schedą po wybuchu. Nie wszystko, o czym mówią „dzieci Czarnobyla", potwierdza nauka, a światowe organizacje atomowe z rezerwą odnoszą się do „czarnobylskiego krzyku". Polityka od początku uczyniła z atomowego nieszczęścia obiekt gry międzynarodowej, najpierw utajniając jej przebieg i pomniejszając skutki, a potem - wraz z rozpadem ZSRR - wyolbrzymiając je. W oczekiwaniu pomocy czynią tak do dziś trzy państwa bezpośrednio dotknięte przez *wzryw* (wybuch): Białoruś, Ukraina i Rosja.

Nie sposób dziś zrozumieć wybuchu sprzed lat - i jego skutków - bez Białorusi, którą poraził najbardziej, dotknął bowiem jedną czwartą obywateli, zasobów i terytorium kraju.

*

- Chcesz order za tydzień na Mohylewszczyźnie? - z właściwym sobie wdziękiem zapytała Natalia na koniec mojego pobytu. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, podarowała mi książkę: - Jeśli tego nie przeczytasz, niczego nie zrozumiesz.

W wagonie sypialnym z Mińska do Warszawy zajrzałem do niej i... chociaż jest po rosyjsku, przeczytałem w jedną noc!

To *Czernobylskaja molitwa,* z zagadkowym podtytułem: *Chronika budusczego* (Kronika przyszłości) Świetlany Aleksijewicz.

Do autorki i jej bohaterów wrócę na końcu eseju.

II. Największy kataklizm technologiczny XX wieku?

1. To pytanie bez odpowiedzi

Ściślej: trudno na nie odpowiedzieć. Bo do czego porównać katastrofę? Bo wywołuje pytanie o przyszłość energetyki jądrowej. Bo wreszcie Czarnobyl nie jest tylko miejscem na mapie.

Dane o szkodach wyrządzonych przez *czernobylskij wzryw* są ciągle niepełne. Zorganizowana w 1996 roku przez Międzynarodową Agencję Energii Atomowej (IAEA), Unię Europejską i Światową Organizację Zdrowia (WHO) konferencja w Wiedniu „Dekada po Czarnobylu - podsumowanie skutków awarii" ocenia „aktywność materiału radioaktywnego uwolnionego z reaktora

mniej więcej na 12 x 10^{18} Bq". Wśród ulatniających się radionuklidów „szczególne znaczenie miały izotopy jodu i cezu". Pierwsze, o krótszym okresie półtrwania, oddziaływały tuż po katastrofie. Drugie, rozkładające się przez dziesiątki lat, działają nadal. Z reaktora uszło 50-60 proc. radioktywnego jodu, a radioaktywnego cezu - ok. 20-40 proc.

Raport Brytyjskiego Forum Przemysłu Jądrowego *Cheronobyl ten years after* (Dziesięć lat po Czarnobylu) uzupełnia wiedeńskie dane o porównania do innych awarii reaktorów: daje to tysiąc razy więcej radionuklidów, niż wydostało się ich w pożarze angielskiego reaktora w Windscale (1957) i milion razy więcej niż ze stopionego reaktora w Three Miles Island (1979) w USA. Gdyby za tekstem iść dalej, jest to „około dwudziestu razy mniej niż dostało się do atmosfery podczas prób broni jądrowej [czynionych głównie przez ZSRR i USA - LW] przed zawarciem w 1963 r. układu o częściowym ich zakazie".

Niezbicie udowodniono, iż kataklizm przyniósł „tylko" 31 ofiar śmiertelnych. Nie są to „najtragiczniejsze liczby", gdy chodzi o awarie przemysłowe. Prof. Zbigniew Jaworowski zestawia przykłady: wyciek gazu trującego w indyjskim Bhopalu (1984) spowodował śmierć przeszło 15 tys. ludzi, 2,6 tys. ofiar pochłonęło przelanie się wody przez zaporę we włoskim Vaiont (1963), 1,1 tys. osób zginęło od wybuchu dynamitu w kolumbijskim Cali (1956) i wreszcie wybuch gazu w Mexico City (1984) przyniósł 452 ofiary.[43]

Nie chodzi o żonglowanie „statystyką śmierci". Na „statystyczny argument" łatwo znaleźć takiż kontrargument. Choćby to, że w powyższym zestawieniu mowa w zasadzie o zgonach spowodowanych promieniowaniem bezpośrednio po awarii, natomiast trudno do dziś ocenić skutki rozłożone w czasie (i w bezkresnej przestrzeni byłego ZSRR), o czym w książce wypowiada się zbyt wiele osób, by można było sądzić, iż wszystkie one uległy „czarnobylskiej fobii". Wiadomo też, iż energetyka atomowa - zwłaszcza jej przyszłość - ma swoich zdecydowanych zwolenników i przeciwników, a w ich ostrych starciach statystyka bywa nadużywana.

Zanim tej przyszłości dotknę, wrócę jeszcze do radioaktywnych substancji, jakie wydostały się z reaktora.

[43] Zbigniew Jaworowski, *Skutki Czarnobyla,* w: „Postępy Techniki Jądrowej", wol. 40, z. 3/1997.

2. *Najwięcej radionuklidów opadło na pobliskie obszary*

Ukraiński Czarnobyl leży tuż przy granicy z Białorusią i Rosją. Z danych, jakie stamtąd płyną, wynika, iż skażeniu uległo 0,5 proc. terytorium Rosji, 4,8 proc. obszaru Ukrainy i aż 23 proc. powierzchni Białorusi. Wiedeńska konferencja - w zakresie przekroczenia przez izotop cez - 137 185 kBq na km^2 - ogranicza je do 16,5 tys. km^2 na Białorusi (na 207,6 tys. km^2 powierzchni kraju), do 8,1 tys. km^2 w Rosji (na 17,1 mln km^2) i do 4,6 tys. km^2 na Ukrainie (na 603,7 tys. km^2).

Jakkolwiek liczyć, dziesięciomilionowej Białorusi - nie mającej elektrowni atomowej! - wybuch przyniósł narodowe nieszczęście. Uważa się tam, że jedna czwarta jej mieszkańców (i zasobów) jest - w mniejszym lub większym stopniu - porażona radiacją. Białorusini obliczają, że 70 proc. radionuklidów z reaktora opadło na ich państwo. Porównują, że o ile w latach II wojny światowej Niemcy unicestwili na białoruskiej ziemi 619 wsi (z większością ich mieszkańców), o tyle po Czarnobylu kraj utracił 485 wsi i osiedli (70 z nich zasypano ziemią). Na wojnie poległ co czwarty Białorusin, dziś co piąty żyje na skażonym terytorium (to 2,1 mln ludzi, w tym 700 tys. dzieci). Radiacja, jako przyczyna zgonów, zajmuje - w odczuciu Białorusinów - główne miejsce. Podają, iż w obwodach homelskim i mohylewskim (najbardziej poszkodowanych przez czarnobylski kataklizm) śmiertelność przewyższa urodzenia o 20 procent.

3. Zawiniła nauka czy człowiek?

Tuż po awarii naukowcy zadali sobie to pytanie. Odpowiedź nie była prosta, zwłaszcza iż w tragiczne dywagacje wdała się polityka.

Sąd nad „winowajcami atomowego wybuchu" rozpoczęto przeszło rok po awarii (7 lipca 1997 roku) w starym sowieckim stylu: uroczyście, w obecności dziennikarzy (w tym zagranicznych) i oczywiście w pobliżu „miejsca zbrodni", w sali Domu Kultury w Czarnobylu. Była to ostatnia *pokazucha* przypominająca procesy stalinowskie, gdzie oskarżenia najpierw formułowały czynniki polityczne, po czym inspirowały napiętnowanie oskarżonych przez środki masowego przekazu, publicystów, naukowców, artystów itd. Tak też stało się i teraz.

Trzeba bowiem pamiętać, na jaką świadomość to wszystko się nakładało, jacy byli w tamtym momencie ludzie stamtąd. Działały tajne służby. Zagłuszano zachodnie rozgłośnie. Tysiące partyjnych i wojskowych tajemnic. Ten wątek często przewija się w wypowiedziach bohaterów *Krzyku Czarnobyla.* W losach jednostek i społeczności widać jak na dłoni dzieje upadku tamtego systemu totalitarnego. Jak w soczewce ogniskuje się tragedia ludzka, wywołana przez oba kataklizmy - polityczny upadek i technologiczną katastrofę. Tak się na tamtym terenie splotły, iż niepodobna ich rozdzielić.

Chociaż tak wielki - o dotąd nie rozpoznanych konsekwencjach - kataklizm technologiczny wszędzie musiałby stać się sprawą polityczną, po tej stronie ówczesnej żelaznej kurtyny został nią w sposób szczególny. Najpierw ukrywano tragiczny wypadek, a potem tuszowano jego przyczyny, zasięg, ofiary i skutki. Jeśli na to nałożyć brak kompetencji i szybkich decyzji w trakcie opanowywania awarii, obraz stanie się jeszcze bardziej ponury. Wszystko to do dziś wyrządza nieobliczalną szkodę fizyce jądrowej. W obawie o jej przyszłość i w trosce o rozwój przemysłu jądrowego można zaobserwować w świecie zachodnim próby pomniejszania i bagatelizowania szkód, jakie wyrządził i wciąż jeszcze wyrządza wybuch w Czarnobylu. Panujący „od zawsze" na Wschodzie bałagan, wzmożony po rozsypaniu się imperium, bardzo to „ułatwia". Bywa, iż ten sam minister z jednego z trzech poszkodowanych krajów, podaje w różnych gremiach różne dane o skutkach awarii.

4. Dziś już wiemy, że w Czarnobylu zawinił człowiek...

27 lipca 1987 roku skazano sześciu ludzi z czarnobylskiej elektrowni odpowiedzialnych za nieudany eksperyment, mający tragiczne następstwa. Wiktora Briuchanowa - dyrektora, Nikołaja Fomina - naczelnego inżyniera, Anatolija Diatłowa - zastępcę naczelnego inżyniera ds. bloków 3. i 4. i zarazem naukowego kierownika eksperymentu, Borysa Rogożkina - kierownika zmiany elektrowni (dyspozytora elektrowni), Aleksandra Kowałenkę - kierownika działu reaktorów, oraz Jurija Łauszkina - inspektora bezpieczeństwa. Dwóch dalszych nie osądzono, gdyż zmarli z powodu napromieniowania: Aleksandra Akimowa - kierownika zmiany 4. energobloku, i Leonida Toptunowa - starszego inżyniera sterowania (operatora). Jeden człowiek popełnił wcześniej samobójstwo: akademik Walerij Legasow, zastępca Anatolija Aleksandrowa w Instytucie im. Kurczatowa, głównym centrum radzieckiej fizyki jądrowej, gdzie m.in. powstawały projekty reaktorów..

5. ...ale wiemy też, iż reaktor RBMK-1000 nie jest bezpieczny

Nie miał bowiem odpowiednio sprawnego systemu zabezpieczeń na wypadek awarii. A działa ich jeszcze na terenie byłego ZSRR piętnaście. Tu warto odno-

tować zdanie jednego ze skazanych, Anatolija Diatłowa, byłego zastępcy głównego inżyniera obsługi w Czarnobylu: „Projekt RBMK nie był przyczynkiem ani znaczącym czynnikiem awarii czarnobylskiej, ale jedyną jej przyczyną".[44]

6. Boimy się o „sarkofag"

Wiemy ponadto, że unieruchomiony czwarty reaktor, zwany sarkofagiem, kryje w swoich czeluściach około 20 ton paliwa jądrowego. Co się w nim dzieje dziś, nikt nie wie. Gasząc pożar, usypano nad nim tzw. sarkofag, czyli zrzucono metalowe konstrukcje i płyty, które zalano betonem. Jednakże montowano go w pośpiechu i „na odległość", płyty zestawiano za pomocą robotów i śmigłowców. Według niektórych danych powierzchnia otworów i szczelin liczy ok. 200 m^2, z których mogą wydobywać się radionuklidy. Cała konstrukcja może poruszyć się, co mogłoby przynieść groźne następstwa. Są hipotezy, iż czarnobylską elektrownia leży na pęknięciu tektonicznym (podobnie jak elektrownia w Chmielnickim), i tektonicznemu tąpnięciu przypisują awarię.

Ostatni blok czarnobylskiej elektrowni atomowej pracuje nadal (przed awarią działały tam cztery reaktory, dwa dalsze były w budowie). Zatrudnionych jest przy nim prawie 6 tys. osób. Rząd w Kijowie kilka razy przesuwał jego zamknięcie, gdyż nadal dostarcza Ukrainie 6 procent energii elektrycznej. W listopadzie 1995 roku znowu zdarzył się tam wyciek radioaktywny, zostali napromieniowani pracownicy, co ujawniono później.

7. *Szkody są dosłownie nieobliczalne*

Wspomniana konferencja „Dekada po Czarnobylu", gdzie występowali politycy, szefowie krajowych agencji atomowych, eksperci IAEA, UE i WHO, stwierdziła, że do atmosfery przedostało się 200 razy więcej substancji radioaktywnych niż w czasie wybuchów w Hiroszimie i Nagasaki. Porównanie jest niewspółmierne, gdyż w Japonii było wysokie, ale jednorazowe promieniowanie, po Czarnobylu zaś długo oddziaływało ono na ludzi i środowisko.

[44] Z wypowiedzi dla „Nuclear Engineering International" 11/1991. Anatolij Dittow, kierujący eksperymentem, w czasie którego doszło do awarii, został 27 lipca 1987 r. skazany na 10 lat więzienia. Z powodów zdrowotnych zwolniony wcześniej, poddał się leczeniu w RFN. Aż do śmierci (zmarł w końcu 1995 r. w Kijowie) uważał, że głównym powodem wybuchu była zła konstrukcja reaktora.

Nie ustalono też liczby poszkodowanych. Jedni szacują liczbę ofiar na 31 osób, ale pesymiści mówią o śmierci z napromieniowania ok. 30 tys. ludzi. Około 800 tys. osób żyło na terenach skażonych, lecz ilu, w jakim stopniu i z jakimi skutkami uległo radiacji, nie wiadomo. Nie wiadomo nawet, ilu z nich żyje lub choruje. Właściwie jedynymi w miarę wiarygodnymi źródłami danych są liczne stowarzyszenia grupujące likwidatorów skutków awarii. Zajmują się przede wszystkim sprawą odszkodowań, domagają się ulg i pomocy. Najwięcej ich działa na Białorusi, Ukrainie i w Rosji.

Około 400 tys. ludzi opuściło na zawsze swe domostwa w trzydziestokilometrowej strefie skażonej wokół AES oraz pozostałych terenów dotkniętych radiacją. Część wysiedlono w pierwszych dniach, w liczbie 116 tys. osób. Pozostałych wysiedlano później, nawet w latach 90. Nie zawsze z uzasadnionych powodów, twierdzą eksperci, czasem z powodu „czarnobylskiej fobii".

Napromieniowanej ziemi jest tam ok. 10 tys. km^2. Białoruś podaje jednak, iż jej obszary uprawne zagrożone cezem-137 od 1 Ci na km^2 wzwyż to ponad 1,8 mln hektarów, natomiast strontem-90 z natężeniem 0,3 Ci na 1 km i więcej to około 0,5 mln hektarów.

W tejże Białorusi wymieniono 264 tys. hektarów ziemi. Jak to zrobiono, to inna sprawa, o czym mówi w książce wiele osób. Niektórzy sądzą, iż w tym kraju aż 26 procent lasów oraz przeszło połowa łąk w dolinach trzech wielkich rzek: Prypeci, Dniepru i Soży, leży w strefie zagrożenia radioaktywnego.

W Wiedniu stwierdzono wyraźny związek pomiędzy tamtym wybuchem a wzrostem zachorowań na nowotwory tarczycy, zwłaszcza u dzieci. Na Ukrainie przed rokiem 1986 był jeden przypadek na milion dzieci, po awarii jest ich 240. Na całej Białorusi w dziesięcioleciu poprzedzającym wybuch było 8 przypadków, a w latach 1986-96 zarejestrowano ich już 574. Jest dla nas o tyle niepokojące, iż najczęściej występuje w obwodzie homelskim i... brzeskim, za naszą granicą.

III. Lekcja czarnobylska

1. Energetyka atomowa w świecie i u sąsiadów.

Przyszłość energetyki jądrowej uwzględnia „czarnobylską lekcję". Zanim ją wyłoży profesor Jerzy Niewodniczański, prezes Państwowej Agencji Atomistyki, dorzucę garść danych.

Obecnie na świecie udział elektrowni jądrowych w łącznej produkcji energii elektrycznej sięga 17 proc. i w ciągu stu lat ma wzrosnąć do 28 proc. Odbędzie się to kosztem energii pozyskiwanej dotąd z węgla, ropy i gazu, gdyż procesy jej wytwarzania z tych surowców, zwłaszcza z węgla, zanieczyszczają środowisko. Z obecnych przeszło 70 proc. zmaleje ona w ciągu tego okresu do 47. Zmniejszy się także kosztem większego udziału energii odnawialnej (elektrownie wodne, wietrzne, słoneczne) z obecnych 6 do 25 proc. Tak przewidują prognozy przyjęte na 16 Kongresie Światowej Rady Energetycznej.

A dziś?

W 32 krajach eksploatuje się ponad 440 bloków jądrowych, dających niemal 400 tys. MW. W 13 krajach (oraz w Iranie, który dotąd nie miał elektrowni atomowej) wznosi się 36 następnych, mających dać niemal 30 tys. dalszych MW.

W pięciu krajach świata większość energii elektrycznej pochodzi z reaktorów atomowych: na Litwie - ok. 83 proc, we Francji - ok. 77 proc, w Belgii - ok. 57 proc, w Szwecji - ok. 52 proc. i na Słowacji (gdzie ostatnio oddano elektrownię w Mohovcach) - przekracza 50 proc. W Szwajcarii, na Ukrainie, w Bułgarii i na Węgrzech reaktory dają ponad 40 proc energii elektrycznej.

Chociaż Polska nie ma elektrowni atomowych, to posiada je większość naszych bliższych i dalszych sąsiadów (poza Białorusią, Austrią, Danią i Norwegią). Oto nazwy tych krajów, ilość eksploatowanych tam reaktorów (w nawiasie ilość budowanych): Szwecja - 12, Finlandia - 4, Litwa - 2, Rosja - 29 (4), Ukraina - 16 (4), Słowacja - 4 (i 4 energobloki - czynne lub oddane w Mohovcach), Węgry - 4, Rumunia - 1 (1), Bułgaria - 6, Czechy - 4 (2), Słowenia - 1, Niemcy - 20, Szwajcaria - 5, Francja - 57 (3), Belgia - 7, Holandia - 2, Wielka Brytania - 35*.

Wymienię też elektrownie atomowe leżące w odległości ok. 300 km od granic Polski: litewska elektrownia w Ignalinie jest oddalona o 250 km, ukraińskie w Równem i w Chmielnickim o 140 i 175 km, słowackie w Bohunicach i Mohovcach o 138 i 180 km, węgierska w Paks o 304 km, czeskie w Dukovanach o 122 km i oddawana w Temelinie o ok. 220 km, niemiecka w Krtimel o 258 km oraz szwedzkie w Barsebeck i w Oskarshamn o 210 i 295 km.**

* Biuletyn Państwowej Agencji Atomistyki i Ministerstwa Gospodarki „Energetyka Jądrowa '96. Stan i tendencje rozwojowe energetyki jądrowej na świecie w roku 1996".

** Biuletyn Państwowej Agencji Atomistyki „Bezpieczeństwo Jądrowe i Ochrona Radiologiczna", nr 2/1998 (vol. 34).

2. *Polska jest „wyspą" wśród państw „atomowych".*

- W odległości do 600 km od naszych granic znajduje się 50 atomowych bloków energetycznych - liczy prof. Jerzy Niewodniczański. - *Będąc taką „wyspą", nie mamy żadnych korzyści z energetyki jądrowej, natomiast musimy być przygotowani na potencjalne zagrożenie, co jest trudniejsze wobec np. awarii elektrowni, którą zarządza ktoś inny. Stąd zależy nam na dobrych stosunkach z „jądrowymi" sąsiadami, chcemy, by system powiadamiania o wszelkich mogących nastąpić nieprawidłowościach był skuteczny.*

3. Czego uczy Czarnobyl ?

- Wybuch w Czarnobylu - stwierdza dalej profesor - *spowodował nieszczęście w trzech krajach: Białorusi, Rosji i Ukrainie. Najwięcej strat poniosła Białoruś. Ale Czarnobyl spowodował też, Że energetyka jądrowa, która przedtem była postrzegana jako najbezpieczniejsze źródło pozyskiwania energii, może kryć w sobie potencjalne niebezpieczeństwo i wywołać bardzo poważne skutki, a nieumiejętna eksploatacja reaktora może spowodować nieszczęście.*

Czarnobyl zmusił projektujących i eksploatujących elektrownie atomowe do starannej rewizji wobec działających, wznoszonych i projektowanych reaktorów. To „dzięki" Czarnobylowi jeszcze w tym samym 1986 roku przedstawiono do podpisania dwie konwencje: o wczesnym powiadamianiu o awariach jądrowych oraz o współpracy w wypadku awarii. Nie mówiąc o takich sprawach, jak np. odszkodowania cywilne w wypadku szkód jądrowych, gdzie powstał międzynarodowy system uregulowań prawnych.

- *Przede wszystkim jednak wywołał zwiększenie stopnia bezpieczeństwa reaktorów na świecie, zarówno eksploatowanych, jak budowanych* - zapewnia prezes RAA. - *Nastąpiło zahamowanie wzrostu światowej energetyki, w niektórych przypadkach wyłączenie reaktorów i zaniechanie produkcji takich, które nie potrafiły spełnić wymogów bezpieczeństwa.*

I znowu przypomnę, że przyczyniło się to do zaniechania przez niektóre państwa budowy programu energetyki jądrowej. Przykładem Polska, gdzie protesty ludności przed budową energobloku w Żarnowcu, nazywanym przez protestujących „Żarnobylem", spowodowały odstąpienie od tej inwestycji oraz odsunięcie w czasie realizacji programu rozwoju energetyki atomowej.

4. Nie unikniemy energetyki atomowej.

- *Żeby jednak mieć czyste środowisko* - jest przekonany profesor - *trzeba mieć energetykę jądrową. Nawet zdając sobie sprawę z trzech jej słabych punktów. Pierwszy to problem gromadzenia odpadów promieniotwórczych. Jest ich bardzo mało, do 20 ton rocznie z dużej elektrowni, czego nie można porównywać np. z tysiącami ton popiołów, jakie dają elektrownie węglowe. Drugi to groźba awarii - w wypadku wybuchu w elektrowni węglowej są narażeni tylko jej pracownicy, a Czarnobyl pokazał, że wybuch jądrowy może narazić o wiele więcej osób. Trzeci to kwestia finansowa. Inwestycja w elektrownię jądrową jest kosztowna, w odróżnieniu od eksploatacji, która jest niemal darmowa. W atom może inwestować państwo, gdzie istnieje niska cena kredytu bankowego. Na pytanie: kiedy w Polsce będzie energetyka jądrowa, najlepszą odpowiedzią jest, że wtedy, kiedy kredyty bankowe będą w Polsce sięgały 5 procent* - konstatuje szef Państwowej Agencji Atomistyki.

I przypomina ponadto konferencję z Kioto (grudzień '97), która zobowiązała wszystkie państwa do obniżenia emisji gazów cieplarnianych, w tym dwutlenku węgla ($C0_2$) w stosunku do roku 1990. W myśl ustaleń Polska powinna obniżyć emisję $C0_2$ o 6 proc. (jesteśmy 13. trucicielem świata). Żadne technologie nie usuną stojącego przed nami problemu $C0_2$.

Tak więc - mimo iż zdarzył się Czarnobyl - problemy energoenergetyki atomowej, jako gwarantujące „czystość ekologiczną", są przed nami. Będą nimi z pewnością energoodpady oraz zaprojektowanie takich reaktorów, iżby „wypadek czarnobylski" był niemożliwy.

- *A był to jeden wypadek na prawie pięćset pracujących (w wielu przypadkach od prawie trzydziestu lat) bloków energetycznych* - dodaje profesor. - *Chciałoby się zatem, iżby prawdopodobieństwo takiego wypadku było mniejsze niż jeden na milion pracujących reaktorów.*

5. Dywersyfikacja energetyki.

Najlepiej zorganizowana gospodarka energetyczna jest taka, która polega na różnych źródłach pozyskiwania energii, co się w języku techniczno-ekonomicznym nazywa dywersyfikacją.

- *Dywersyfikacja jest korzystna z wielu powodów* - twierdzi wykładowca. - *Energetyka jądrowa daje poczucie bezpieczeństwa energetycznego krajom, które ją wprowadzają.*

Elektrownie węglowe wymagają olbrzymich ilości węgla, którego można mieć w zapasie na wielkich hałdach na trzy tygodnie. Co w razie np. długotrwałych strajków górniczych? Politycznie zatem węgiel jest u nas poddawany naciskom wewnętrznym. Elektrownie gazowe też wymagają zapasów. Gaz gromadzi się w ziemi, gdzie się go wpompowuje. Unia Europejska wprowadziła normy, iżby mieć go na 90 dni. Polska nie została przyjęta do Europejskiej Agencji Energii przy OECD, bo uruchomiła dopiero jeden taki ziemny magazyn w Mogilnie, a potrzeba o wiele więcej. Gaz jest więc także poddawany naciskom politycznym, tym razem zewnętrznym. Ten rodzaj magazynowania przynosi też olbrzymie straty, około jednej trzeciej wtłoczonego do ziemi gazu nie da się potem wydobyć.

Przed dwoma laty rząd przyjął program „Strategia energetyczna Polski", który mówi, iż do 2010 roku nie należy uwzględniać energetyki jądrowej w bilansie energetycznym kraju. W tej chwili przygotowywana jest nowa strategia. W niektórych wersjach zakłada się znaczny jej udział, nawet do 10 tys. MW do 2020 roku. Realizacja taka byłaby mało prawdopodobna, gdyż wymagałoby to uruchomienia 10 dużych energobloków (jednego rocznie).

6. Bezpieczne elektrownie atomowe.

- *Trzy rzeczy zmieniły się na pewno* - podsumowuje prof. Jerzy Niewodniczański. - *Pierwsza polska elektrownia atomowa nie będzie budowana według technologii rosyjskiej - to raz. W tej chwili można sobie wybrać elektrownię jądrową o dowolnych parametrach - dwa. I wreszcie - trzy - będą to elektrownie działające na zasadach komercyjnych, czyli państwo będzie kupować energię i wymagać, aby były bezpieczne. A są one dzisiaj zabezpieczone nawet przed szaleństwem człowieka.*

IV. „Modlitwa" znaczy „krzyk"

1. Kim jest autorka Krzyku Czarnobyla?

Swietłana Aleksandrowna Aleksijewicz urodziła się 31 maja 1948 roku w Iwano-Frankowsku na Ukrainie w rodzinie mieszanej: ojciec - Białorusin,

matka - Ukrainka. Wkrótce rodzice wyjechali na Białoruś i podjęli pracę jako wiejscy nauczyciele (podobnie jak dziad i pradziad ojca).

Po ukończeniu szkoły dzisiejsza pisarka, scenarzystka filmowa i dziennikarka została korespondentką gazety rejonowej w Narowli na Homelszczyźnie, by po dwóch latach pracy (taki był wymóg) studiować dziennikarstwo w Białoruskim Uniwersytecie Państwowym w Mińsku. Po studiach pracowała w gazecie lokalnej w Berezie (obwód brzeski). Zaczęła też uczyć w szkole wiejskiej.

- Wahałam się: podtrzymać rodzinną tradycję nauczycielską, zająć się pracą naukową czy zostać dziennikarką? - wspomina.

Po roku zatrudniono ją w mińskiej redakcji „Sielskiej Gaziety", a po paru latach została szefową działu reportażu i publicystyki pisma „Nieman", organu Związku Pisarzy Białorusi. Tam próbowała sił w różnych dziedzinach: pisała opowiadania, uprawiała publicystykę, jeździła na reportażowe wyprawy. Tam przede wszystkim poznała człowieka, który wpłynął na jej późniejsze losy. Był nim znakomity białoruski pisarz, Aleś Adamowicz, autor znanych książek: *Ja - iz ognionnoj dierewni* (Jestem ze wsi ogniowej) i *Błokadnaja kniga* (Księga blokady).

- Choć zostały one napisane nie tylko przez niego, lecz we współpracy z innymi pisarzami, to jednak chwała za pomysł i wprowadzenie w życie tego nowego gatunku do ówczesnej białoruskiej i rosyjskiej literatury bezsprzecznie należy się jemu - mówi dziś Swietłana Aleksandrowna o swoim mistrzu. - Adamowicz tę nowość nazywał różnie: „powieścią zbiorową", „powieścią--oratorium", „powieścią-świadectwem", „ludem opowiadającym o sobie", „prozą epicko-chóralną" - dodaje. Ja zaś dodam, iż gatunek ten u nas bywa nazywany literaturą faktu i że to Adamowiczowe znakomite przemieszanie gatunków jest dominującą cechą pisarstwa Swietłany.

- Długo szukałam siebie, chciałam odnaleźć coś, co przybliżałoby mnie ku realizmowi - zwierza się w jednym z wywiadów. - Oddać rzeczywistość, uchwycić autentyzm - to mnie męczyło, hipnotyzowało, uwodziło. Ten sposób zapisania głosów, wyznań, świadectw i dokumentów duszy ludzkiej przyswoiłam sobie błyskawicznie. Świat postrzegam i słyszę poprzez głosy, szczegóły z życia. Tak jest nastrojone moje oko i ucho. Wszystko, co było we mnie, w tym właśnie okazało się przydatne, chciałam bowiem równocześnie być pisarzem, dziennikarzem, socjologiem, psychoanalitykiem, przepowiadaczem...

Dziś autorka tej wypowiedzi ma za sobą świetne książki o tragicznych stronach sowieckiej historii. Tragicznych nie znaczy: znanych. A jeśli nawet wydaje się, że wiemy sporo, to już po paru stronach lektury którejś z jej książek okazuje się, iż wiedza ta składa się i tam (w krajach byłego ZSRR), i tu (w Polsce i w Europie) z narzuconych stereotypów. Tam są nimi patetyczne hasła,

heroiczne słowa-klucze, skróty propagandowe w rodzaju: *Wielikaja Otcziestwiennaja wojna, I^eningradskaja Błokada, Wiecznaja sława gierojam.* Tu broniliśmy się, ośmieszając je, więc śpiewaliśmy w polsko-rosyjskim slangu: *Czapajew-gieroj, my kulturnyj narod, my Giermanca nie boimsia i idiom, idiom wpieriod,* o tym, iż „nie oddamy Chinom Związku Sowieckiego, nie oddamy Chińczykowi Kraju Rad, zdrastwuj, Wania, jakby przyszło co do czego, my czuwamy, wy możecie słodko spać", o tym, że „Wania-kandydat do partii i Grisza [który] jest członkiem KC", w skrytości służą do mszy itp. Jednak zarówno tu, jak i tam - choć z różnych powodów: tam nie pozwolili, tu nie chcieliśmy przyjąć „jedynie słusznej" sowieckiej wersji - do prawdy było daleko. Znaliśmy - tam wyłącznie heroiczne, tu często prześmiewcze - mity. Zarówno 0 II wojnie światowej, okresie stalinowskim, wreszcie o Afganie i Afgańcach, jak się tam nazywa uczestników wojny z lat 1979-89, których wielkie kwatery znajdują się niemal na każdym cmentarzu Rosji i krajów wchodzących w skład byłego ZSRR.

Piszę o tym dlatego, iż prawdy tej od wielu lat próbuje dociec autorka.

Pierwszą pozycją, jaką należy odnotować, jest napisana w 1983 roku książka *U wojny nie ienskoje lico* (Wojna nie ma kobiecego oblicza). Dwa lata przeleżała w wydawnictwie, aby recenzenci mogli autorkę obwinić o pacyfizm, naturalizm, szarganie bohaterskiego obrazu kobiety sowieckiej. Tym bardziej że ciągnęła się za nią opinia antysowieckiej i dysydencko nastawionej reporterki (jej pierwsza książka *Ja ujechł z dierewni* (Wyjechałem ze wsi) o młodych porzucających rodzime miejsca, złożona już do druku, została na polecenie białoruskiego KC „rozsypana" na typografii). Kiedy władzę objął Gorbaczow i zaczęła się *pierestrojka,* tę rozpisaną na głosy kobiet frontowych powieść o wojnie zaczęto równocześnie drukować w wielu miejscach ZSRR. W ciągu roku rozeszła się w nakładzie 2 mln egzemplarzy.

W tymże 1985 roku wyszła jej druga książka („tylko" rok czekała), *Posłiednije swidietieli* (Ostatni świadkowie) z podtytułem *Sto niedietskich rasskazow* (Sto niedziecięcych opowiadań), zawierająca tym razem świadectwa wojny widziane oczyma dzieci. Ten uchwycony przez nią kobiecy i dziecięcy punkt widzenia na wojnę krytyka nazwała „nowym odkryciem prozy wojennej".

Następna pozycja Swietłany Aleksijewicz w 1989 roku nosiła tytuł *Cinkowyje małczyki* (Ołowiane żołnierzyki). Ona sama nazywają „książką o przestępczej wojnie afganistańskiej, którą przez dziesięć lat ukrywano przed narodem". Żeby ją napisać, jeździła przez cztery lata po olbrzymim Kraju Rad, spotykała się z matkami poległych żołnierzy, a także z tymi z nich, którym udało się powrócić z bezsensownej wojaczki. Ba, sama także latała „w Afgan"! Ukazanie się *Cinkowych malczikow* stało się tam „wybuchem bomby", liczni nie mogli jej

darować odarcia boju z heroizmu. W Mińsku próbowano nawet w 1992 roku zorganizować sąd nad autorką i jej książką, ale z pomocą pospieszyli ludzie z ówczesnego świata demokratycznego Białorusi i Rosji oraz liczni intelektualiści z zagranicy.

Potem (1993 r.) wydała *Zaczarowannyje smiertiu* (Zauroczeni śmiercią), książkę o... samobójcach, czyli „o tych - jak ich określa - którzy skończyli z sobą lub próbowali skończyć, nie mogąc się pogodzić z końcem idei socjalistycznej, o tych, którzy utożsamili się z nią na śmierć i życie, o tych wreszcie, którzy nie znaleźli sił, aby pogodzić się z nowym światem, nową historią i nową ojczyzną".

Zanim dotrę do ostatniej, czyli niniejszej, książki, wypada wspomnieć, iż wymienione tytuły są szeroko znane w Rosji, krajach byłego ZSRR i na Białorusi, gdzie w Mińsku mieszka ich autorka. Że ukazały się też w dwudziestu innych krajach, m.in. w USA, Anglii, Francji, Niemczech, Szwecji, Japonii, Chinach, Wietnamie, Indiach. Że według jej scenariusza nakręcono kilkadziesiąt filmów dokumentalnych. Że sztuki jej grano w teatrach Moskwy, Omska, Berlina, Paryża, Sofii, a spektaklem *U wojny nie żenskoje lico,* w reżyserii Anatolija Efrosa, Teatr na Tagance obchodził 40-lecie zakończenia II wojny światowej.

Swietlana Aleksijewicz jest laureatką prestiżowych nagród, m.in. Nagrody im. Knuta Tucholskiego szwedzkiego PEN-klubu „za odwagę i godność w literaturze" (1996), Nagrody im. Andrieja Siniawskiego „za szlachetność w literaturze" (1997) oraz w roku 1998 trzech znanych wyróżnień: Rosyjskiej Nagrody Niezależnej „Tryumf" i nagród Międzynarodowych Targów Książki w Lipsku „za europejskie wzajemne zrozumienie - '98", a także „za najlepszą książkę polityczną".

- Zawsze chcę dociec, ile jest człowieka w człowieku - mówiła w innym wywiadzie. - I jak tego człowieka w człowieku obronić? Czym możemy go obronić? Pytania aktualne nie tylko na dzisiejszej Białorusi, gdzie żyje ich autorka.

2. *Dlaczego „krzyk"?*

W końcu 1997 roku moskiewskie wydawnictwo Ostoże opublikowało jej kolejną pozycję *Czernobylskaja molitwa.* Przetłumaczono ją na niemiecki, angielski, szwedzki, francuski, włoski, hiszpański, trwają dalsze przekłady.

Polski tytuł mógłby brzmieć: „Modlitwa czarnobylska". Dziś jednak modlitwa jest rozmową z Bogiem, kojarzy się więc ze skupieniem wewnętrznym,

spokojem świątyni, szeptem zawierzenia, pokorą w wyznawaniu win. W języku rosyjskim - podobnie jak w starosłowiańskim - „molitwa" znaczy „błaganie", „wołanie". I taka też jest ta książka. Biblijne „błaganie", „wołanie" przekłada się na współczesny „krzyk". Stąd polski tytuł: *Krzyk Czarnobyla.*

3. Po Czarnobylu upadło imperium

Kto wie, czy to nie właśnie Czarnobyl - wraz z jego bolesnymi następstwami - jest momentem przełomowym, czy nie wyznacza upadku tamtego nieludzkiego systemu? O ile imperium od dawna traciło impet, nie było w stanie dotrzymać kroku zarówno pod względem konstruowania dalszych rodzajów broni już kosmicznego zasięgu, jak i obronić się przed coraz powszechniejszą i dostępniejszą informacją oraz zaczęło przegrywać wojny najeźdźcze (Afganistan) - o tyle zachwiało się ostatecznie właśnie od czarnobylskiego wybuchu.

Chodzi nie tylko o awarię z 26 kwietnia 1986 roku, choć są i tacy, co uważają ją za karę Boga, którego nie można „targać za brodę". Rzecz nie wyłącznie w szukaniu winnych, bo choć znaleziono i ukarano bezpośrednich (choć nieumyślnych) sprawców wybuchu, to dotąd nie ponieśli konsekwencji ci, którzy długo ukrywali przed ludźmi jego przerażające następstwa, a w efekcie nie przeciwdziałali im i nie chronili przed ich skutkami. I wreszcie nie o te następstwa głównie idzie, choć są tragiczne i wiele czasu świat będzie je rozpoznawał i borykał się z nimi.

Chodzi o różnorodność i jakość filozoficznych wręcz zagadnień, jakie wywołał kataklizm. Lokalnych, krajowych i globalnych. Indywidualnych i zbiorowych. Historycznych, politycznych i społecznych. Naukowych, medycznych i religijnych. Gospodarczych, socjologicznych i psychologicznych. Rodzinnych i płciowych. Genetycznych i erotycznych. Wiejskich i miejskich. Trudno, doprawdy, spotkać inną pozycję, która w tak wielowymiarowy i zarazem dogłębny sposób opisuje kondycję świata i miejsca, jakie człowiek w nim zajmuje. Poza Biblią i niektórymi publikacjami o Szoah, wyznam, nie spotkałem czegoś podobnego.

Nie umiem oprzeć się wrażeniu, że w Czarnobylu oraz jego ciągle nieodgadnionych następstwach tkwi palec boży. Nie myślę o samej awarii, promieniowaniu, a nawet nieprzewidywalności tego, co jeszcze nastąpi - to nauka może wyjaśnić. Błędy w tym, co wynalazł człowiek, także się zdarzają, nie zawsze muszą przywoływać pierwiastek metafizyczny.

Chodzi o coś innego. O zatracone - jak powiadają niektórzy - poczucie tragizmu świata i człowieka w nim żyjącego. O miarę dobra i zła. Piękna i brzy-

doty. I wreszcie epistemologia: co już wiemy o sobie, a co jeszcze poznamy po Czarnobylu?

Ten tragizm odnalazła Swietłana Aleksijewicz u ludzi porażonych przez kataklizm, z którego to porażenia bez heroizmu trudno się podnieść.

4. Czarnobylcy

Tak na Białorusi, Ukrainie, jak i w Rosji nazywa się tych, którzy w jakikolwiek sposób byli, są i będą związani z wybuchem reaktora w *atomnoj elektrostancji.* W czasie wyprawy na Mohylewszczyznę spotkałem wielu z nich.

Chronologicznie pierwszymi - bez dodatkowych określeń - czarnobylcami są ci, którzy przeszli piekło wybuchu oraz ratowali elektrownię. 31 pracowników elektrowni oraz strażaków gaszących pożar reaktora zmarło z powodu napromieniowania -jak podaje się dziś oficjalnie - w większości niedługo po wybuchu. Wielu zostało pochowanych na mitinskim cmentarzu pod Moskwą w cynkowych trumnach, pod betonowymi płytami. W książce opowiadają o nich najbliżsi. Można też do nich zaliczyć wszelkiego rodzaju *likwidatorów,* którym to terminem określa się wszystkich biorących udział w gaszeniu reaktora, ewakuowaniu ludności, wznoszeniu nad czwartym energoblokiem sarkofagu, usypywaniu *mogilników,* czyli cmentarzysk. Cmentarzyska te, zwane u nas skadowiskami, to zasypane całą „techniką wojenną" stosowaną w gaszeniu pożaru (dźwigi, transportery, czołgi, samochody ciężarowe itp.) wielkie połacie lasów, sadów, rozwalone i zmiażdżone zabudowania wielu wsi, wybite i zsunięte w doły zwierzęta domowe i dzikie oraz wielkie obszary zdjętej „na sztych" wierzchniej warstwy gleby. Na skażonej ziemi powinno być tych cmentarzysk około 800. Powinno, ale dziś nie sposób wielu z nich odnaleźć, gdyż... szabrownicy rozgrzebali je i „upłynnili", co się dało, po wielkich przestrzeniach Rosji i krajach byłego ZSRR.

Radionnyje (napromieniowani, skażeni) to chorzy z przyczyn radiacji lub dzieci, które dotknęły jej skutki. Nikt nie policzył - nawet w przybliżeniu - ilu ludzi zmarło wskutek napromieniowania ani ilu choruje (poza likwidatorami, zrzeszonymi w organizacje występujące o odszkodowania, których nie ma kto płacić). Wybuch nastąpił w czasie, kiedy jeszcze istniał Kraj Rad, w akcji brali więc udział ludzie, którzy potem zniknęli na olbrzymich jego przestrzeniach. Można jedynie wziąć pod uwagę dane z trzech najbardziej poszkodowanych krajów: Białorusi, Ukrainy i Rosji, a i tak będą one przybliżone, gdyż „bank czarnobylskich danych" nie istnieje. Na terenach skażonych i w ich sąsiedztwie miejscowi demografowie donoszą o podwojeniu się urodzeń patologicznych

oraz wzroście umieralności. Ten drugi wskaźnik kojarzony jest nie tylko z radiacją, ale i z powszechnym zubożeniem społeczeństwa po rozpadzie ZSRR. A z pierwszym wskaźnikiem wiąże się dodatkowo także wzrost aborcji, i tak przecież częstych w tych trzech krajach, dokonywanych ze strachu przed urodzeniem potomstwa ze skazą patologiczną. Nauka nie potwierdza wzrostu takich urodzeń lub wiąże je z innymi przyczynami, np. wzrostem alkoholizmu lub niekontrolowanym stosowaniem pestycydów we wciąż istniejących kołchozach. Nie bez znaczenia jest także słaba kondycja psychiczna tamtego społeczeństwa, coraz powszechniej odnotowywana „czarnobylska fobia", gdzie wszelkie zło przypisuje się awarii i jej skutkom.

Samosioty (tutejsi, miejscowi) to ci, którzy albo nie pozwolili się wysiedlić ze skażonego terytorium, albo wysiedlani - wracali wkrótce chyłkiem, albo też - nie mogąc się odnaleźć w obcym świecie - po latach powrócili na ziemię, gdzie wyrośli. To przede wszystkim starcy, mieszkający niczym robinsonowie we wsiach-widmach, które zmieniły się w pustkowie na obszarach dotkniętych radiacją.

Pieresielelńcy (przesiedleni) tworzą największą liczbę poszkodowanych, albowiem ok. 400 tys. ludzi ewakuowano ze skażonej strefy i obecnie mieszkają oni w nowych miejscach. Choć zbudowane dla nich osiedla mają niekiedy o wiele wyższy standard od utraconych domostw, przesiedleńcy ci często tęsknią za wsią, osiedlem, miastem, gdzie spędzili życie. Jedyną dozwoloną okazją w roku odwiedzenia rodzinnych stron bywa *Radunica,* obchodzone w dziewiątym dniu po prawosławnej Wielkanocy święto wspominania zmarłych, kiedy to odwiedza się ich groby i na nich spożywa posiłki, pije za pamięć. Prawosławnym obyczajem wielu odwiedzających wiesza na ojczystych płotach -jeśli jeszcze są - ręczniki, jak na grobach.

Bieżeńcy (uciekinierzy) to ci, którzy na tę skażoną ziemię... uciekli. Po raz pierwszy zamieszkali na skażonym terytorium i *pustać* ta jest im sielanką po wojnach narodowych na Podkaukaziu czy walkach plemiennych w Azji, skąd zbiegli. Osiedlają się w *zakliuczonnoj zonie* (strefie zamkniętej) przede wszystkim Rosjanie, zbiegli z Tadżykistanu, Kirgizji, Kazachstanu, Gruzji i zewsząd, gdzie do niedawna byli kimś, a teraz ich tam nie chcą.

Demokraci wreszcie, często nazywający siebie „dziećmi Czarnobyla", pierwsi usiłowali pokazać światu tę tragedię, a dziś, kiedy na Białorusi skończyła się demokracja, zanim zdążyła się zacząć, działają w coraz mniej licznych niezależnych stowarzyszeniach, komitetach i fundacjach z „Czarnobylem" w nazwie. Są więc siłą rzeczy twórcami i świadkami tamtejszej demokracji. Apokalipsa, jaką przyniósł wybuch reaktora, stała się dla nich - przy całej dramaturgii wydarzeń i złożoności problemów - najpierw szansą, by ogłosić światu, że imperium

się rozpada, a potem klęską ich poczynań w społeczności ciągle jeszcze żyjącej na gorących zgliszczach systemu totalitarnego. Do dziś jeżdżą w zakazane strefy i wyszukują *samosiołow*. Ci do tej pory wolą żyć jak niewolnicy, tęsknić do stalinowskiego ładu, a równocześnie wyglądać charytatywnej pomocy.

5. *Wszyscy jesteśmy czarnobylcami!*

Tak zdaje się mówić Swietłana Aleksandrowna Aleksijewicz w tej „krzyczącej" książce. Skomponowała ją niczym starożytną tragedię rapsodyczną, złożyła z głosów ludzi dotkniętych przez kataklizm. Ich głosy rozpisała na monologi i chóry. Bo jaką inną formę literacką można nadać ciągle trwającej katastrofie, jeśli nie antycznej tragedii?

Autorka nie kreuje się na jedną z postaci tego dramatu, choć - o ile wiem - mogłaby: wiele razy jeździła do zony, żeby zbierać materiały do książki, i zabójcze promieniowanie jej nie omijało. Siostra zmarła z przyczyn wybuchu, ojciec z tego powodu jest ciężko chory, matka... Wystarczy, nie jestem uprawniony.

Jej osobny głos w dramacie nazywa się skromnie: „Wywiad autorki z samą sobą o przypuszczalnej historii". Nie jest w nim heroiną, ale - wolę trzymać się starożytnych metafor - aojdą, histrionem.

- Czarnobyl jest tajemnicą, którą nam jeszcze przyjdzie odgadywać. To zadanie na dwudziesty pierwszy wiek - sądzi. Sama uważa się za świadka czarnobylskiej tragedii.

- Jak wszyscy w małej Białorusi, o której wcześniej świat nie słyszał, a o której teraz mówią, że to czarnobylskie laboratorium, a Białorusini - czarnobylski naród. Czarnobyl stał się naszym domem, powinnością narodową - wyznaje.

Na tamtym terytorium zeszły się, przypomnę raz jeszcze, dwie katastrofy: polityczna i technologiczna.

- Spośród tych dwóch globalnych wybuchów ten pierwszy jest bliższy, zrozumiały, ludzie zajęci są codziennością, bytem: za co coś kupić? Dokąd pojechać? W co wierzyć? Z jakim hasłem politycznym wyruszyć? To przeżywają wszyscy i każdy - ocenia świadek epoki. - A Czarnobyl? Chcielibyśmy o nim zapomnieć. Najpierw mieliśmy nadzieję go przezwyciężyć, ale pojąwszy daremność prób, zamilkliśmy.

Trzy lata pytała robotników elektrowni, uczonych, byłych działaczy partyjnych, medyków, żołnierzy, przesiedleńców, miejscowych. Ludzi różnych pokoleń, o różnych profesjach, wykształceniu, temperamentach. Wierzących i ateistów. Wieśniaków i intelektualistów.

- Oni pierwsi zobaczyli to, co my tylko podejrzewamy - zauważa. I zaraz dodaje: - Nieraz wydawało mi się, że zapisuję przyszłość...

Umieć odczytać i zapisać przyszłość po Czarnobylu i na czarnobylskiej ziemi?! To zadanie dla wróżki. Albo dla laureata Nagrody Nobla. A przynajmniej Pulitzera.

Swietłana Aleksijewicz mieszka na Białorusi, nie pozostaje jej nic innego, jak zostać klasykiem pisanej po rosyjsku literatury tego kraju.

Leszek Wołosiuk,
tłumacz,
reportażysta „Tygodnika Powszechnego"

Spis treści

Informacja historyczna . . . 5
Samotny głos człowieczy . . . 9
Wywiad autorki z samą sobą o przypuszczalnej historii . . . 24

ROZDZIAŁ I Ziemia martwych . . . 27
Monolog o tym, o czym ludzie sobie przypominają . . . 27
Monolog o tym, o czym można pogadać z żywymi i z martwymi . . . 28
Monolog o życiu zapisanym na drzwiach . . . 32
Monolog wsi o tym, jak wołają dusze z nieba, żeby z nimi popłakać i odpocząć . . . 34
Monolog o tym, że jak znajdziesz dżdżownicę, to i kura się cieszy . . . 41
Monolog o pieśni bez słów . . . 43
Trzy monologi o dawnym strachu . . . 44
Monolog o tym, że tylko w złu człowiek jest spełniony i jak dostąpił miłości w nieprzebiegłych słowach . . . 51
Chór żołnierski . . . 53

ROZDZIAŁ II Miara wszechrzeczy . . . 64
Monolog o starych proroctwach . . . 64
Monolog o księżycowym pejzażu . . . 66
Monolog świadka, co go bolał ząb, kiedy zobaczył, jak upadł Chrystus i zaczął krzyczeć . . . 67
Trzy monologi o „prochu chodzącym" i „ziemi mówiącej" . . . 72
Monolog o tym, że nie umiemy żyć bez Czechowa i Tołstoja . . . 77
Monolog o tym, co święty Franciszek przepowiadał ptaszkom . . . 80
Monolog bez nazwy - krzyk . . . 87
Monolog na dwa głosy - męski i kobiecy . . . 87
Monolog o tym, jak zupełnie nieznana rzecz wpełza, włazi w ciebie . . . 92
Monolog o tęsknocie za rolą i sensem . . . 96
Chór narodowy . . . 104

ROZDZIAŁ III Zachwycenie smutkiem 112
Monolog o tym, czego nie wiemy: śmierć może być tak piękna 112
Monolog o tym, jak łatwo stać się ziemią 114
Monolog o symbolach wielkiego kraju 119
Monolog o tym, że w życiu najstraszniejsze staje się cicho i naturalnie 121
Monolog o tym, że Rosjanin zawsze chce wierzyć w cokolwiek 126
Monolog o fizyku, którego wszyscy kochaliśmy 130
Monolog o tym, co po Kołymie, Oświęcimiu i holocauście 133
Monolog o wolności i marzeniu o zwyczajnej śmierci 135
Monolog o tym, że do zwykłego życia trzeba co nieco dołożyć, aby je pojąć 138
Monolog o potworku, którego i tak przyjdzie kochać 141
Monolog o niemym żołnierzu 143
Monolog o wiecznym i przeklętym: cóż robić i kto zawinił? 146
Monolog obrońcy władzy sowieckiej 149
Monolog o tym, jak dwaj aniołowie spotkali małą Oleńkę 150
Monolog o nieograniczonej władzy jednego człowieka nad drugim człowiekiem . 151
Monolog o ofierze i pasożytach 159
Chór dziecięcy 166
Samotny głos człowieczy 173

Zamiast epilogu 183
Leszek Wołosiuk, Świat po Czarnobylu 185